

FRANCIS DURBRIDGE

Autor: „Tajemnicy Betty Tyler“

CRIME CLASSIC

Mordercza  
gra

DC  
DA CARO

# FRANCIS DURBRIDGE MORDERCZA GRA



Harry'emu Dawsonowi, detektywowi Scotland Yardu, nie dane jest długo cieszyć się urlopem.

Niezwykły wypadek na polu golfowym, który dla ojca Harry'ego kończy się śmiercią, to tylko początek niezwykłych wydarzeń...



Francis Durbridge, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli gatunku w Anglii, w Polsce jest znany z trzech książek, na podstawie których zrealizowano znakomite spektakle telewizyjnej „Kobry”. W serii „Klasyki kryminału” wydawnictwa Da Capo ukaże się kilkanaście nowych powieści tego autora.

ISBN 83-85373-40-3

**DC**  
DA CAPO

Cena 31.000 zł

Francis Durbridge

**MORDERCZA GRA**

Przełożył Jacek Manicki

Wydawnictwo DA CAPO

WARSZAWA 1993

Tytuł oryginału

A GAME OF MURDER

Copyright © 1993 by Francis Durbridge

Redaktor Hanna Szymanderska

Zdjęcie na okładce Copyright © 1993 by Zbigniew Reszka

Skład i łamariie Fototype, Milanówek, tel./fax 55 84 14

For the Polish translation Copyright © 1993 by Jacek Manicki

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I ISBN 83-85373-40-3

DRUK I OPRAWA Zakłady Graficzne w Gdańsku

ul. Trzy Lipy 3..tel 32-57-69

## *Rozdział pierwszy*

Douglas Croft zaparkował samochód w bocznej uliczce, sprawdził przezornie wszystkie drzwiczki i bagażnik upewniając się, czy dobrze je pozamykał, po czym wrócił pięćdziesiąt jardów pieszo do Finchley Road. Trwał poranny szczyt i ulicą, od Swiss Cottage w kierunku odległego o jakieś ćwierć mili boiska krykietowego Lord's, sunął nieprzerwany strumień pojazdów.

Zamiast pomaszerować przykładowo do przejścia dla pieszych, Douglas Croft skrócił sobie drogę przedzierając się przez jezdnię slalomem, niczym środkowy napastnik forsujący linie obronne przeciwnika. Dobił do trotuaru dokładnie naprzeciwko witryny sklepu zawalonej sprzętem sportowym wszelkiego rodzaju. Szyld rozciągający się nad oknami wystawowymi i wejściem informował „Sklep Sportowy Toma Dawsona”.

Neon, który zapalano na całą noc, by oświetlać każdego ewentualnego intruza ułatwiał pracę patrolom policyjnym - nadal płonął. Wsuwając w dziurkę drugi z trzech kluczy potrzebnych do otwarcia sklepu, Douglas podniósł wzrok i ujrzał przepychającą się przez zatłoczony chodnik dziewczynę. Otworzył drzwi i zaczął w progu, żeby przepuścić ją przodem.

- Cześć, Liz. Widziałaś wczoraj wieczorem starego w „Kalejdoskopie Sportowym”?

- Nie.

Liz pokręciła przecząco głową i przystanąła, zerkając na montaż z powiększonych fotografii zajmujący sam środek wystawy. Fotografie przedstawiały migawkowe ujęcia Toma Dawsona z czasów jego świetności, kiedy to w jednym roku reprezentował Anglię w rugby i krykiecie, jak również zajął drugie miejsce w Mistrzostwach Golfa Amatorów.

- Nie oglądałam wczoraj telewizji. Byłam na treningu, bo w przyszły weekend mam zawody. Płynę na sto metrów grzbietowym.

Weszła do sklepu. Douglas zamknął drzwi i przekręcił jeden z kluczy w zamku od środka. Do otwarcia pozostało jeszcze dziesięć minut. Wybrał ze skrzynki listy i ruszył za Liz w stronę małego, oszklonego kantorka w głębi. Nie po raz pierwszy z przyjemnością obserwował gibkość, z jaką się poruszała. Liz miała dziewiętnaście lat i była jak świeży powiew ozonu, który jakimś cudem przetrwał pośród londyńskich oparów i kurzu.

- No i jak wypadł pan Dawson? - spytała nie oglądając się. - Miał tremę?

Douglas parsknął śmiechem.

- On!? To silna osobowość telewizyjna. Następnym razem sam poprowadzi program.

- Nie daj Bóg! - wykrzyknęła Liz. Zdjęła lekki płaszcz nieprzemakalny i powiesiła go na wewnętrznej stronie drzwi kantorka.

Douglas rzucił na biurko plik listów i podszedł do wyłączników, którymi zapalało się główne oświetlenie sklepu oraz reflektorki punktowe podświetlające ekspozycję w witrynie. Zalewająca pomieszczenie jasność wyostrzyła silnie kontury ciągnących się połyskliwymi rzędami kijów

golfowych, stojaków z szeregami szpiczastych, lakierowanych nart, gabloty z bardzo drogimi pulowerami, anorakami i wodoodporną odzieżą; specjalistycznymi zestawami sprzętu dla płetwonurków, półek z książkami na temat każdej dyscypliny sportu, od gry w pchelki poczynając, a na łowach na grubego zwierza kończąc.

- Ale był taki moment, że musiałem się rozeźmiać. - Douglas przyglądał machinalnie lekko falujące włosy. Podczas jazdy samochodem wiatr naruszył nieco formę, jaką pieczołowicie nadał im rano przed lustrem. - Wyobraź sobie, że prezenter nazwał jego syna „twardym, przystojnym chłopcem ze Scotland Yardu”.

- Toż to kompletna bzdura! Harry nie jest twardy... pod tym względem nie ma się co równać ze swoim starszym.

Liz mimowolnie podniosła głos. Douglas wykonał ostrzegawczy gest, wskazując palcem na sufit. Tom Dawson zajmował wraz ze swym synem kawalerem mieszkanie nad sklepem, do którego prowadziły z kantoru kręcone schodki.

- Sądysz, że słyszeli? - spytała szeptem Liz.

- Nie. Zamykają drzwi sieni. Ale dostanie mi się od pana Toma Dawsona, kiedy zejdzie na dół, a ja nie będę miał jeszcze posortowanych listów.

Gdyby Douglas Croft potrafił przebić wzrokiem sufit sklepu i zajrzeć do znajdującego się nad nim mieszkania, stwierdziłby, że ma przed sobą mnóstwo czasu. Tom Dawson i jego syn siedzieli jeszcze przy śniadaniu w kąciku jadalnym wydzielonym z wielkiego pokoju wypożyczynkowego.

Nabywszy przed kilkoma laty tę nieruchomość Tom Dawson kazał wyburzyć wszystkie ścianki działowe.

Na parterze urządził ultranowoczesny sklep, a na piętrze

niebanalne mieszkanie, w którym znalazło się miejsce i dla niego, i dla syna, i dla kucharki-gosposi.

Living room umeblowany był gustownie i funkcjonalnie: wszystko miało w nim swoje miejsce i swoje przeznaczenie. W oczy rzucał się całkowity brak jakichkolwiek babskich ozdóbek, żadnych tam wazoników z kwiatami, żadnych kolekcji *objets d'art* stłoczonych na półkach. Oszklona szafka z niezliczonymi trofeami zdobytymi przez Toma Dawsona stanowiła bardziej wyzwanie niż dekorację.

W tej chwili w powierzchowności młodego Harry'ego Dawsona trudno byłoby się dopatrzyć tego, co o nim powiedział telewizyjny komentator. Miał na sobie rozchełstaną pod szyją koszulę, wypłowiałe niebieskie spodnie, a na nogach parę domowych laczków. Wlepiając wzrok w poranną gazetę opartą o stojący przed nim dzbanek z herbatą zaczynał właśnie swoją trzecią filiżankę.

Tom Dawson obserwował spod oka profil syna, a jego twarz wyrażała dumę. Chłopak po nim odziedziczył siłę fizyczną. Był wysoki i bardzo proporcjonalnie zbudowany. Ale subtelność rysów w wielkiej mierze zawdzięczał matce: tę śniadą cerę, ten stanowczy układ ust, te dziwnie nieodgadnione i tajemnicze błękitne oczy tak rzadko idące w parze z ciemnymi włosami. Kiedy Harry oświadczył, że zamierza robić karierę w policji stołecznej, spadło to na Toma jak grom z jasnego nieba. Ale teraz był już przekonany, że Harry jeszcze przed czterdziestką zostanie komisarzem.

- O ile się nie mylę - przerwał milczenie - planowałeś wziąć sobie trochę wolnego, Harry.

- Bo jeszcze trochę, a wylądowałbym u psychiatry,



chciałeś powiedzieć? - Harry odsunął się z krzesłem od stołu i wyciągnął wygodnie nogi. - Nie powiem, przyjemnie pomyśleć, że przez całe dwa tygodnie nie muszę nawet przechodzić obok Yardu, ani wysłuchiwać starego Yardleya.

Ucho Toma Dawsona wyłowiło w głosie syna nutkę goryczy.

- Odnoszę wrażenie, Harry, że ostatnio twoje stosunki z nadinspektorem nie układają się najlepiej.

- N a c z e l n y m nadinspektorem, jeśli chodzi o ścisłość. To teraz dla niego bardzo ważne. Nie, ja nic do niego nie mam. To on się mnie czepia. Mimo to Yardley to raczej równy chłop - tyle że stary piernik, któremu nerwy siadają z przepracowania.

Tom Dawson pokiwał współczująco głową. Wstał i podszedł do wielkiego, mahoniowego, zabytkowego biurka ustawionego pomiędzy dwoma oknami pokoju. Stały na nim dwa aparaty telefoniczne - jeden podłączony do sieci, a drugi prywatny, służący do utrzymania łączności wewnętrznej ze znajdującym się na parterze sklepem - oraz inne wyposażenie biura, co świadczyło, że Tom Dawson zwykł lwia część pracy związanej z prowadzeniem interesu wykonywać tu na górze. Widząc lekkość jego kroku trudno było dać wiarę, że przekroczył już sześćdziesiątkę. Dobrze się trzymał, bo dbał o kondycję, pilnował, by mięśnie jego muskularnego ciała nie podeszły tłuszczem.

- A tak przy okazji, tato - Harry dopił swoją ostatnią filiżankę i złożył gazetę - rozmyśliłem się i nie wyjeżdżam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę w domu i poleniuchuję sobie trochę przez te dwa tygodnie.

- Twoja sprawa - mruknął Tom, starając się nie okazać po sobie ile zadowolenia sprawiło mu zdawkowe oświadczenie syna. - Rób jak uważasz, Harry.

Sięgnął przez biurko, podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wcisnął przycisk brzęczyka. Po kilku sekundach z kantoru na dole odezwał się Douglas Croft.

- Dzień dobry, panie Dawson.
- Dzień dobry, Douglasie.

Tom Dawson nie musiał podnosić swego silnego, tubalnego głosu, żeby ten zabrzmiał donośnie i władczo.

- Prawdopodobnie nie będzie mnie przez cały dzień. Gdyby telefonowali Bracia Morris, zbądź ich byle czym. Skontaktuję się z nimi jutro.

- Rozumiem.

W kantorku na dole Douglas przerzucał pośpiesznie otwarte koperty, starając się zdecydować, czy w pliku bieżącej korespondencji nie ma czegoś, o czym trzeba by poinformować pryncypała.

- Mam tu...
- Tak?

- Mam tu odpowiedź z Allied Sports. Obawiam się, że nie jest zbyt miła.

- Co piszą? - Tom Dawson usłyszał w słuchawce szelest papieru i odchrząknięcie Douglasa. - Nie. Nie czytaj. Przynieś mi to na górę. Aha, i jeszcze jedno - weź ze sobą kilka piłek golfowych. Wystarczy pół tuzina dunlopów 65.

Odłożył słuchawkę na widelki i wrócił do stołu. Nie patrzył wprost na syna, czuł jednak baczne spojrzenie tych błękitnych oczu studiujących wyraz jego twarzy.

- Z kim dzisiaj grasz, tato?

- Co? A... no tak... właściwie to z nikim. Ostatnio gra coś mi nie idzie. Chyba poćwiczę sobie sam na paru dołkach.

- To się wspaniale składa! - wykrzyknął z entuzjazmem Harry. - Bo ja nie mam na dziś żadnych planów.

- Hmm?

- Ja z tobą zagram.

Brwi Toma Dawsona ściągnęły się nieznacznie i Harry zauważył, że na opalone policzki ojca występuje lekki rumieniec.

- No, dziękuję ci, Harry... ale prawdę mówiąc...

- Tak myślałem - przerwał mu te wykręty Harry.

- Co myślałeś?

- Nie udawaj. Kim jest ten tajemniczy przeciwnik? Kto to?

Tom Dawson z najwyższym trudem wytrzymał wzrok syna.

- Ty niepoprawny gliniarzu!

- Przypuszczam, że to jakaś lalunia w minispódnicy, którą sobie przygadałeś.

Widząc poważniejącą raptownie twarz ojca, Harry stłumił w sobie śmiech.

- Nie doceniasz mego poczucia smaku, chłopcze - powiedział cicho Tom Dawson.

Wyczuwając, że ojciec chce jeszcze coś dodać, Harry milczał wyczekująco. Po chwili Tom Dawson uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

- No tak, chyba już pora, żebyście się poznali. Chyba już pora. Słuchaj, Harry, może byś tak wpadł koło południa do klubu? Do tego czasu powinniśmy skończyć. Wypijemy razem drinka. Co ty na to?

Wyraz twarzy, z jakim to mówił i rozbudzony nagle entuzjazm odmłodziły Toma Dawsona o dobre dziesięć lat. - Nie mogę się doczekać - zapewnił go poważnie Harry. - Czy mam się ubrać w...

Nie dokończył pytania, bo w tym momencie otworzyły się z impetem drzwi kuchni i do pokoju, wycierając dłonie w zawiązany na biodrach fartuch, wkroczyła pani Rogers.

Już w pierwszych dniach pracy u Dawsonów z gospodyni wylazł babsztyl święcie przekonany, że jego

życiową misją jest nauczenie tych dwóch nieżonatych mężczyzn porządku. Teraz jednak cały dawny ogień już się w niej wypalił. Zmarszczki frasunku okalały jej oczy i usta, i cała zdawała się być oklapnięta z przygnębienia.

- Zje pan jeszcze grzanekę, panie Harry?

- Nie, dziękuję - Harry wstał z krzesła. - Jeśli chce pani posprzątać ze stołu, to proszę.

Pani Rogers kiwnęła głową i podeszła do stołu. Jasnym było, że zadając to pytanie chciała dać do zrozumienia, iż śniadanie już dawno powinno dobiec końca.

- Wygląda mi na to, że nie ma żadnych wiadomości o tym panie psie? - zagadnął Tom Dawson.

Harry odwrócił się do gosposi plecami i z rozpaczą wznosił oczy do nieba, ale pani Rogers podchwyciła skwapliwie temat. Zapominając zupełnie o brudnych talerzykach obesła stół dokoła.

- Niestety nie, panie Dawson. Dzwoniłam wczoraj wieczorem do Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, żeby się dowiedzieć, czy mogą mi pomóc, ale oczywiście nie mogli.

Potrząsnęła ponuro głową.

- Zawsze to samo. Nic nikogo nie obchodzi, powszechna znieczulica.

Harry odwrócił się zirytowany tonem rozżalenia w głosie kobiety.

- Ale nas obchodzi, pani Rogers; robimy, co można.

Podszedł do stołu, wziął z niego gazetę, rozłożył ją i podsunął gosposi pod nos.

- Ogłoszenie w lokalnym dzienniku; zamieścili nawet fotografię, którą im wysłałem.

Na widok fotografii oczy pani Rogers zwilgotniały z rozczulenia i żalu. Zdjęcie przedstawiało niemożliwie przekarmionego i zarozumiałego pudła siedzącego słupka

na zadzie i proszącego o ciasteczko. Na szyi miał wielką ozdobną obrożę bardziej pasującą do jakiejś gwiazdy muzyki pop. Pod fotografią widniało wydrukowane wielkimi literami pytanie: „CZY WIDZIELIŚCIE »ZERO«?”

- Tak. Wiem, że robicie panowie, co można, panie Harry. Nie panów miałam na myśli.

Podniosła rękę, żeby otrzeć palcem łzę spływającą z kącika oka.

- Ale to już prawie tydzień, jak Zero się zgubił. I miał na szyi tę obrożę, a tego już zupełnie nie rozumiem.

Gospodyni wyciągnęła z kieszeni fartucha chusteczkę i głośno wytarła nos. Zwróciła teraz oczy na Toma Dawsona.

- Nosił tę prześliczną obrózkę, którą dostał od pana na urodziny.

Tom Dawson odchrząknął i zerknął na Harry'ego, jakby szukał u niego pomocy.

- Hmm... no tak... tego... Głowa do góry, pani Rogers. No, niech się pani weźmie w garść. Przecież to jeszcze nie koniec świata.

- Właśnie - wtrącił Harry. - Niech pani będzie dobrej myśli. Brak wiadomości to dobra wiadomość.

- Chyba napiłbym się jeszcze herbaty, pani Rogers - zmienił nagle temat Tom Dawson. - Czy byłaby pani tak dobra i zaparzyła jeszcze jeden dzbanek?

Pani Rogers wyprostowała się odruchowo niczym zgoniony szeregowiec na wydaną przez sierżanta komendę. Z wyraźnym wysiłkiem wzięła się w garść, skinęła sztywno głową i odmaszerowała do kuchni zabierając ze sobą pusty dzbanek na herbatę.

- Przeklęty pudeł! - wykrzyknął Tom Dawson ledwie zamknęły się za nią drzwi.

- Obawiam się, że za bardzo się tym przejęła.

- Kłopot w tym, chłopcze, że według niej już dawno powinienes go znaleźć. - Ot co.

Tom Dawson pstryknął palcami. Harry kontemlował z uśmiechem zamknięte drzwi do kuchni.

- Tak, wiem. W jej oczach jestem pewnie najgorszym detektywem w całej Anglii.

Na kręconych schodkach prowadzących z kantoru na dole do sieni rozległy się kroki, wprawiając w wibracje stalowe dźwigary, które podtrzymywały przebudowane mieszkanie. Nie było więc dla nikogo zaskoczeniem, kiedy drzwi sieni uchyliły się i do pokoju wsunął swoją zadbaną głowę Douglas Croft.

- Można?

- Tak, oczywiście. Wejdz, Douglasie.

- Dzień dobry, Harry - Douglas zaszczyił Harry'ego swoim szczerym, rozbrajającym uśmiechem.

- Cześć, stary. - Harry przywitał go skinieniem głowy, wziął gazetę i usadowił się w jednym z obitych skórą foteli ustawionych przed kominkiem.

Douglas postawił na skraju biurka pudełko z piłkami golfowymi, wyjął z tekturowej teczki arkusz wypełnionego pismem maszynowym papieru i wręczył go Tomowi Dawsonowi.

- Dobrze pan wypadł wczoraj w telewizji, panie Dawson.

- Tak sądzisz? - Ta uwaga najwyraźniej mile polechła Toma Dawsona.

Douglas pokiwał z przekonaniem głową.

- Moim zdaniem powinno nam to przysporzyć klienteli.

Z kuchni doleciał brzęk tłuczonej porcelany, a zaraz potem okrzyk rozpacz. Tom Dawson pożegnał się w

myślach z drugą filiżanką herbaty i zapamiętał sobie, żeby do listy zakupów dopisać pozycję „nowy dzbanek na herbatę”. Douglas, rzuciwszy spłoszone spojrzenie na drzwi do kuchni, wyciągnął z teczki kolejny arkusz papieru.

- Miałaś rację. Odpowiedź z Allied Sports nie jest zbyt miła. - Tom Dawson oddał Douglasowi pierwszy list i wziął od niego drugi.

- To odpowiedź Houstona - rzekł Douglas. - Chce do pana wpaść i porozmawiać.

- Nie ma o czym. - W głosie Dawsona pojawił się jad. - Rakiety były wadliwe. Muszą je zabrać.

Douglas przebiegł wzrokiem notatki, które poczynił sobie na wewnętrznej stronie tekturowej teczki i doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli pozostanie przy sprawach najistotniejszych. Stary sprawiał dzisiaj wrażenie strasznie podminowanego. Nie tyle rozdrażniły go te odpowiedzi, ile pragnął jak najszybciej wydać stosowne dyspozycje i wyjść.

- Zostawił mi pan notatkę, że mam zatelefonować do Swim-Dive. Tylko nie wiem w jakiej sprawie, panie Dawson.

Dawson był jeszcze pochłonięty czytaniem listu od dostawców rakiet tenisowych i nie od razu zrozumiał pytanie.

- Co? Ach, tak. To sobie daruj, Douglasie. Sam do nich zadzwonię.

Douglas zamknął teczkę i dopiero teraz zauważył jakieś litery i cyfry na okładce.

- I zanotował pan tu coś, jakby... – przechylił teczkę, żeby odczytać napis - ...jakby numer rejestracyjny samochodu.

Dawson przeszył go wzrokiem.

- Numer samochodu?

- No tak. O tu, na okładce. Proszę spojrzeć - JKY 384

L.

- Nie mam pojęcia, co to takiego - burknął niecierpliwie Dawson. - Spytaj Liz. To ona prawdopodobnie napisała. Wiesz, ten list to cholerna impertynencja! Zwyczajne zapieranie się w żywe oczy.

Dawson złościł się czytając list, kiedy otworzyły się drzwi kuchni i do pokoju weszła wyraźnie skruszona pani Rogers.

- Dzień dobry, pani Rogers - przywitają entuzjastycznie Douglas Croft szczerząc zęby w olśniewającym uśmiechu.

- Och! - Widok trzech mężczyzn sprawił panią Rogers w pewne zakłopotanie. - Dzień dobry, panie Croft.

- Są jakieś wiadomości o Zero? - podjął radośnie Douglas i w tym samym momencie zorientował się, że strzelił grubą gafę. Tom Dawson spiorunował go wściekłym spojrzeniem, pani Rogers zaś zwróciła się ku Douglasowi Croftowi niczym gołąb pocztowy ku swojemu gołębnikowi.

- Nie. Niestety nie, panie Croft. Zwracałam się o pomoc do Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, ale wygląda na to, że nic ich to nie obchodzi. I chociaż zamieszczono fotografię Zero w dzisiejszej gazecie, do tej pory nikt się nie zgłosił. Nic z tego nie rozumiem, bo przecież miał na szyi tę przepiękną obrózkę...

Gospodyni znowu język się rozwiązał. Tom Dawson zostawił Douglasa na pastwę żywiołu, który ten nieopatrnie rozpełtał, a sam wycofał się chyłkiem do siedzącego przy kominku syna. Harry podniósł wzrok znad gazety i obaj mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- No i znowu się zaczęło - szepnął Harry.



Nie mając nic specjalnego do roboty, Harry oddawał się bez skrupowania luksusowi zwyczajnego zabijania czasu. Do klubu golfowego wyjechał wcześniej, niż było trzeba.

Zbliżając się do Westgate Golf Club zwolnił. Nie było jeszcze dwunastej, a nie chciał zjawić się tam przed umówioną porą. Czuł, że będzie to ważne spotkanie, kto wie, czy nie zwrotne w życiu Toma Dawsona. Ale mogło się też okazać, że to jeszcze jedno ze spotkań w interesach; Tom Dawson lubił negocjować umowy w klubie po partii golfa. Jednak nie wiedzieć czemu Harry miał przeczucie, że tym razem chodzi o coś innego, zwłaszcza kiedy przed oczami stanęła mu poważna twarz ojca mówiącego: „Nie doceniasz mego poczucia smaku, chłopcze”. Jeśli była to kobieta, to Harry miał nadzieję, że ojciec nie zadał się z jakąś dzierlatką. Tom Dawson idiotycznie by wyglądał w związku małżeńskim z jedną z tych lalun, o których Harry tak beztrzesko wspominał przy śniadaniu.

Z zadumy wyrwało go znajome wycie syreny za plecami. Zerknąwszy we wsteczne lusterko dostrzegł doganiającą go szybko karetkę pogotowia z błyskającym niebieskim światłem na dachu. Zjechał na pobocze, opuścił szybę i dał kierowcy znak ręką. Rozpędzony pojazd przemknął obok, a powietrzna fala uderzeniowa zakoleysała samochodem.

Ruszając wolno za karetką Harry zobaczył jeszcze, jak ta hamuje i zajeżdżając zuchwale drogę zbliżającej się z przeciwną ciężarówce skręca ostro we wjazd do Westgate Golf Club. Jemu w tym samym miejscu przyszło długo czekać, zanim przewinął się sznur zmierzających w przeciwnym kierunku samochodów. Kiedy zdołał wreszcie skręcić, przycisnął mocno pedał gazu i pomknął wewnętrzną drogą prowadzącą do klubu.

I nie potrafił określić, czy to niepokój o ojca, czy instynkt policjanta skłania go do takiego pośpiechu.

Kiedy w kilka chwil później jego oczom ukazał się budynek klubowy, karetka stała już przed wejściem, a jeden z sanitariuszy rozmawiał z sekretarzem klubu. Komandor Whitby pokazywał pole golfowe. W pewnym momencie Harry zauważył, jak jego ręka zatacza łuk i nieruchomieje, celując w używany przez wózki golfowe trawiasty szlak wijący się meandrami w kierunku szóstego sektora i ósmego stanowiska.

Sanitariusz wskoczył do kabiny i karetka ruszyła ostro z miejsca, a sekretarz podbiegł do swojego samochodu. Austin 1100 Harry'ego zatrzymał się obok niego z piśkiem hamulców, zanim sekretarz zdążył chwycić za klamkę. Sekretarz obejrzał się, poznał kierowcę i na jego twarzy odmalowała się wielka ulga.

- O, pan Dawson. Dzięki Bogu, że pan przyjechał.

Harry otworzył drzwiczki i wystawił na zewnątrz jedną nogę.

- Co tu się stało?

- To pański ojciec. - Oczy sekretarza umknęły przed zaniepokojonym spojrzeniem Harry'ego. - On... zdarzył się wypadek...

- Jaki wypadek?

- O ile nam wiadomo, pański ojciec ćwiczył w okolicach szóstego sektora, - i... no wie pan, teren opada tam stromo ku strumykowi...

- J a k i wypadek?

- Piłka. Piłka uderzona z ósmego stanowiska. Wszystko wskazuje na to, że trafiła pańskiego ojca z całym impetem w tył głowy i... Na szczęście w budynku klubowym był doktor Roach i pobiegł tam niezwłocznie.

- Co z nim?

Harry z najwyższym wysiłkiem panował nad głosem. - Co mu się stało?

- No więc, został z nim doktor Roach, a ja wróciłem do telefonu, żeby wezwać karetkę, ale obawiam się... uderzył głową o kamień leżący na dnie strumyka.

- Wskakuj pan - warknął Harry -jadę za karetką.

Sekretarz wgramolił się posłusznie na siedzenie pasażera i Harry pomknął trawiastym szlakiem, nie dbając o zawieszenie wozu, które przechodziło na wybojach trudny egzamin. Karetką, kołysząc się niebezpiecznie, zniknęła im tymczasem z oczu w pagórkowatej części pola nazywanej czule przez członków klubu Himalajami. Ani Harry, ani sekretarz nie odezwali się słowem, dopóki nie wjechali na szczyt wzniesienia, skąd roztaczał się widok na szósty sektor skryty w płytkiej kotlinie.

Szósty dołek był bardzo zmyłkowy. Sektor był niewidoczny ze stanowiska, a więc gracz musiał tu uderzać piłkę właściwie na ślepo. Musiał też wyczuć odpowiednio odległość, bo na piłkę zbyt krótką czekała pułapka w postaci skupiska bunkrów, a piłka uderzona zbyt mocno lądowała w głębokim strumyku przepływającym tuż za granicą sektora.

Z tego właśnie potoku o stromych brzegach dwaj sanitariusze wydobywali ciało. Ułożyli je na skraju sektora i wrócili do karetki po nosze.

Doktor Roach siedział w kucki na szczycie skarpy i pakował swoje instrumenty do walizeczki. Podniósł wzrok na Harry'ego, który trzasnąwszy drzwiczkami Austina zbliżył się doń szybkim krokiem. Harry grywał kiedyś z doktorem w klubowych turniejach i polubił tego drobnego, siwiejącego i troszkę zrzędnego konowała.

- Co z nim, doktorze Roach?

Roach powstał z pewnym wysiłkiem z kucków i spojrział współczująco na Harry'ego.

- Bardzo mi przykro, panie Dawson, ale pański ojciec nie żyje. Musiał się zabić padając.

Harry nie po raz pierwszy miał do czynienia z nagłym, tragicznym zgonem i nauczył się powściągać w takich sytuacjach. Kiedy jednak opuścił wzrok na to nieruchome ciało o zalanej krwią głowie i zastygłej w grymasie twarzy, zapanowanie nad sobą kosztowało go wiele wysiłku.

- Zabił się? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Prawdopodobnie. Śmierć nastąpiła natychmiast. Uderzenie piłką golfową ogłuszyło go, upadł i stoczył się po tym stromym brzegu do strumienia. Stan wody jest w nim teraz tak niski, że kamienie wystają ponad powierzchnię. Rozbił sobie głowę o jeden z tych wielkich głazów. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek poczuł...

Harry cofnął się, żeby zrobić miejsce sanitariuszom, którzy wrócili z noszami i przystąpili do przenoszenia na nie ciała ojca. Nie spuszczał oczu z jego przestraszonej twarzy, dopóki jeden z sanitariuszy nie przykrył jej kocem.

Dopiero wtedy detektyw inspektor Harry Dawson podniósł wzrok i rozejrzał się dokoła.

Przez chmury przysłaniające od rana niebo przebiło się wreszcie słońce. W jego promieniach pole golfowe wyglądało szczególnie uroczo. Wśród krzewów janowca po lewej stronie pstrzyły się żółte kwiatki. Torba na kije golfowe ojca leżała na trawie, na skraju sektora. Z kieszeni wyturlały się trzy z czterech nowych dunlopów 65. W przyzwoitej odległości zebrała się grupka gapiów; dwóch pracowników pola i kilku graczy, których przyciągnął tu niecodzienny widok karetki kolebiącej się szlakiem prowadzącym do ósmego sektora. Kawalek dalej mężczyzna około trzydziestki tłumaczył coś szeptem sekretarzowi. Przez ramię przerzuconą miał lekką torbę

ze skromnym zestawem kijów, a ubrany był w strój golfisty, w którym wyglądał tak wspaniale, że mógłby pozo-  
wać jako model reklamujący wyroby firmy szyjącej  
odzież sportową. I w ogóle był aż do przesady zadbane.  
W tej jednak chwili wyglądał na zdenerwowanego i zroz-  
paczonego. Podszedł niepewnie do Harry'ego i odezwał  
się cichym, niskim głosem:

- Panie Dawson, chciałbym, żeby pan wiedział,  
jak... dobry Boże, ja tego nie chciałem...

Głos mu się załamał. Harry nie odrywał wzroku od  
przykrytego kocem ciała na noszach, obserwując czy jest  
ostrożnie ładowane do karetki.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Peter Newton. Trenowałem niedaleko  
stąd. Uderzyłem piłkę z podcięciem z ósmego stanowi-  
ska...

- Z ósmego stanowiska?

- Tak. Ćwiczyłem to uderzenie...

- Czy powiadomił pan policję? - zwrócił się Harry do  
sekretarza.

- Policję? - powtórzył za nim jak echo sekretarz i za-  
stygl z otwartymi ustami.

- Naturalnie - warknął Harry, a widząc wahanie ko-  
mandora, wybuchnął:

- Do jasnej cholery, przecież tu zginął człowiek!

- No tak, rzeczywiście. - Komandor Whitby kiwnął  
głową i zamknął wreszcie usta. Odwrócił się na pięcie i  
oddalił pospiesznie w stronę budynku klubowego.

Dopiero teraz Harry skierował zimne spojrzenie  
swych błękitnych oczu na Petera Newtona.

- A gdzie jego partner?

- Słucham?

- Osoba, z którą grał? Gdzie ona jest?

Peter Newton odwrócił się i rozejrzał bezradnie dokoła,

czemu towarzyszył grzechot kijów w jego torbie golfowej.

- O ile mi wiadomo, pański ojciec był sam.

- Jest pan tego pewien?

- No tak, nikogo tu nie widziałem. W momencie, kiedy zorientowałem się, że uderzona przeze mnie piłka idzie w jego kierunku, krzyknąłem „uwaga”. Ale nie mógł mnie usłyszeć. Może pan sobie wyobrazić moje przerażenie. Kiedy zobaczyłem, że go trafiłem. Pobiegłem co sił w nogach. Spadł z brzegu i leżał tam, w łózysku strumienia. Głowę miał...

- I nikogo z nim nie było?

Peter Newton pokręcił głową.

- Kiedy dobiegłem, nikogo. Panie Dawson, to najstraszniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. To znaczy, usiłowałem właśnie wyjaśnić...

Harry odwrócił się plecami, żeby nie patrzeć na jego nieszczęśliwą twarz.

- Niech pan sobie daruje, panie Newton. Wyjaśni pan wszystko oficerowi policji, który poprowadzi dochodzenie.

Drzwi stojącej dziesięć jardów od nich karetki zatrzasnęły się z hukiem, który zabrzmiał niczym wykrzyknik postawiony po rzeczowym oświadczeniu Harrygo.

- Wypadek? - warknął Harry. - On uparcie nazywa to wypadkiem. Inspektor wydziałowy, a taki skończony dureń. Skąd może to wiedzieć? Próbowałem, Nat, naprawdę próbowałem przemówić mu do rozumu. Ale...

- Ale powiedział ci, żebyś pilnował własnych spraw.

- Mniej więcej. Jak wiesz, jestem teraz na urlopie -

*persona non grata* i tak dalej. Będiesz dobrym kumplem i pogadasz z nim w moim imieniu?

- Tak, oczywiście. - Nat prawdopodobnie się odwrócił, żeby sięgnąć po notes, bo jego głos w słuchawce ścisł. - Jak się nazywa?

- Carter. I jeśli nadal będzie twierdził, że nie ma żadnych poszlak, które wskazywałyby na popełnienie przestępstwa, to...

- Zostaw to mnie, Harry - przerwał mu Nat. - Zostaw to mnie. Oddzwonię do ciebie, jak tylko będę coś wiedział.

- Dzięki, Nat.

Harry odłożył słuchawkę i z westchnieniem ulgi opadł na fotel. Siedział przy biurku ojca zawalonym wciąż przedmiotami przypominającymi człowieka, który używał ich przed kilkoma godzinami. A teraz leży w policyjnej kostnicy. Nat Fletcher był kolegą Harry'ego i dobrym przyjacielem. Zadanie oswojenia nadętego i zadufanego w sobie Cartera lepiej pozostawić jemu.

Kiedy zaczynał tę rozmowę telefoniczną, do pokoju zajrzał Douglas Croft. Harry dał mu znak, żeby został i przysłuchiwał się temu, co mówi. Teraz spojrzał na Douglasa, który wciąż stał w progu z wyrazem oszołomienia na twarzy.

- Harry, czy ty... czy ty naprawdę sądzisz, że chodzi o przestępstwo?

Harry przez chwilę nie odpowiadał. Wpatrywał się w diariusz ojca otwarty na biurku.

- Tak, naprawdę tak sądzę, Douglasie.

Wstał i podszedł do szafki z alkoholem i szkłem. Znalazł butelkę whisky, odmierzył sobie porcję i rozcieńczył ją pół na pół wodą Malvern z drugiej butelki.

- Człowiek umiera na skutek poważnego urazu głowy - podjął nie oglądając się. - Miał grać w golfa z kimś o

nieustalonej tożsamości. Nie natrafiono dotąd na ślad tej osoby. Ale na dużym głazie leżącym obok strumienia znaleziono krew.

Harry wskazał gestem ręki szafkę z drinkami, ale Douglas pokręcił głową odrzucając to milczące zaproszenie. Zbyt był pochłonięty tym, co mówił Harry, by rozpraszać czymkolwiek uwagę.

Harry zaś przeszedł na środek pokoju, wpatrując się w szklaneczkę z whisky z taką intensywnością, jakby to była kryształowa kula wróżki.

- Zgłasza się mężczyzna, Douglasie... zgłasza się mężczyzna, który opowiada, że ćwiczył podcięcia na stanowisku oddalonym o dwieście dwadzieścia jardów od miejsca wypadku.

- Spora odległość, jak na podcięte uderzenie - mruknął Douglas.

- Piłka - ciągnął powoli Harry - która trafiła mego ojca i sprawiła, że wpadł do strumienia...

- Pańskiego ojca?

Obaj mężczyźni odwrócili się zaskoczeni. W przejściu prowadzącym do kuchni stała pani Rogers z koszykiem sprawunków z supermarketu w ręku.

Była bardzo blada.

- Czy coś się stało panu Dawsonowi?

- Proszę tu podejść i usiąść, pani Rogers.

Harry podbiegł do gospośi i przezornie wyjął z jej rąk koszyk, póki jeszcze nie upuściła go na podłogę.

- Tu, na tym krześle. Wszystko to takie niespodziewane i tragiczne.

- Czy on...?

Pani Rogers oddała bez oporów koszyk, ale nie podeszła do krzesła.

- Mój ojciec umarł dziś, pani Rogers. Został zamordowany na polu golfowym.



- Za-zamordowany? - To słowo nie chciało przejść gosposi przez gardło.

- To mógł być wypadek, pani Rogers - wtrącił Douglas Croft w nadziei, że w ten sposób złagodzi szok.

Harry spojrział na niego gniewnie: - Został z premedytacją zamordowany!

Oczy Douglasa patrzącego ponad ramieniem Harryego rozszerzyły się ostrzegawczo. Harry odwrócił się na pięcie i zobaczył, że pod panią Rogers uginają się kolana. Dосkoczył do niej, kiedy osuwała się już na podłogę.

Podczas gdy Harry podtrzymywał pokaźny ciężar ciała pani Rogers, Douglas zgarnął pośpiesznie książki i czasopisma porzucane po kozetce. Harry dociągnął gosposię i ułożył ją na poduszkach tak, by nogi znalazły się powyżej poziomu głowy.

- Może przynieść wody? - spytał Douglas.

- Hmmm? - Harry wpatrywał się ze zdumieniem w obwisłą twarz o zamkniętych powiekach. - O, tak. - A potem powiedział właściwie sam do siebie: - Nie przyszło by mi nigdy do głowy, że ona...

Kiedy Douglas wrócił z kuchni ze szklanką wody, powieki pani Rogers zaczęły trzepotać. Harry uniósł jej głowę, żeby mogła pić.

- Proszę, pani Rogers. Niech pani wypije na razie łyk tego, a potem wstawimy wodę na herbatę.

Pani Rogers zignorowała jego słowa i szklankę wody. Oczy miała teraz szeroko otwarte i patrzyła niewidzącym wzrokiem. Poprzez Harry'ego, poprzez ścianę pokoju. Była w szoku.

Przesunęła językiem po wargach i wyszeptala tylko dwa słowa:

- Nie żyje.

Harry spojrział z rozpaczą na rozgardiasz na stole i w kuchni. Zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści. Nie rozumiał, jak przyrządzenie i zjedzenie śniadania mogło mu zająć tyle czasu, biorąc nawet pod uwagę fakt, że załał się poprzedniego wieczoru.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi od ulicy, chciał udać, że go nie słyszy. Był w piżamie, w szlafroku i nie zdążył się jeszcze ogolić. Zresztą, to prawdopodobnie kolejny dziennikarz. Ale ostry werbel kołatki, który rozległ się po dzwonku, zabrzmiał jakoś urzędowo. Przeczesał palcami włosy Harry zszedł po schodach do prywatnych drzwi obok wejścia do sklepu.

W progu stał krzepki mężczyzna po czterdziestce. Włosy miał krótko przystrzyżone, oczy czujne i niepokojne. Ubrany był w krótki, granatowy płaszcz przeciwdeszczowy, a jego ręce sprawiały wrażenie gotowych do ataku lub obrony. W każdej chwili.

- Nat! - krzyknął zaskoczony Harry. - Wejdz.

Nat skinął przyjaźnie głową i wszedł za Harrym na schody.

- Jak się czujesz po wczorajszych przejściach, stary?

- Jestem wciąż otumaniony, skacowany, wymagany przez tych sakramenckich dziennikarzy. - Harry zatrzymał się, żeby przepuścić gościa przodem. - Wehódź.

- Posłuchaj. - Głos Nata Fletchera był poważny. - Wiem, że powiedziałem ci to już wczoraj przez telefon, ale naprawdę bardzo mi żal twojego ojca.

- Tak. Oczywiście. Dziękuję, Nat. - Harry potrząsnął bezradnie głową nad ogólnym bałaganem panującym w pokoju. Bystre oczy Nata oszacowały już sytuację: nie uszła ich uwagi koperta oparta o ścianę na obramowaniu kominka.

- Przepraszam za ten bałagan. Pani Rogers, gosposia, odeszła bez uprzedzenia. Zostawiła przepraszający liścik,

w którym pisze, że jej ukochany bratanek Hubert zachorował na gripę.

- To ładnie... w tych okolicznościach.

- Szczerze mówiąc, rad nawet jestem. Całkiem się rozkleiła. Po stracie psa też była nie do wytrzymania. Ale teraz...

Nat odchrząknął.

- Czasami, Harry, najlepiej dać upust uczuciom.

Powiedział to tonem dorosłego, który poucza młokosa.

- Wiem - w głosie Harry'ego pojawiła się nutka urazy. - Tylko że niektórzy mają dziwne sposoby okazywania ich. Co słyhać u inspektora Cartera? Wciąż upiera się przy nieszczęśliwym wypadku?

Nat rozpiął płaszcz, ale go nie zdjął. Na twarzy Harry'ego dostrzegł oznaki stresu i zmęczenia. Byli dobrymi przyjaciółmi, ale czasami dochodziło między nimi do kłótni.

- Słuchaj, Harry, jeśli zamierzasz robić trudności...?

- Trudności! - wybuchnął Harry. - Tu chodzi o mojego ojca, a wy spodziewacie się, że będę spokojnie siedział?

- Tak, i że zostawisz to profesjonalistom,

- Widziałeś się z Carterem?

- Naturalnie. Nie wywarł na mnie wrażenia тумana, ani typa, który by coś przeoczył.

- Co myśli o historyjce Newtona? Wierzy w nią?

- Posłuchaj. - Nat mówił tonem przygany, jakim strofuje się niesforne dziecko. - Newton nie znał twojego ojca. Byli sobie obcy. Ten człowiek trenował. Podciął niefortunnie piłkę. Zastanów się, do cholery. Najlepszy golfista świata nie trafiłby z rozmysłem człowieka z odległości ponad dwustu jardów!!

- Nie wiadomo, czy to odbyło się w ten sposób.

Nat zmarszczył czoło, ale Harry ciągnął uparcie.

- Znaleźli już piłkę? Lekarze sądowi byłiby w stanie stwierdzić, czy naprawdę go trafiła? A co z kamieniem, o który rzekomo uderzył głową padając?

- Jak to, co?

- Widziałeś już raport z sekcji zwłok? Patolog potrafi określić...

- Oczywiście, że potrafi. I dopiero, kiedy on oraz chłopcy z laboratorium zrobią wszystkie badania, będzie można kwestionować wiarygodność zeznań Newtona. Nie wcześniej.

- W porządku, w porządku. - Harry szarpnął końce paska od szlafroka. - W takim razie, co z człowiekiem, z którym mój ojciec miał grać? Z którym miał mnie poznać w budynku klubowym?

Nat zapinał z powrotem płaszcz.

- Naturalnie, Carter o niego wypytuje. Ale jak dotąd, Harry, nie znaleziono nikogo, kto potwierdziłby tę hipotezę.

- Hipotezę?

- Prawda jest taka - ciągnął Nat dobitnym głosem, że pracownik klubu twierdzi, iż widział twojego ojca wychodzącego na pole samotnie.

Zanim Harry zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

- Jeśli to znowu dziennikarz...

Nat szedł już w stronę drzwi rad z nadarzającego się pretekstu do przerwania tej przykrej rozmowy.

- Słuchaj. Muszę już lecieć. Dam ci znać, jak wypłynie coś nowego. Okay?

- Okay - przytaknął pośpiesznie Harry.

Zaczekał, aż za Natem zamkną się drzwi, oskarżając się w myślach o zbytnią napastliwość. Nie mógł sobie teraz pozwolić na antagonizowanie takiego dobrego przyjaciela. Telefon dzwonił uparcie i zrezygnowany Harry sięgnął w końcu po słuchawkę.

Kilka mil dalej, w luksusowej rezydencji położonej o rzut kamieniem od Hampstead Heath, elegancka kobieta wsłuchiwała się w dźwięczny sygnał w słuchawce stylizowanego na antyk aparatu telefonicznego. Zdecydowana była czekać tak pełne dwie minuty.

Była już po pięćdziesiątce, zachowała jednak wspinałą figurę rezygnując z posiadania dzieci, i piękną twarz dzięki częstym wizytom w salonach kosmetycznych.

Otoczenie dawało jej stosowną oprawę. Salon jej różnił się znacznie od pokoju wypoczynkowego Dawsona. Urządzono go z przepychem, a jednocześnie funkcjonalnie. Każdy przedmiot zdradzał kobietę wystarczająco bogatą, by schlebiać swemu wytwornemu smakowi.

Czekając wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze wiszącym za telefonem. Sybil Conway lubiła patrzeć na siebie podczas rozmów z niewidocznym człowiekiem po drugiej stronie linii.

- Halo.

Sybil Conway zerknęła do notesu leżącego na stoliczku obok aparatu.

- Czy to numer 586-2679?

- Tak.

- Nazywam się Conway. Pani Conway. W naszej lokalnej gazecie ukazało się ogłoszenie o zaginionym pudlu.

- Tak. Zgadza się.

- Czy to pański pies, panie...?

- Dawson. Nie, to pies mojej gosposi, ale ogłoszenie dałem ja. Znalazła pani tego pudła, pani Conway?

- Tak. - Sybil Conway zachichotała cicho. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

Podobał się jej ten głos. Pobrmiewała w nim jakaś

męska szorstkość. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Z doświadczenia wiedziała, że telefon również jej głos czyni bardziej kuszącym.

- Jest podobny do tego z fotografii w gazecie - tylko trochę zaniedbany. To mój mąż znalazł go wczoraj wieczorem w ogrodzie.

- Skąd pani telefonuje, pani Conway?

- Mieszkamy w Hampstead. Dom nazywa się „Stilwater”. To przy Broadway Avenue. Zna pan Hampstead, panie Dawson?

- Tak, znam.

- To bardzo duży dom na samym rogu. Stoi w pewnym oddaleniu od głównej drogi. Skręca się z niej w podjazd na prawo.

- Będzie pani do południa w domu?

- Tak. Jesteśmy tu z mężem cały dzień. Może pan wpaść o dowolnej porze.

- Dziękuję, pani Conway. To miło, że pani zatelefonowała.

Odłożył słuchawkę pierwszy. Sybil Conway odwiesiła niespiesznie swoją, po czym spuściła wzrok na gazetę. Widniała tam fotografia Zero z ładną obrózką na szyi, proszącego o ciasteczko.

- W porządku, Zero. Pocałowałaś mnie już trzy razy. Wystarczy.

Harry przywoływał do porządku małego, czarnego pudła, którego trzymał na kolanach. Zero jeszcze się nie nacieszył widokiem starego przyjaciela i raz po raz trącał bardzo wilgotnym nosem twarz Harry'ego, zostawiając na niej mokre ślady. Trudno było poskromić ten tryskający energią kłębuszek. Obroży, którą miał na szyi w dniu zaginięcia, nie było.

Pani Conway siedziała w drugim końcu obitej adamaszkowej sofy, krzyżując z gracją zgrabne nogi. Arnold Conway, choć siedzący w inwalidzkim fotelu na kółkach, przejawiał wielką ruchliwość. Fotel był bardzo nowoczesny, i jego właściciel zdawał się znajdować upodobanie w obracaniu go co i rusz w inną stronę. Ubrany był w wyszukanie, co miało prawdopodobnie stanowić przeciwagę jego kalectwa. Według Harry'ego był nieco młodszy od swojej żony.

- Naturalnie - opowiadał - byłem bardzo zaskoczony, kiedy zobaczyłem tego zwierzaka. Siedział schowany za rododendronem i jakby spał. A niech mnie, pomyślałem, ki diabeł cię tu przyniósł.

Chwytnąjąc dłońmi za błyszczące, chromowane obręcze, przy pomocy których mógł poruszać kołami, obrócił się z fotelem o sto osiemdziesiąt stopni i podjechał do oszklonych drzwi wychodzących na okoloną krzakami trawnik.

- To już ponad tydzień, jak zaginał. Straciliśmy nadzieję, że go jeszcze zobaczymy. - Harry przytrzymał łeb psa i spojrzał mu w oczy. - Gdzieś ty się wałęsał, Zero? Co się z tobą, u licha, działo?

- Mówi pan, że kiedy zaginał miał na szyi obrozę? - wtrąciła się pani Conway.

- Tak, bardzo ładną. Ojciec podarował ją pani Rogers na urodziny.

- Pani Rogers? Nie pudłowi?

Pani Conway wybuchnęła zaraźliwym śmiechem. Harry również się roześmiał.

Pan Conway odwrócił się znowu z fotelem i podjechał do sofy.

- Pewnie jakiś długowłosy typ zwabił go do swojego samochodu, zdjął mu obrozę, a potem wyrzucił kopniakiem.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Zero, ale pies warknął ostrzegawczo. Conway pokrył ten afront śmiechem.

- Wiele przeszedłeś, stary, ale twoja pani chyba ci to teraz wynagrodzi.

- To mało powiedziane - stwierdził z przekonaniem Harry. Wstał z sofy przytulając pudła do piersi. - Panie Conway, w ogłoszeniu była mowa o nagrodzie. O pięciu funtach, jeśli mnie pamięć nie myli...

- Panie Dawson, proszę pana... - Na wzmiankę o pieniądzach pani Conway uniosła z przerażeniem delikatną dłoń.

- Nie gadaj głupstw, stary. - Conway cofnął się z wózkami kilka jardów. - Wystarczy, że znaleźliśmy tego szkraba.

Obracał się już ku drzwiom, jakby z zamiarem odprowadzenia do nich Harry'ego, kiedy nagle znieruchomiał olśniony pewną myślą. Zadowolony z pomysłu odwrócił się z powrotem, a usta rozciągnął mu figlarny uśmiech.

- Nie przeznaczylby pan tej piątki na cele dobroczynne?

- Kochanie! - zaprotestowała bez przekonania Sybil Conway.

- No, nie przesadzaj, staruszko. Jak sądzisz, niby dlaczego powierzono mi tę funkcję? Jestem prezesem „Chomików”, panie Dawson. Może słyszał pan o nas?

- Nie. Przykro mi, ale nie słyszałem.

- To miejscowe towarzystwo charytatywne. Pomagamy emerytom, opiekujemy się biednymi dziećmi z tego okręgu, czasami organizujemy jakieś imprezy - dochód przeznaczamy oczywiście na cele dobroczynne. W zeszłym roku zebraliśmy dobrze ponad osiemset funtów.

Harry postawił Zero na podłodze. Pudła wskoczył natychmiast do pani Conway na poduszki.



- No cóż, oczywiście. Z największą przyjemnością.
- Dziękuję panu, panie Dawson.
- Arnoldzie, jesteś istnym potworem!
- Bzdura, Sybil. Sama wiesz, że w obecnych czasach liczy się każdy szyling. - Conway mrugnął do Harry'ego. - Wypisz czek na nazwisko Basil Higgs, stary. To nasz sekretarz. H-I-G-G-S.

Pani Conway gładziła ucho Zera, który leżał wtulony w jej udo. Wolną ręką wskazała sekretarzyk.

- Może pan skorzystać z tamtego stoliczka, panie Dawson.

Harry podszedł do stolika wyciągając po drodze książeczkę czekową, usiadł i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu pióra.

- Basil chyba się do pana odezwie – powiedział Conway odbywając krótką rundę dokoła sofy. – Ma obowiązek napisać do pana kilka słów.

Pani Conway znowu się uśmiechnęła.

- O tak, z pewnością odezwie się do pana. Dwa razy w roku.

Harry uśmiechnął się, otworzył książeczkę czekową i zaczął wpisywać nazwisko Basila Higgosa.

Liz była w sklepie sama i obsługiwała właśnie klienta, kiedy z mieszkania na górze zbiegł z łoskotem Harry. Miał wciąż na sobie płaszcz i bardzo się śpieszył. Liz załatwiła czym prędzej klienta i pośpieszyła do kantorku na tyłach sklepu. Harry siedział za biurkiem i wysuwając szufladę po szufladzie grzebał w nich. Sprawiał przy tym wrażenie bardzo spiętego i zaferowanego.

- Mogę w czymś pomóc, panie Dawson?

Harry nie podniósł na nią wzroku. Znalazł w dolnej

szufladzie plik tekturowych teczek i zaczął je nerwowo przerzucać.

- Gdzie jest ta teczka, Liz?
- O jaką teczkę panu chodzi, panie Dawson?
- O tę, którą Douglas przyniósł wczoraj rano na górę.

To zwyczajna, niebieska teczka, z tym, że był na niej zapisany numer - numer rejestracyjny samochodu.

- Numer samochodu?
- Tak. JKY 384. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Muszę się upewnić.

Liz potrząsnęła głową usiłując przypomnieć sobie, gdzie ostatnio widziała jakąś niebieską teczkę.

Na kręconych schodkach, które opadały niżej, aż do piwnicy, znowu zadudniły kroki. Spod podłogi wysunęła się głowa Douglasa Crofta. Taszczył stos pudeł z magazynu.

- Douglasie - zwrócił się do niego Harry - pamiętasz tę teczkę z listami, z którą przyszedłeś wczoraj na górę? Taką niebieską?

- Pamiętam.
- Gdzie ona jest?

Douglas zawahał się speszony tonem Harry'ego. Bez słowa podał stos pudeł Liz, i ta wyszła z nimi na salę sklepową. Douglas podszedł do tacy na listy i podniósł ją odkrywając leżącą pod spodem niebieską teczkę. Podał ją Harry'emu.

Harry obrócił teczkę, żeby spojrzeć na tylną okładkę.

- Wiedziałem, że pamięć mnie nie myli. - Wskazał palcem na litery i cyfry nabazgrane na kartonie. - To ten numer, Douglasie, JKY 384 L. Pytałeś o to mojego ojca.

- Tak. Nie wiedziałem, co oznacza. Myślałem, że on go zanotował. Zaprzeczył, ale jestem pewien, że to jego pismo.

- Widziałem ten numer dziś rano - oznajmił cicho

Harry. - Na tablicy rejestracyjnej Fiata kombi. Zatrzymałem się na światłach na Finchley Road. Ten samochód podjechał od wewnętrznej omal się o mnie nie ocierając. Byli w nim mężczyzna i dziewczyna. Kłócili się. Dziewczyna miała około dwudziestu lat i była niczego sobie. Twarzy mężczyzny nie widziałem, dopóki się nie odwrócił, żeby spojrzeć na światła. Wtedy rozpoznałem w nim Petera Newtona.

- Tego faceta, który posłał piłkę, która...
- Tego samego.

Douglas wyjął Harry'emu teczkę z rąk i przyjrzał się bacznie widniejącemu na niej napisowi.

- Jesteś tego pewien, Harry?
- Absolutnie. Kiedy światła się zmieniły, puścił gwałtownie sprzęgło i wyrwał do przodu. Zobaczyłem wtedy jak na dłoni tablicę rejestracyjną. Bez wątpienia był na niej numer JKY 384 L.

Harry wstał i podszedł do półki z książkami telefonicznymi Londynu. Wyciągnął tom L-R, położył go na biurku i otworzył na nazwiskach zaczynających się na N. Przesunął palcem przez połowę figurujących tam Newtonów, zanim znalazł inicjał imienia P.

Douglas, opierając się łokciem o wysoką szafkę na akta, obserwował Harry'ego wykręcającego numer. Połączenie nastąpiło natychmiast, jakby po drugiej stronie linii spodziewano się tego telefonu.

- 589-1872.
  - Czy rozmawiam z panem Peterem Newtonem?
- Krótką pauza, a potem niepewne pytanie:
- Tak. Kto mówi?
  - Tu Harry Dawson.
  - Och, pan Dawson. Sam się zastanawiałem, czy by do pana nie zadzwonić.
  - Naprawdę?

- Tak. Żeby powiedzieć, jak strasznie mi przykro z powodu tego tragicznego...

- Chciałbym się z panem zobaczyć, Newton - przerwał mu obcesowo Harry. - Kiedy możemy się spotkać?

- No więc... pracuję do dziewiętnastej, a potem jestem umówiony na kolację.

- O której będzie pan w domu?

- Przypuszczam, że koło wpół do jedenastej.

- Wpadnę do pana - powiedział stanowczo Harry. Zerknął na adres w książce telefonicznej. - 3 Linton Close, Chelsea?

- Tak. Dosyć trudno tu trafić, panie Dawson. To kolonia szeregowych domków przerobionych ze starych stajni w pobliżu Sloane Square.

- Bez obawy. Znajdę.

- Proszę wejść prosto na górę. Mieszkam na pierwszym piętrze.

- Dobrze. A więc o wpół do jedenastej.

Harry odłożył z trzaskiem słuchawkę i spojrzął na Douglasa Crofta. Starannie uczesany mężczyzna przypatrywał mu się w zadumie.

Harry sprawdził dokładnie gdzie jest Linton Close w policyjnym przewodniku po ulicach Londynu. Radio samochodowe podało, że minęła 10.30 dokładnie w momencie, kiedy jego ciemnozielony Austin 1100 skręcał ze Sloane Square w ślepą uliczkę noszącą obecnie nazwę Linton Close. Swego czasu znajdowały się tu stajnie, w których szlachta z pobliskiej Belgravii trzymała konie i powozy, na pięterkach zaś mieściły się kwatery dla stajennych i koniuszych. Obdarzony wyobraźnią przedsiębiorca przebudował to wszystko uzyskując

niepowtarzalny efekt; od malowniczej wiejskiej uliczki różniła zaulek jedynie liczba drzwi garażowych na parterze.

Długi, piętrowy budynek oświetlało kilka staroświeckich latarni powozowych zawieszonych nad wejściami. Harry dostrzegł Fiata kombi zaparkowanego przy drugim końcu szeregowca i zatrzymał samochód mniej więcej dwadzieścia jardów za nim. Wyjął kluczyki ze stacyjki, ale nie zamknął wozu. Ktoś z lokatorów będzie go może chciał przepchnąć w przód, albo w tył, gdyby tarasował mu wjazd do garażu.

Zza jednego z oświetlonych, ale zasłoniętych storami okien słyhać było muzykę Berlioza odtwarzaną na sprzęcie hi-fi. Oczy Harry'ego dostosowywały się z wolna do słabego oświetlenia. Odróżniał już pełne kwiatów skrzynki w oknach i wesołe kolory, na jakie pomalowano drzwi. Zatrzymał na chwilę wzrok na tablicy rejestracyjnej Fiata - JKY 384 L.

Drzwi, przed którymi stał wóz, były lśniaco purpurowe, a na ich płycie połyskiwała mosiężna cyfra 3. Harry ruszył w ich kierunku. W swoich butach na gumowej podeszwie poruszał się bezszelestnie po płaskiej kostce, którą wybrukowano uliczkę. Drzwi były uchylone, a za nimi panowały nieprzeniknione ciemności.

Instynkt, który wyrobił sobie podczas pracy w policji, ostrzegł go, by nie wchodził do ciemnego pomieszczenia, mając światło za plecami. Stanąwszy po stronie zawiasów popychał ostrożnie drzwi, dopóki te nie zatrzymały się na ścianie od wewnątrz. Mały korytarzyk był pusty, nie stał w nim żaden sprzęt, za którym mógłby się ktoś czaić. Wyłożone grubym chodnikiem schody na jego końcu prowadziły na podest oświetlony przyćmionym, pomarańczowym światłem kinkietu. Schody zapraszały, zachęcały gościa, by zaraz po wejściu z ulicy poczuł się jak w domu.

Harry wstąpił na nie, ostrożnie zagłębiając stopy w puch tłumiącego kroki chodnika. Drzwi do mieszkania Petera Newtona znajdowały się na samej górze po prawej. Wpuszczona w sufit lampa rzuciła plamę jasności na dywan - a przy okazji na każdego, kto stał przed drzwiami. Same drzwi były białe, z krawędziami obwiedzionymi złotą farbą. Obok nich, wsunięta w mosiężną ramkę, widniała wizytówka z nazwiskiem Petera Newtona. Pod nią znajdował się przycisk dzwonka.

Harry nacisnął go. W mieszkaniu rozbrzmiały dyskretnie stłumione tony kurantów.

Upłynęło pół minuty. Harry zastanawiał się, czy nie jest czasem obserwowany przez judasza w drzwiach. Jeśli mieszkanie było wyłożone dywanami, nie usłyszałby zbliżających się kroków.

Nacisnął ponownie przycisk dzwonka, tym razem mocniej. Kuranty powtórzyły trzykrotnie swój refren. Nawet tutaj, na korytarzu, Harry wyczuł zwiewną woń perfum.

Na drzwiach nie było kołatki. Jeszcze przez dwadzieścia sekund nie odrywał palca od przycisku dzwonka i dźwięk kurantów zaczynał mu się kojarzyć z wezwaniem na jakąś tajemniczą czarną mszę.

Gdzieś na zewnątrz zamknięto drzwiczki samochodu. Nie zatrzęsnięto ich z całej siły, ale jednak stanowczo. Harry zerknął na zegarek. Była 10.35. Zaczeka na Petera Newtona w swoim wozie.

Odwracał się właśnie ku schodom, kiedy zza drzwi mieszkania doleciał nowy odgłos. Zaczął dzwonić telefon. Harry zatrzymał się ciekawym, czy ktoś go odbierze.

Telefonująca osoba nie rezygnowała. Dzwonek, zanim uciął, wypełniał swym terkotem mieszkanie przez dobre trzy minuty.

Harry zszedł zamyślony po schodach.

Na ulicy nadal nie było żywego ducha. Staął w progu i spojrzął w kierunku Fiata. Jego uwagę przyciągnęło coś leżącego na ziemi, przy tylnych drzwiczkach. Podszedł i schylił się. Był to cieniutki, kolorowy pasek nylonowej organdy, jakim kobiety jeżdżące samochodem przewiązują sobie włosy.

Podniósł go do nosa. Zapach był silny, ale Harry nie miał pewności, czy to ten sam, który poczuł pod drzwiami mieszkania Petera Newtona.

I w tym momencie jego mózg zaczął wysyłać ostrzegawcze sygnały. Poczuł mrowienie na potylicy. W bagażowej części Fiata kombi leżał toból dziwnego kształtu przykryty pledem.

Harry obszedł samochód, stanął przed klapą bagażnika i wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby chwytając za klamkę nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców. Klapa nie była zamknięta i uchyliła się lekko w górę.

Harry uniósł energicznym ruchem pled. Jego oczom ukazała się torba na kije golfowe, wózek na dwóch kółkach i skórzana walizeczka zawierająca zapewne zmianę garderoby. Z uczuciem ulgi opuścił z powrotem pled. Ten sprzęt do golfa wart jest pewnie ponad sto funtów.

Zatrzasnął klapę bagażnika i przeszedł do przednich drzwiczek od strony pasażera. Szyba była do połowy opuszczona. Na siedzeniu leżała otwarta paczka papierosów i wieczorna gazeta. Po chwili zastanowienia wrzucił tam też opaskę.

Dochodziła 10.40. Newton okazywał się cholernie niepunktualny. Idąc do własnego samochodu, Harry zapalił. Nie był nałogowym palaczem, ale nosił przy sobie papierosy z myślą o takich jak ta okazjach. Dobry tytoń zabijał zniecierpliwienie, łagodził mękę czekania.

Podczas takich oczekiwań, których smak znał aż za

dobrze, wygodniej było zawsze na fotelu pasażera, gdzie nie przeszkadzała kierownica, ani pedały. Kładąc dłoń na klamce spojrzął jeszcze raz na Fiata.

Drzwiczki odskoczyły same pod naporem czegoś ciężkiego, co wysunęło się bezwładnie z wozu waląc z głuchym łomotem o próg. Harry patrzył na zwisającą w dół, twarzą na zewnątrz, głowę Petera Newtona. Mężczyzna miał otwarte usta i oczy wpatrzone w przestrzeń.

Jego ciało rzucono w poprzek przednich siedzeń Austina 1100, upychając podkurczone nogi jednymi drzwiczkami, a głowę drugimi. Teraz trup prostował się powoli ciągnięty ku brukowi ciężarem głowy i ramion.

- Czy rozpoznalibyście dziewczynę, którą widzieliście dzisiaj rano w towarzystwie Newtona?

Głos nadinspektora Hala Yardleya był złowieszczo przyjazny i spokojny. Harry dobrze wiedział, że to początek jednego z napadów furii Yardleya.

- Tak, rozpoznałbym.

- Okay. Kontynuujcie, Dawson.

- No więc - zaczął niepewnie Harry - kiedy skojarzyłem sobie, że to numer tego samochodu, zatelefonowałem od razu do Newtona i umówiłem się z nim na spotkanie.

- Po co?

Na to pytanie nie było odpowiedzi, która zadowoliłaby Yardleya, i Harry zdawał sobie z tego sprawę. Siedział obok swego przełożonego w samochodzie bez policyjnych oznakowań, zaparkowanym przy Linton Close. Upłynęło zaledwie dwadzieścia minut od jego telefonu do Nata Fletchera ze Scotland Yardu, ale to wystarczyło, by ustronna, cicha uliczka zmieniła się nie do poznania.



Tłoczyło się na niej z pół tuzina policyjnych radio-wozów. Umundurowani funkcjonariusze powstrzymywali gapiów zbierających się u wylotu na Kennerton Street i usiłowali legitymować dziennikarzy, którzy zjawili się niemal równocześnie z policją. Zainstalowano już jaskrawą lampę łukową oświetlającą Austina 1100 i jego najbliższe otoczenie. Za parawanem, którym otoczono samochód, by ukryć przed oczyma osób postronnych jego makabryczną zawartość, lekarz policyjny kończył właśnie wstępne badanie. Fachowo i energicznie spełniali swe powinności ludzie od zdejmowania odcisków palców i detektywi po cywilnemu. Policyjny ambulans zawracał już w wąskiej uliczce, żeby przetransportować ciało do policyjnej kostnicy, gdzie zostanie drobiazgowo zbadane.

Harry wiedział, że na jakiś czas może się pożegnać ze swoim samochodem. Zostanie zatrzymany i poddany tak samo dokładnym badaniom, jak trup.

- Po co? - powtórzył swe pytanie Yardley. Zabrzmiało to jak suchy trzask pioruna zwiastujący nadciągającą burzę. Harry postanowił sobie w duchu, że nie pozwoli się zepchnąć do pozycji strofowanego uczniaka.

- Chciałem mu zadać kilka pytań.

- Chcieliście mu zadać kilka pytań? - Yardley sprawił wrażenie człowieka nie wierzącego własnym uszom.

- Byliście w pełni świadomi, że jest objęty dochodzeniem prowadzonym przez wydział kryminalny, a mimo to postanowiliście działać na własną rękę?

- Z całym szacunkiem, sir - przerwał mu Harry patrząc przez przednią szybę wozu. - Nie działałem oficjalnie.

- Nie? No to jak, u diabła, działaliście?

- Jako syn, sir. Syn, którego ojciec został właśnie zamordowany. Widzi pan, ja jestem niemal pewien, że

Newton znał mojego ojca. - Harry odwrócił głowę i napotkał gniewne spojrzenie nadinspektora. - Nie wierzę, że mój ojciec zginął przez przypadek, sir.

- Nie wiem, jak było z waszym ojcem. Wiem jednak, że Newtona zabito strzałem w tył głowy z małokalibrowego pistoletu. - Krzaczaste brwi nadinspektora nastroszyły się i ściągnęły gniewnie. - Wiem z różnych źródeł, Dawson, że wysnuwaliście rozmaite przedwczesne wnioski w związku z tym Newtonem. A teraz okazuje się, że umówiliście się z nim na wieczór.

- Powiedziałem już panu, po co się z nim umówiłem - burknął Harry z rosnącym rozdrażnieniem. Nat Fletcher wyłonił się zza parawanu i ruszył w stronę samochodu. Nie wiedzieć czemu sprawił na Harrym wrażenie człowieka niosącego złe nowiny. - Umówiłem się z nim z ciekawości. Zastanawiało mnie, po co mój ojciec zapisał numer rejestracyjny samochodu Newtona...

Harry urwał. Yardley nie słuchał. Naczelný nadinspektor opuścił szybę, żeby dowiedzieć się co ma mu do powiedzenia Nat.

- Ani śladu broni - zaczął Nat. - Może jest jeszcze gdzieś w budynku, ale przecież dosyć dokładnie go przeszukaliśmy. Idziemy teraz do mieszkania.

- Okay.

Nat zerknął niepewnie na Harry'ego, a potem wręczył Yardleyowi jakiś strzępek papieru.

- Znaleźliśmy to przy Newtonie, sir. Miał to w kieszeni płaszcza.

Zerknąwszy jeszcze raz na Harry'ego, Nat oddalił się. Yardley przekręcił się w fotelu podstawiając mały, wymiotoszony karteluszek pod światło lampy łukowej. Wpatrywał się weń przez kilka chwil, a potem spojrzał dziwnie na Harry'ego.

- Czy kiedy rozmawialiście przez telefon, Newton wspominał wam o jakimś liście, Dawson?

- Nie. - Harry pokręcił głową. - A o co chodzi?

- Wygląda na to, że wysłał do was list, list polecony. Nadał go dzisiaj. To jest dowód nadania.

Harry wziął kwit z rąk nadinspektora. Czarnym, pocztowym długopisem wpisano na nim jego nazwisko i adres.

- Czy orientujecie się, czego dotyczył ten list?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- Jesteście tego pewni?

- Oczywiście, że jestem! - warknął Harry niegrzecznie.

- No nic, nie przejmujcie się - odparł Yardley z zaskakującą łagodnością. - Jutro rano się tego dowiemy, Dawson. Obaj się dowiemy.

Kiedy zaczęło się rozwidniać, Harry zrezygnował z prób zaśnięcia. Rozbudzona wyobraźnia nie dawała mu spokoju podsuwając natrętnie myśli o liście poleconym. W piżamie i w szlafroku przyrządził sobie śniadanie i podjął próbę zaprowadzenia w kuchni jakiego takiego porządku.

O wpół do dziewiątej zszedł po schodach do drzwi od ulicy, żeby sprawdzić, czy nadeszła już poranna poczta. Listy poleczone często doręczano później. Poczty nie było, ale na macie pod drzwiami leżała poranna gazeta. Harry podniósł ją, otworzył drzwi od ulicy na oścież i zostawił je tak, żeby listonosz, kiedy się zjawi, mógł wejść od razu do mieszkania.

Poranna gazeta przynosiła ponury opis morderstwa popełnionego przy Linton Close zilustrowany portretem Petera Newtona.

Harry wchodził właśnie na podest, kiedy tupot

ciężkich kroków za plecami kazał mu się obejrzeć. Schodami wspinała się za nim imponująca postać naczelnego nadinspektora Yardleya.

— Za wcześniej przyszedłem? — spytał Yardley.

Jak na tak zwalistego mężczyznę, nadinspektor pokonywał stopnie z podziwu godną zwinnością. Harry odebrał uwagę szefa jako reprimendę za to, że jest jeszcze w piżamie.

— Nie — zapewnił, odsuwając się na bok i przepuszczając gościa. — Proszę wejść.

— Poczta już przyszła?

— Jeszcze nie. Ale powinna być lada minuta.

Yardley wszedł do saloniku i jego oczy dokonały automatycznie profesjonalnej lustracji tej części mieszkania Dawsona.

— Napije się pan kawy? Właśnie zamierzałem zaparzyć sobie filiżankę.

— Ja nie chcę. — Yardley odwrócił się na pięcie i przeszył Harry'ego ironicznym spojrzeniem. — Ale wy się nie krępujcie.

— Nie musiał się pan fatygować osobiście — powiedział Harry wytrzymując spojrzenie szefa. — Przyniosłbym panu ten list.

— Tak, wiem. Ale chciałem się z wami zobaczyć. — Yardley wskazał ruchem głowy na najwygodniejszy z obitych skórą foteli. — Mogę usiąść?

— Oczywiście, bardzo proszę.

Poduszki fotela westchnęły pod ciężarem mamuciego cielska Yardleya, Harry usadowił się na poręczy sofy.

— No, nie krępujcie się. Róbcie sobie tę kawę.

— Dobrze, dobrze. Kawa może poczekać. Mam mnóstwo czasu. Jestem przecież na urlopie.

— Ach, tak — Yardley pokiwał głową, jakby dopiero teraz się o tym dowiedział. — Do kiedy?

- Do dwudziestego piątego. W jakiej sprawie chciał się pan ze mną zobaczyć?

Yardley, zanim się odezwał, przyglądał się chwilę Harry'emu. Kąciaki ust dziwnie mu podrygiwały, jak zawsze, kiedy miał w zanadrzu jakąś rewelację.

- Dawson - zaczął - powiedzieliście mi wczoraj wieczorem, że nie znaliście wcześniej Newtona? Że po raz pierwszy zobaczyliście go na polu golfowym.

- Zgadza się.

Następne pytanie padło znienacka. Było jak szybka kula puszczona nieoczekiwanie przez niemrawego kręglarza.

- Co wam mówi nazwisko Higgs? Znacie kogoś o tym nazwisku?

- Higgs? Nie, nie sędzę.

Yardley wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej swój portfel.

- Na imię ma Basil, Basil Higgs.

- Basil? - Harry przypomniał sobie. - Wczoraj rano wystawiłem czek na osobę o nazwisku Basil Higgs.

- Zgadza się. - Yardley wydobyl z portfela czek. - Faktycznie go wystawiliście, Dawson. Czek na sumę pięciu funtów.

Harry wziął czek od Yardleya.

- Skąd się u pana wziął?

- Znaleźliśmy go wczoraj wieczorem.

- Gdzie?

- W szufladzie, w mieszkaniu Petera Newtona.

- Ależ ja go nie dawałem Newtonowi!

- Gotów jestem w to uwierzyć, ponieważ jest wystawiony na niejakiego Basila Higgsa - przyznał beznamyślnie Yardley.

- Tak, tylko że Higgswi też go nie dawałem. Pozwoli pan, że wyjaśnię wszystko od początku.

- Byłbym bardzo zobowiązany - zapewnił go Yardley.

Harry streścił pokrótce historię zaginięcia Zera, wspominając na koniec o Conwayach, którzy przeczytali w gazecie ogłoszenie i zatelefonowali, że znaleźli zgubę.

- Pojechałem tam wczoraj rano, żeby odebrać psa. Wywarli na mnie sympatyczne wrażenie. On jest inwalidą. Jeździ na wózku. Żegnając się z nimi napomknąłem o nagrodzie i Arnold Conway zaproponował, żebym przeznaczył te pięć funtów na prowadzoną przez niego działalność charytatywną. Poprosił o wystawienie czeku na swojego sekretarza, Basila Higgsa.

- Rozumiem. - Yardley wyciągnął rękę po czek. Wsunął go z powrotem do portfela, który schował do kieszeni. - A więc w jaki sposób ten czek znalazł się u Newtona?

- Nie wiem. - Harry pokręcił głową. - Nie mam zielonego pojęcia.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. W ciszę, jaka zaległa, wdarło się energiczne pukanie do drzwi od ulicy, a zaraz po nim zadźwięczał kurant dzwonka.

- Czy to listonosz? - Yardley zaczął dźwigać się z fotela.

- Najprawdopodobniej.

Harry wyszedł na korytarz. Listonosz zdążył już wspiąć się na podest i stał tam z plikiem listów w ręku. Na wierzchu trzymał kwitariusz przesyłek poleconych.

- Dzieńdoberek.

- Dzień dobry.

- List polecony do Dawsona. Proszę tu podpisać. Harry podpisał i odebrał długą, pękatą kopertę.

- Dziękuję.

- Ja również, sir - odparł raźnie listonosz.

Harry zamknął drzwi, odłożył plik poczty na stoliczek w korytarzu i z listem poleconym w ręku wszedł wolno do pokoju.

- Przyszedł? - Yardley nie potrafił ukryć podniecenia.
- Tak.

Nie odrywając wzroku od długiej, lekko wybrzuszonej koperty, Harry podszedł do biurka i wziął stamtąd nóż do papieru. Kiedy wsuwał czubek pod mocno zaklejoną klapkę, Yardley zaglądał mu już przez ramię.

Harry wyciągnął z koperty pojedynczy arkusz zwykłego papieru maszynowego. Nie było na nim adresu ani daty. Wielkie, koślawe litery układały się w słowa:

„OTO DLACZEGO ZAMORDOWANO PAŃSKIEGO OJCA. PETER NEWTON”.

- „Oto dlaczego zamordowano pańskiego ojca” - odczytał na głos bez jakiegokolwiek żenady Yardley. Harry oddał mu kartkę i rozdarł bok koperty. Wewnątrz znajdował się jakiś przedmiot owinięty w bibułkę. Po jej odwinięciu oczom Harry'ego ukazała się ozdobna, pięknej roboty obroża.

- To ta obroża! - wykrzyknął Harry.
- Obroża?
- Tak. Ta skradziona. Ta, którą nosił Zero.
- Zaraz, chwileczkę - powiedział Yardley. - Jesteście pewni, że to ta sama obroża, którą wasz pudel miał na szyi?

Harry obrócił w rękach sztywną, skórkową pętlę.

- Tak, jestem pewien.
- No to co, u diabła, znaczy to oświadczenie?
- Nie wiem. To nie ma sensu.
- No dobrze. - Yardley odłożył kartkę na biurko i ruchem głowy wskazał obrożę. - Opowiedzcie mi o niej. Skąd pochodzi?

- Nie wiem. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ojciec подарował ją pani Rogers na urodziny.

- Kiedy to było?

- Mniej więcej przed miesiącem. Niestety pani Rogers nie ma. Jej bratanek zachorował na grypę i musiała zaopiekować się nim przez kilka dni. - Harry położył obrożę na liście. - Zastanawiam się, co mógł mieć na myśli Newton.

- Ja również. Wygląda mi to na zupełnie zwyczajną obrozę. No, może trochę ozdobną. - Yardley odwrócił się i chyba w tym momencie podjął jakąś decyzję.

- Chciałbym się jeszcze z wami zobaczyć przed południem, Dawson. Moglibyście wpaść do mojego biura o jedenastej?

- Nie ma sprawy - rzekł Harry spoglądając na zegarek. - I tak tam będę. Dziś rano mają mi zdejmować odciski palców.

- To rutynowe czynności - pocieszył go Yardley.

- Jak zapewne wiecie, również wasz samochód zostanie poddany dokładnym oględzinom.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Nie ten u drzwi na ulicy, ale mały dzwoneczek przy drzwiach wychodzących na podest schodów.

Harry ominął nadinspektora i poszedł je otworzyć. Za progiem stał Nat Fletcher z wyprostowanym palcem gotowym do ponownego naciśnięcia dzwonka. W drugiej ręce trzymał pękatą kopertę.

- Cześć, Nat! - powitał przyjaciela Harry.

Po wydarzeniach ostatniego wieczoru nie był już taki pewien, czyją właściwie stronę trzyma Nat. Nie można było wykluczyć, że poczucie obowiązku nakazuje mu lojalność wobec naczelnego nadinspektora.

- Cześć, Harry. Jest tu Yardley?

- Jest, a jakże. Wejdz.



Yardley najwyraźniej nie spodziewał się, że Nat trafi za nim do mieszkania Harry'ego.

- Witam, Nat. Co cię tu sprowadza?

- Dzień dobry, sir. Idę prosto z mieszkania Newtona. Sprawa zaczyna wyglądać ciekawie.

- Zrobić ci kawy, Nat? - spytał Harry w nadziei, że dowie się czegoś.

Nat nie połknął haczyka. - Nie, Harry, dziękuję.

- Co to znaczy, ciekawie? - spytał Yardley.

Nat rozpiął prochowiec. Nie przespana noc odcisnęła na jego twarzy swe piętno.

- Właśnie kończyliśmy to mieszkanie, kiedy Jackson znalazł drzwi, które jak nam się zdawało prowadziły do sypialni. Odkryliśmy za nimi mały pokójk urządzonej jak gabinet. Biurko, maszyna do pisania, szafka na akta, krótko mówiąc to, co można znaleźć w każdym biurze.

- No i?

Nat spojrzął na biurko i jego wzrok zatrzymał się na obroży leżącej na arkuszu papieru maszynowego.

- Spędziliśmy fascynujące pół godziny na przeglądaniu zawartości szafki na akta, sir, nie wspominając już o biurku.

- Do rzeczy - warknął Yardley zirytowany roz-wlekłością relacji Nata.

- Co tam znaleźliście, Nat? - nie wytrzymał Harry.

Nat przeniósł wzrok z Harry'ego na nadinspektora i z powrotem. Na jego ustach pojawił się psotny uśmiezek kuglarza, który wie, że za chwilę zadziwi widownię.

Podniósł nagle kopertę, którą przyniósł ze sobą, i wysypał jej zawartość na stół.

Na blacie znalazło się około pięćdziesięciu błyszczących zdjęć dziewcząt - nagich, półnagich, sfotografowanych w

trakcie rozbierania się, pozujących w czarnych paskach z podwiązkami podtrzymującymi czarne pończochy. Zdjęcia robione były pod każdym możliwym kątem, a starannie dobrane oświetlenie uwypuklało jeszcze efekt.

Yardley przerzucał w milczeniu tę kolekcję. Oddychał jakby z trudem. Nat stał za nim napawając się wrażeniem, jakie wywołał. Harry wziął do ręki fotografię dziewczyny o wyzywającej twarzy i obfitym biuście.

- Tę znam. To prostytutka. Przed mniej więcej sześcioma miesiącami występowała jako świadek w procesie oksfordzkim.

Nat pokiwał potakująco głową.

- Przypuszczam, że to wszystko prostytutki, jedna w drugą. W gabinecie Newtona jest ponad dwieście takich fotografii, sir.

- Dwieście? - Yardley nadal oglądał z wypiekami na twarzy te pięćdziesiąt wybranych i przyniesionych przez Nata. - Nasz przyjaciel Newton musiał mieć bardzo duże grono znajomych.

- Bardzo dziwne grono znajomych, sir - poprawił go Nat. - Żadnych nazwisk, telefonów, adresów. Żadnych bliższych informacji, nic. Tylko te fotografie.

Yardley zebrał zdjęcia na kupkę i wepchnął je z powrotem do koperty, którą oddał Natowi.

- Co, u diabła, kombinował ten Newton, Nat?

Zespół krytych basenów pływackich oddano do użytku dopiero niedawno. Zbudowano je według najnowocześniejszych standardów i zaspokajały wszelkie wymagania. Główny basen miał wymiary olimpijskie, a po obu jego stronach ciągnęły się rzędy ławek dla widzów. O jedenastej w roboczy dzień tygodnia świeciły one pustkami.

Harry Dawson siedział w pierwszym rzędzie i obserwował dziewczynę, która płynąc dynamicznym crawlmem kończyła właśnie trzecią długość basenu. Białym czepkiem kąpielowym pchała przed sobą małą fale, nad jej drobną postacią przelewała się woda. W zamkniętej hali dźwięki odbijały się echem i ulegały wzmocnieniu. Powietrze było wilgotne i ciężkie, przesycone wonią chloru.

Pływaczka dotarła do końca basenu, ze zwinnością węgorza wykonała nawrót pod wodą i natychmiast przyspieszyła na finiszu. Kiedy tym razem dopłynęła do końca, opuściła nogi i stanęła w wodzie. Położyła dłonie na parapecie basenu, podciągnęła się i przerzuciła nogę przez krawędź. W ruchu tym było tyle gracji, co w klasycznym balecie. Sięgnęła po ręcznik leżący na ławce i krzywizna jej pleców załśniła wilgocią.

Wyczuła chyba wzrok siedzącego kilka metrów za nią Harry'ego, bo odwróciła się i ujrawszy go ruszyła ku niemu z promiennym uśmiechem.

- Witam, panie Dawson.
- Cześć, Liz.

Ściągnęła po drodze czepek i potrząsnęła głową rozsypując włosy.

- Nie wiedziałam, że pan tu przychodzi.
- Właściwie, to nie przychodzę. Douglas powiedział mi, że tu najprędzej mogę cię znaleźć, kiedy masz wolny dzień.

Oddech miała jeszcze przyśpieszony po wysiłku i piersi jej falowały. Harry nigdy dotąd nie widział Liz w kostiumie kąpielowym. Przyszło mu na myśl, że ze swą wdzięcznie zaokrągloną, a przy tym jędrną i wysportowaną figurą jest dziesięć razy bardziej pociągająca od tamtych dziewcząt z fotografii znalezionych przez Nata Fletchera.

- Ma pan do mnie jakąś sprawę? Są kłopoty w sklepie?

- Chciałem cię o to zapytać.

Harry wyciągnął z kieszeni obrożę Zera i pokazał ją Liz.

- Czy to nie Zera?

- Oto jest pytanie. Potrafisz ją zidentyfikować?

Liz owinęła się wielkim ręcznikiem kąpielowym i wzięła obrożę do ręki.

- Z pewnością wygląda tak samo. Ale skąd pan ją ma, panie Dawson? Wydawało mi się, że znalazł pan Zero bez obroży.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, Liz. Chcę tylko wiedzieć, czy to ta sama obroża, którą kupił mój ojciec.

- Tak. - Liz obracała pasek skóry w dłoniach. - Ale medalion wygląda trochę inaczej.

- Jak to, inaczej?

- Wydaje mi się trochę mniejszy, tylko że... - Potrząsnęła głową i oddała obrożę Harry'emu. - Nie, to ta sama obroża. Jestem tego pewna.

Harry wsunął obrożę do kieszeni.

- Czy wiesz, gdzie mój ojciec ją kupił?

- Owszem. W sklepie z artykułami dla zwierząt Heatona. To w St. John's Wood. Zdaje się, że przy Valence Street.

- Czy to ty poleciłaś mu Heatona?

- Tak. Pewnego ranka rozmawialiśmy o pani Rogers i pański ojciec powiedział, że nie ma pojęcia, co jej podarować na urodziny. Poradziłam mu, żeby kupił obrożę dla Zera.

Z szatni wymaszerowała karnie grupa uczniów pod nadzorem dwóch nauczycielek. Harry nie miał wątpliwości, że lada chwila cała halastra spuszczone z uwagi runie hurmem do wody piszcząc z zachwytu. Zauważył bufet oddzielony od basenu szklanymi taflami.

- Napijesz się czegoś?

- Dziękuję - Liz pokiwała obojętnie głową. - Marzę o filiżance kawy.

Harry ruszył za nią. Poprowadziła go do barku, przed którym stało kilka wolnych stolików. Usadowiła się na jednym z nich i poprawiła na sobie ręcznik.

- Liz, chciałbym cię o coś spytać - mruknął Harry. - Dużo przebywałaś z moim ojcem. Widywałaś go codziennie. Czy kiedykolwiek powiedział, albo zrobił coś, co... jakby to wyrazić... co cię zaintrygowało?

Zawahała się i spuściła wzrok. W tym momencie podeszła do nich bufetowa. Harry zamówił to samo, co Liz. Ta chwila przerwy dała jej czas na zastanowienie się.

- Nie. Nie sądzę - powiedziała.

- Jesteś pewna? - naciskał Harry. Był przeświadczony, że coś się jej mimo wszystko przypomniało.

- No cóż... - Liz otarła ręką rączką niewidoczną plamkę wilgoci z szyi. - Zdarzył się jeden taki incydent, ale to drobiazg. To naprawdę nie było nic ważnego.

- Opowiedz mi o tym, Liz.

Liz zarumieniła się, jakby dręczona skrywanym poczuciem winy.

- W zeszłym tygodniu - to był chyba wtorek - wróciłam z lunchu trochę wcześniej. Pański ojciec był w sklepie i chyba go trochę zaskoczyłam. Podśledzałam wtedy mimowolnie urywek rozmowy.

- Dobrze wiem, że nie zrobiłaś tego celowo - zapewnił ją Harry. - Z kim rozmawiał?

- To była chyba klientka.

- Kobieta?

- Tak. Wysoka, ciemnowłosa, bardzo atrakcyjna kobieta pod pięćdziesiątkę. Była elegancko ubrana. Wchodząc do sklepu usłyszałam, jak pański ojciec mówi:

„Na miłość boską, Sybil, nie rób trudności...” - W tym momencie zobaczył mnie i zmienił zupełnie ton.

Przed nimi pojawiły się dwie filiżanki pianistej kawy. Harry położył na kontuarze 50-pensową monetę.

- Mów dalej, Liz.

- To wszystko. Weszłam do kantorku i kilka minut później ta kobieta wyszła ze sklepu.

- Czy mój ojciec coś o niej potem wspomniał? Powiedział coś?

- Owszem. - Liz posłodziła sobie kawę. - Przy pierwszej okazji napomknął, że nigdy dotąd jej nie widział. Powiedział, że szukała jakiejś specjalnej kurtki na narty.

- Uwierzyłaś mu?

- Sama nie wiedziałam, czy mu wierzyć, czy nie. - Liz była wyraźnie zakłopotana. - Brzmiało to przekonująco.

- Wspominałaś coś o tym Douglasowi?

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyła gwałtownie Liz.

- Nikomu nie powiedziałam. Po co? To nie była moja sprawa.

Harry skinął z zadowoleniem głową i podniósł filiżankę kawy, tak, jakby wznosił toast szampanem.

- Dziękuję ci, Liz.

Nie mając do dyspozycji swojego samochodu, Harry zmuszony był pojechać do St. John's Wood taksówką. Zbliżało się południe i nie miał czasu na tłuczenie się autobusem, a potem metrem. Jazda taksówką opłaciła się jeszcze dlatego, że nie musiał szukać sklepu Heatona, bo kierowca wysadził go przed samymi drzwiami.

Sklep Heatona z artykułami dla zwierząt miał wąską witrynę od ulicy, ale ciągnął się daleko w głąb budynku.

Okno wystawowe zajmowały klatki z ptakami od pospolitych zięb ogrodowych po egzotycznie upierzone okazy rodem z Afryki. W środku wystawiono pełny wybór luksusowych akcesoriów, jakie mogłyby się kiedykolwiek zamarzyć troskliwym posiadaczom domowych zwierząt. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się miniaturowa menażeria - rzędy klatek z myszkami, królikami, szczeniętami, kotkami, żółwiami, małpami i chomikami. W powietrzu unosił się cierpki odór. Z zaplecza dolatywały szczebioty, ujadanie i wrzaski rozmaitych zwierząt.

Harry dotarł na środek sklepu, gdzie znajdował się „Psi butik”. Stoisko oferowało smycze wszelkiej długości i grubości, tartanowe kaftaniki dla rozpieszczonych pekińczyków i obroże dla każdej możliwej rasy od ratlerka do dobermana pinczera.

Harry oglądał właśnie obroże, kiedy uchyliła się kotara w głębi sklepu i z zaplecza wyłonił się właściciel. Ociełał usta chusteczką i sprawiał wrażenie człowieka, który przekąsił coś przed chwilą.

- Dzień dobry panu.
  - Dzień dobry, panie... Heaton?
- Pan Heaton uśmiechnął się rozbrajająco.
- We własnej osobie.

Wiek Sidneya Heatona trudno było określić. Falujące włosy srebrzyła mu już siwizna, a pod ubraniem rysowały się zaczątki brzuszka, ale cerę miał nadal gładką i rumianą, a w jego oczach skrzył się młodzieńczy blask. Nosił muszkę w groszki i szytą na miarę kurtkę z czterema naszywanymi kieszeniami.

- Interesuje pana coś dla pieska?
- Jestem funkcjonariuszem policji, panie Heaton, Scotland Yardu, i prowadzę pewne dochodzenie. Wydaje mi się, że mógłby mi pan pomóc.
- O rany! - Heaton przesunął zatroskanym wzrokiem

po rzedach klatek, jakby próbował odgadnąć, który z jego podopiecznych był na tyle nierozważny, by wejść w konflikt z prawem.

- No cóż, zrobię, co w mojej mocy, drogi panie.

Harry wyciągnął z kieszeni obrożę Zera. Heaton spojrział na nią z zakłopotaniem.

- W jakiej sprawie prowadzi pan dochodzenie?

- W sprawie tej obroży. Mam podstawy sądzić, że mój ojciec - Tom Dawson - kupił ją u pana.

- Jest pan synem pana Dawsona? - Heaton ożywił się. Spojrział na Harry'ego tak, jakby zobaczył dawno nie widzianego przyjaciela.

- Tak, jestem.

- Och, panie Dawson, jakże miło mi pana poznać! - Tu raptownie spoważniał. - Taki jestem poruszony śmiercią pańskiego ojca. Co za okropny wypadek!

- Dziękuję, panie Heaton. Znał pan mojego ojca?

- Nie... ale poznaliśmy się, naturalnie, kiedy kupował tę obrożę. Przez wiele lat byłem jego wielbicielem. Zamurowało mnie, kiedy tamtego popołudnia wszedł do mojego sklepu. Może trudno w to teraz uwierzyć, panie Dawson, ale swego czasu sam byłem niezłym sportowcem.

Heaton popatrzył melancholijnie na swój brzuch.

- Panie Heaton, chciałbym, żeby rzucił pan okiem na tę obrożę. Interesuje mnie po pierwsze, czy to ta sama, którą sprzedał pan memu ojcu, a po drugie, czy nie dostrzega pan w niej czegoś niezwykłego.

Heaton wziął trochę już wytartą obrożę i obejrzał ją z profesjonalnym zainteresowaniem.

- Tak, to obroża, którą sprzedałem pańskiemu ojcu - tak mi się przynajmniej wydaje.

- Tak się panu wydaje?

Heaton uśmiechnął się.



- Widzi pan, sprzedałem sporo takich samych i wszystkie wyglądają, ma się rozumieć, bardzo podobnie.  
- Ruchem starannie wypielegnowanej ręki wskazał na stoisko. - Sam pan widzi, że mam ich obecnie dużo na składzie. Może niektóre są trochę bogaciej zdobione od innych, ale na pierwszy rzut oka wyglądają tak samo.

Zdjął z haczyka jedną z nowych obroży i przyłożył ją do obroży Zera.

- Nie wydaje mi się, żeby w tej pańskiej było coś niezwykłego, panie Dawson.

- A medalion? To ten sam, czy też go zmieniono? Heaton zmarszczył czoło wyrażając pamięć.

- Zdaje pan sobie, oczywiście, sprawę, że ten medalion nie pochodzi z mojego sklepu. Pański ojciec przyniósł go ze sobą.

- Przyniósł go?

- Tak. - Heaton pochylił głowę i pacnął się dłonią w czoło. - Nie! Strasznie przepraszam. Właśnie sobie przypomniałem. Przyniosła go jego znajoma. Tak właśnie było. Kiedy pański ojciec nie mógł się jeszcze zdecydować, czy kupić tę obrożę, weszła tu jego znajoma. Powiedziała, że obroża jest idealna i akurat taka, jakiej szuka.

- I to ona przyniosła ten medalion?

Heaton skinął głową.

- Tak. Wyjęła go z torebki i przyczepiła do obroży. Oboje byli zachwyceni.

Harry wyciągnął rękę po obrożę i Heaton oddał mu ją.

- Czy na medalionie było już nazwisko i adres, czy dopiero pan je wygrawerował?

- Nie. Wszystkie dane już na nim były.

Jedna z małek w głębi sklepu podniosła nerwowo rwetes. Nastrój podniecenia udzielił się innym klatkom i mały szczeniak zaczął skamleć ze strachu.

Harry musiał podnieść głos, żeby być słyszany.

- Kim była ta znajoma mojego ojca? Znał ją pan?
- Nie. Niestety, nie.
- Czy to była raczej niska, zażywna kobieta o wyzywającym wyrazie twarzy?
- Ależ skąd! - zachnął się Dawson. - Sprawiała na mnie wrażenie bardzo czarującej damy.
- Wysoka, ciemnowłosa, elegancko ubrana?
- Ubrana z pewnością wyszukanie. Ale jakoś bez gustu, z punktu widzenia człowieka... wrażliwego.
- Nie rozumiem, panie Heaton.

Heaton podszedł do najbliższej klatki i wsunął przez pręty palec, żeby pogłaskać małą szerokonosą małpkę, która przywarła od razu ufnie do jego dłoni.

- Widzi pan, nie zaliczam się, bynajmniej, do tych konserwatywnych dziwaków, czy jak im tam. Broń mnie Panie Boże. Ale jeśli ktoś pracuje tyle lat ze zwierzętami, to z czasem rozwija się w nim pewne poczucie pokrewieństwa. Pokrewieństwa.

Heaton powtórzył to słowo zadowolony, że znalazł właściwe określenie.

- A tu zjawia się kobieta w futrze ze skóry lamparta zarzuconym niedbale na ramiona. No cóż, taki widok może trochę wyprowadzić z równowagi.

Roześmiał się pod nosem z dezaprobatą i wyjął rękę z klatki.

- To znaczy, miała na sobie futro ze skóry lamparta, tak?

- Ściślej mówiąc był to... eee, jak wy go nazywacie? Ocelot. Tak, właśnie, ocelot.

Harry schował obrożę do kieszeni i ruszył w kierunku drzwi.

- Dziękuję panu, bardzo mi pan pomógł.

Heaton, wciąż skory do usług, podbiegł do drzwi, by mu je przytrzymać.

- Dziękuję, sir. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, panie Dawson.

Na ramieniu Heatona wylądował syjamski kot, który zeskoczył z półki pod ścianą. Niebieskie ślepia zwierzęcia wwierciły się w Harry'ego z nieprzejednaną wrogością klóącą się zdecydowanie z dobrotliwym uśmiechem jego pana.

Nadinspektor Yardley starał się, jak mógł, by stworzyć przytulną atmosferę w bardzo nowoczesnym gabinecie, który przydzielono mu po przeniesieniu Scotland Yardu ze starego gmachu na Embankment do nowego budynku przy Victoria Street. Jednak staromodne biurko i mocno wytarte skórzane fotele jakoś tu nie pasowały, a pejzaż ulubionego Breughela zbyt ostro kontrastował z tętniącą życiem Victoria Street pod jego oknem. Większą część ściany naprzeciwko drzwi zajmowała wielka mapa operacyjna rejonu działań policji stołecznej ponakłuwana szpilkami o kulistych, kolorowych łebkach.

W prostokątnej wnęce urządzono mały sekretariat. Wkraczając tam, Harry natknął się na umundurowanego funkcjonariusza wychodzącego z gabinetu szefa.

- Czołem, Hodges. Naczelnny nadinspektor u siebie?
- Nie wrócił jeszcze z Hampstead, sir.
- Z Hampstead?
- Tak, sir. Powiedział mi rano, że tam jedzie.
- W porządku, Hodges. - Harry skinął z zadowoleniem głową.

Rad był, że Yardley osobiście sprawdzi wiarygodność jego relacji. Minął Hodgesa i wszedł do przestronnego gabinetu.

- A tak przy okazji, Hodges, czy jest inspektor Fletcher?

Hodges wskazał ruchem głowy na przechodnie drzwi prowadzące do sąsiedniego gabinetu.

- Chyba jest tam, sir. Mam mu powiedzieć, że pan przyszedł?

Zanim Hodges zdążył dojść do drzwi przechodnich, te otworzyły się i w progu stanął Nat.

- O, Nat! - przywitał go Harry i nie zwlekając ciągnął dalej. - Masz już jakieś wiadomości od Cartera? Ustalenia z sekcji zwłok? Raport z patologii?

- Spokojnie, Harry. - Nat uniósł rękę obronnym gestem jakby chciał powstrzymać ten grad pytań. - Widzisz, miałem ostatnio na głowie inne małe morderstwo.

Harry nie potrafił ukryć gniewu. Hodges wycofał się taktownie do sekretariatu.

Nat położył przyjaźnie dłoń na ramieniu młodszego kolegi.

- Jak mi jednak wiadomo, Carter i jego szef traktują teraz oficjalnie śmierć twego ojca jako przypadek zabójstwa.

Harry odchrząknął.

- Trudno się dziwić, skoro główny podejrzany dostał kulkę w łeb.

- Fakt. - Nat spuścił wzrok na fotografię, którą trzymał w ręku. - A tak, *à propos* Newtona, zerknij sobie na to.

Harry spojrział na zdjęcie. Była to mała, błyszcząca, kolorowa odbitka przedstawiająca Petera Newtona i bardzo zgrabną dziewczynę leżących na matach do opalania przy basenie pływackim. Uśmiechali się do kamery i byli najwyraźniej w szampańskim nastroju.

- Rozpoznajesz ją?

- Tak. - Harry nie odrywał oczu od twarzy dziewczyny, która uśmiechała się jakby do niego. Była to atrakcyjna twarz, a fakt, że taka dziewczyna przebywa w

towarzystwie Petera Newtona i wyraźnie sprawia jej to przyjemność, wywołał u Harry'ego irracjonalnie uczucie wściekłości. - To dziewczyna, o której ci mówiłem. Ta, z którą klócił się w samochodzie na Finchley Road.

- Właśnie to miałem nadzieję od ciebie usłyszeć. - Nat wyjął fotografię z palców Harry'ego.

- Ale kim ona jest?

- Nazywa się Judy Black. Żyła z Newtonem. Wczoraj wieczorem jedli kolację w lokalu przy Charlotte Street. Tam też doszło między nimi do awantury. Opuścili restaurację razem około wpół do dziesiątej.

- Zgarnęliście ją już?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego nie, na miłość boską? - zaprotestował Harry.

- Dlaczego? Mój Boże, gadasz zupełnie jak Yardley. - Bo nie możemy jej odnaleźć, Harry. Dlatego.

Harry przechadzał się nerwowo po gabinecie. Z sekretariatu dochodził stukot maszyny do pisania, w którą walił niewprawnie Hodges.

- Czy wróciła z Newtonem do jego mieszkania?

- Nie wiemy. Staramy się to właśnie ustalić.

- Skąd pochodzi ta dziewczyna? Co o niej wiadomo?

- Jest z Liverpoolu. - Teraz z kolei Nat studiował z uznaniem fotografię dziewczyny w bikini. - Najwyraźniej Newton wypatrzył ją tam na jakimś przedstawieniu i namówił do wyjazdu do stolicy. Załatwił jej rolę w musicalu, który grają w St. Edward's. Musical zrobił klapę. Do Newtona przeprowadziła się mniej więcej przed miesiącem. Wcześniej wynajmowała mieszkanie niedaleko Notting Hill Gate.

Harry trochę przychylniej spojrział na przyjaciela. Widać było, że Nat nie siedział z założonymi rękoma.

- Od kogo to wszystko wiesz?
- Od jej byłej gospodyni.
- A Newton?
- Niestety, tu nie posunęliśmy się ani o krok. Nikt nie chce o nim rozmawiać. Wiemy tylko, że miał jakieś prywatne źródło dochodów i wspierał finansowo jedno, czy dwa przedstawienia na West Endzie. Także to, w którym występowała Judy. Kazałem sierżantowi Quilterowi jeszcze trochę powęszyć. Często wpada na jakiś trop.

- Nat, musisz odnaleźć tę dziewczynę!

- Nie martw się, znajdę ją.

Nat umilkł nagle i wstał szybko z fotela. Drzwi gabinetu otworzyły się z impetem i wszedł Yardley.

- Przepraszam, że musieliście czekać, Dawson. Byłem w Hampstead.

Położył na biurku swój nesoser i zwrócił się do Nata.

- Jest coś nowego? Zdjąłeś już tę dziewczynę!

- Nie. Jeszcze nie, sir. Ale Harry ją zidentyfikował.

- Nat pokazał fotografię. - To ta, która jechała z Newtonem samochodem. I jej gospodyni uważa teraz...

- Nie chcę więcej słyszeć o żadnej gospodyni - przerwał mu obcesowo Yardley, obchodząc swoje biurko.

- Chcę mieć tę dziewczynę. Znajdź mi ją!

Nat zrozumiał, że został odprawiony. Przelykając swoje rozgoryczenie wyszedł szybko z gabinetu. Yardley zajął miejsce za biurkiem, opuszczając swe cielsko na obrotowy fotel. Podniósł oczy na Harry'ego, po czym znowu je spuścił.

- Siadajcie, Dawson.

Harry usiadł w ciepłym jeszcze fotelu, który przed chwilą opuścił Nat. Yardley wyjął z biurka zapisany arkusz papieru maszynowego i zaczął czytać. Przez pełną minutę w gabinecie panowała cisza. W tle słychać było

nieregularny szum ruchu ulicznego na Victoria Street, stukot maszyny Hodgesa i dzwonki telefonów w sąsiednich pokojach.

- Widziałem się dzisiaj z Conwayami - odezwał się nagle Yardley nie odrywając wzroku od raportu.

- Tak myślałem.

- Potwierdzili tę waszą historię z psem.

- Miło mi to słyszeć - odparł sucho Harry. - A spodziewał się pan, że nie potwierdzą?

Yardley odłożył raport, oparł przedramiona na blacie biurka i zmierzył Harry'ego swoim groźnym wzrokiem.

- Szczerze mówiąc, miałem szczęście, że zastałem Conwayów. Wyjeżdżali właśnie do Aldeburgha. Okazuje się, że on jest członkiem tamtejszego klubu golfowego.

Harry chciał już coś wtrącić, ale przypomniał sobie, że niektóre kluby mają członków zarówno grających, jak i stowarzyszonych.

- To bardzo kulturalna para. - Yardley przypomniał sobie rozbrajającą uprzejmość, z jaką przyjęła go Sybil Conway i jego twarz trochę złagodniała.

- Owszem, ja też tak uważam - zgodził się z nim Harry.

- Jednak - podjął Yardley - ani pan, ani pani Conway nie przypominają sobie, abyście dawali im czek na pięć funtów i twierdzą, że nie znają nikogo o nazwisku Basil Higgs.

Przez kilka chwil Harry nie potrafił dobyć z siebie głosu.

- I Conway nie opowiadał panu o „Chomikach”?

- Przez was zrobiłem tylko z siebie durnia, Dawson. Pomimo całej uprzejmości, z jaką mnie potraktowali, nie potrafili powstrzymać śmiechu, kiedy wspomniałem o tych „Chomikach”. Arnold Conway śmiał się tak serdecznie, że potknął się o własny dywan.

- Chwileczkę. - W relacji Yardleya coś się nie zgadzało. - Jak człowiek przykuty do fotela na kółkach mógł się potknąć o dywan?

- Conway nie siedział w fotelu na kółkach. Kiedy go o to spytałem, nie wiedział zupełnie, o co mi chodzi. Ten człowiek jest zdrow jak ryba.

- Ależ...

- Żeby się upewnić - ciągnął Yardley - zadzwoniłem do swojego starego znajomego, inspektora Emersona. Zna Hampstead tak, jak wy swoje mieszkanie. Nic dziwnego, mieszka tam od dwudziestu lat.

Harry wpatrywał się w twarz Yardleya. Nie mógł uwierzyć, że ta rozmowa odbywa się rzeczywiście. Pokój, biurko, sam nadinspektor, wszystko to stało się nagle (jakieś nierealne, niczym obrazy we śnie.

- Dowiedziałem się od Emersona, że Conway byli maklerem giełdowym, zbił na tym majątek i przeszedł na emeryturę. Posiadłość Stillwater kupił w 1963 roku płacąc za nią trzydzieści tysięcy funtów gotówką. Wspominałem też o wózku inwalidzkim. Conway może się i starzeje, ale do fotela na kółkach jeszcze mu daleko. Dwa razy w tygodniu grywa w squasha, a w niedzielę w golfa.

Harry zerwał się z fotela i podszedł szybko do okna.

- Nic mnie to nie obchodzi, czy on gra w tenisa, squasha, golfa, czy w hokeja na lodzie. Kiedy widziałem go wczoraj, siedział w fotelu na kółkach. - Odwrócił się z gniewem do naczelnego nadinspektora. - Dobry Boże, po cóż miałbym zmyślać takie rzeczy?

Odpowiedź Yardleya była tak cicha, że niemal niesłyszalna.

- Nie mam pojęcia, po co.

Harry podszedł do biurka i oparł się o nie.



- Nie wierzy mi pan, tak?

Yardley nie odpowiedział. Bez słowa wysunął górną szufladę i wyjął z niej obrożę Zera.

- Opowiedzcie mi lepiej o tej obroży. Dowiedzieliście się czegoś?

Harry opanował się z trudem.

- Kupił ją mój ojciec w sklepie w St. John's Wood. Medalion wzbudza jednak pewne zastrzeżenia.

- Sugerujecie, że mógł zostać zamieniony? - Yardley obracał metalowy krążek między palcem wskazującym a kciukiem. - Jest na nim nazwisko pani Rogers i wasz numer telefonu.

- Tak. Ale zarówno Liz Mason, jak i właściciel sklepu, Heaton, mieli wątpliwości.

Harry urwał, bo w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi przechodnich i do gabinetu wpadł jak bomba Nat.

- Może mi pan poświęcić chwilkę, sir?

- Tak. O co chodzi, Nat?

Nat zerknął na Harry'ego, zobaczył jego zaczerwienioną z gniewu twarz i domyślił się, że przerwał nieprzyjemną rozmowę.

- Miałem właśnie telefon od sierżanta Quiltera. Dowiedział się czegoś o Newtonie, sir. Czegoś, czego dotąd nie wiedzieliśmy.

- Czego? - warknął Yardley rozsierdzony upodobaniem Nata do poprzedzania tego, co ma do powiedzenia, tajemniczymi wstępami.

- On nie nazywał się Peter Newton. Używał tego nazwiska, bo jego zdaniem prawdziwe źle brzmiało w przemyśle rozrywkowym. Naprawdę nazywał się Higgs, sir, Basil Higgs.

Kiedy Harry wrócił do domu, było już późne popołudnie. Lunch jadł w kantine Scotland Yardu czekając, aż eksperci zakończą oględziny jego samochodu i będzie go mógł odebrać. Kiedy w końcu wydano mu wóz, dochodziła już czwarta i w rezultacie trafił na początki godzin szczytu. Parkując naprzeciwko swojego mieszkania zauważył taksówkę stojącą przed wejściem do sklepu.

Przekręcając klucz w zamku drzwi prowadzących bezpośrednio z ulicy do mieszkania, nerwy miał w strzępach. Ledwie zamknął drzwi za sobą, zauważył, że ktoś wychodzi na podest u szczytu schodów. Zamarł w bezruchu, skryty w gęstym cieniu przy samych drzwiach.

Pani Rogers miała na sobie tweedowy płaszcz i kapelusz przyozdobiony plastikowymi kwiatami. Była tak zaabsorbowana pudlem, którego tuliła w ramionach, że nie spostrzegła Harry'ego. Cmokając i wydymając wargi mizdrzyła się do psa, który lizał ją zapamiętale po ustach i nosie.

Zszedłszy do połowy schodów zobaczyła wreszcie Harry'ego i zatrzymała się wyraźnie zakłopotana.

- Dobry wieczór, pani Rogers - przywitał ją uprzejmie Harry.

- Och! Och, witam, panie Dawson. - Zmusiła się do uśmiechu. - Ja... chciałam się właśnie z panem zobaczyć.

- Naprawdę, pani Rogers? Trochę trudno mi w to uwierzyć. Bratanek chyba już wyzdrowiał?

- Tak, panie Dawson, dziękuję. Wyzdrowiał. - Zeszła jeszcze kilka stopni. Chłód w tonie Harry'ego był wyraźny. - Panie Dawson, chyba jestem panu winna przeprosiny. Pisząc tę karteczkę, którą panu zostawiłam, skłamałam. W rzeczywistości dostałam inną pracę.

- Czyżby?

- Tak. W tym nowym hotelu w Knightsbridge. Nazywa się „The Royal Plaza”.

- Nie traciła pani czasu, prawda?

Harry odsunął się na bok, żeby przepuścić panią Rogers, która schodziła już z ostatniego stopnia. Gospościa przełożyła sobie pudła do lewej ręki i ten zajął się teraz oblizywaniem jej lewego ucha.

- Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. To ten szok po śmierci pańskiego ojca. Po prostu musiałam odejść. Obawiam się, że postąpiłam bardzo nieładnie, panie Dawson. Nie chciałabym, żeby wyglądało to na niewdzięczność po całej tej życzliwości, z jaką się tu spotkałam, ale... Naprawdę jest mi bardzo przykro.

Sprawiła wrażenie bardzo zawstydzonej, ale Harry podejrzywał, że udaje.

- Ile jestem pani winien? - spytał, żeby położyć kres jej tłumaczeniom.

- Nic - odparła szybko. - Zupełnie nic, dziękuję. Zapłacił pan nagrodę i jesteście kwita.

Harry dobrze wiedział, że to nieprawda, ale nic nie powiedział.

- No dobrze, tak czy inaczej znaleźliśmy tego pani psa.

- Tak. Może pan sobie wyobrazić, jak się ucieszyłam. Nie mogłam wprost uwierzyć. - Pieszczotliwie potargala psa za ucho. - Kochany, malutki Zero.

- Od kogo pani dowiedziała się o tym? - Z postawy Harry'ego nie wynikało, by zamierzał odsunąć się od drzwi, a bez tego ona nie mogła sięgnąć do klamki.

- Dziś po południu rozmawiałam z Hubertem, i to on mi powiedział. A swoją drogą, co się stało z obróżką Zera, panie Dawson? Ukradziono ją?

- Tak.

- Ojej. - Pani Rogers opadły kąciki ust. - Taka śliczna obróżka. Prezent urodzinowy od pańskiego ojca.

- Co ciekawe - powiedział Harry bacznie obserwując jej twarz - ukradziono ją i zwrócono.

- Zwrócono?

- Tak. Obecnie ma ją nadinspektor Yardley.

- Nadinspektor Yardley? - powtórzyła ze zdziwieniem pani Rogers. - Ale po co ona policji?

Z obowiązku udzielenia odpowiedzi na to pytanie wybawił Harry'ego stukot kołatki przy drzwiach. Otworzył je i stanął oko w oko ze zniecierpliwionym taksówkarzem.

- Pani kochana, nie mogę tu czekać do rana. Jak się pani zaraz nie ruszy, to będę miał nieprzyjemności, prawdziwe nieprzyjemności.

- Za chwileczkę.

- Tylko szybko, błagam. - Taksówkarz wskazał ruchem głowy ulicę i spojrzał na Harry'ego. - Kręci się tu taka służbistka z drogowki. Straszna z niej jędzal!

Kierowca wrócił do taksówki, Harry zaś przymknął drzwi do połowy.

- Pani Rogers, zanim pani wyjdzie, chciałbym panią o coś spytać. Czy słyszała pani kiedyś, żeby mój ojciec wymieniał nazwisko Conway?

- Conway? - Na jej twarzy pojawiło się zmieszanie. - Nie, nie przypominam sobie.

- Nigdy dotąd nie słyszała pani tego nazwiska?

- Nie, nigdy. - Potrząsnęła energicznie głową. - Na pewno bym pamiętała, gdyby pański ojciec je przy mnie wymienił. Panie Dawson, musi mi pan wybaczyć.

- Dobrze, pani Rogers. Do widzenia i powodzenia w nowej pracy.

Obdarzyła go zawstydzonym spojrzeniem.

- Dziękuję. Pożegnaj się z panem Dawsonem, Zero.

Ku uldze Harry'ego, Zero puścił tę sugestię mimo uszu. Harry stał w progu i patrzył, jak pani Rogers przebiega

przez chodnik i wsiada do taksówki. Prowadziła ten dom od miesięcy, denerwowało go jednak, że akurat dzisiaj buszowała na górze sama.

Harry siadł w wygodnym fotelu z zamiarem uciecia sobie tylko krótkiej drzemki. Ale nie przespana noc i dwie stresujące rozmowy z Yardleyem dały o sobie znać. Zamknął oczy i głowa opadła mu na piersi.

Ze snu wyrwał go brutalnie dzwonek telefonu. Potrząsnął głową starając się określić godzinę. Za oknem zapadał zmrok, a zgiełk ruchu ulicznego osłabł.

Podźwignął się z fotela i poszukał po omacku wyłącznika stojącej lampy. Mrużąc oczy spojrzął na tarczę zegarka. Była za siedem dziesiąta. Spał pięć godzin.

Na szczęście osoba po tamtej stronie linii była cierpliwa. Dzwonek telefonu rozbrzmiewał nadal w regularnych odstępach. Oszołomiony jeszcze snem Harry sięgnął po słuchawkę.

- 586-2679.

Zamiast odpowiedzi usłyszał serię krótkich pisków świadczących, że to ktoś telefonuje z automatu. Czekał.

- Pan Dawson? - spytał wreszcie zdyszany i zdenerwowany, niski kobiecy głos.

- Tak, przy aparacie.

- Mówi Judy Black, panie Dawson. Byłam przyjaciółką pana Newtona...

- Judy Black!

- Mam kłopoty, panie Dawson - ciągnęła pośpiesznie dziewczyna. Mówiła z ledwo uchwytnym północnym akcentem, ale Harry'emu kojarzył się on bardziej z Leeds niż z Liverpoollem.

- Straszne kłopoty, i chciałabym z panem porozmawiać,

zanim coś się stanie. Możemy się gdzieś spotkać? Dziś wieczorem, o ile to możliwe.

- Tak, oczywiście. - Harry sięgnął po notes i długo pis. - Gdzie pani jest? Skąd pani dzwoni?

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Niewyraźne dźwięki w tle były stłumione, tak jakby przysłaniała mikrofon słuchawki. Po chwili odezwała się znowu. Mówiła bardzo cicho i bardzo szybko.

- Jestem w restauracji „Chez Maurice”. To przy Greek Street. Na samym końcu, niedaleko Soho Square.

- Niech pani tam na mnie czeka, panno Black. - Harry użył swego najbardziej oficjalnego tonu oficera policji. - Będę za piętnaście minut.

Taksówka sunęła powoli w górę Greek Street. Harry z taksówkarzem wypatrywali jakiegoś znaku, który wskazałby im „Chez Maurice”.

Nagle Harry dostrzegł tę nazwę po drugiej stronie ulicy. Zabębnił w szybę działową.

- Jest. Proszę się tu zatrzymać.

- Tutaj nie mogę, kolego. Skręć w tamtą zatoczkę.

Harry widział wyraźnie dwie dziewczyny stojące w blasku lamp oświetlających wejście. Właśnie wyszły i rozglądały się za taksówką. Wyższa była dobrze zbudowaną kobietą około trzydziestki. Jej czerwone włosy połyskiwały w świetle neonu.

Uroda jej towarzyszki zapierała dech. Przechodzący mężczyźni zwalniali kroku, pozerając ją wzrokiem, Harry rozpoznał w niej z miejsca dziewczynę, którą widział w Fiacie.

Kiedy taksówka zatrzymywała się przy krawężniku trzydzieści jardów dalej, Harry trzymał już drzwiczki uchylone. Nie odrywając wzroku od wejścia do „Chez

Maurice”, czekał niecierpliwie, aż flegmatyczny taksówkarz upora się z wydawaniem reszty.

Judy Black została teraz sama. Druga dziewczyna weszła z powrotem do restauracji, pewnie po coś, czego zapomniała. Judy rozglądała się nerwowo po ulicy. Mijało osiemnaście minut od czasu, kiedy Harry odłożył słuchawkę. Pewnie się zastanawia, czy w ogóle przyjedzie.

Kiedy taksówka odjeżdżała, Harry zobaczył, jak Judy szpera w torebce i nakłada na nos ciemne okulary. Poprawiła chustkę na głowie, żeby ukryć pod nią złote włosy. Ruszył spiesznie chodnikiem pewny, że zobaczyła go, jak wysiada z taksówki.

Sznur samochodów i taksówek uniemożliwiał mu przejście na drugą stronę ulicy. Skinął dziewczynie głową i pomachał do niej. Gesty te, w zamierzeniu uspokajające, wywarły odwrotny skutek. Judy spojrzała niespokojnie na wejście do restauracji. Po jej przyjaciółce nie było śladu. Potem, po kolejnym spłoszonym spojrzeniu rzuconym Harry'emu, dziewczyna zeszła szybko po dwóch schodkach na chodnik i puściła się biegiem w kierunku Soho Square.

Coś ją przestraszyło, albo rozmyśliła się i nie chciała już z nim rozmawiać. Wbiegł na jezdnię odbijając się ręką od ostro hamującego sportowego wozu i precyzując przez dziesięciocalową szparę pomiędzy jego maską, a bagażnikiem innego samochodu. Kiedy ruszał w pogoń za Judy, miała już nad nim przewagę dwudziestu jardów.

Kierowca zielonej minifurgonetki zaparkowanej naprzeciwko „Chez Maurice” uruchomił silnik i wymuszając pierwszeństwo włączył się w strumień pojazdów sunący w kierunku Soho Square. Jechał mniej więcej z tą samą szybkością, co dwie biegnące postaci.

Naprzeciwko wejścia do nocnego lokalu „The Mad

House” zatrzymał się wielki, przedwojenny, siedmio-miejscowy rolls-royce. W chwili, kiedy Harry już się z nim zrównywał, drzwiczki otworzyły się i ze środka wyległo pół tuzina długowłosych młodzieńców w nabijanych ćwiekami dzinsach. Każdy z nich taszczył jakiś instrument muzyczny. Największy był kontrabas w ogromnym futerale. Byli już dobrze naćpani i bawili ich wyraźnie trudności, jakie miał Harry z przecięnięciem się między nimi.

Jeden chwycił go ze śmiechem za ramię.

- Hej, koleś, wyluzuj się! Może byś się tak do nas przyłączył?

Harry musiał włożyć sporo wysiłku, by wyszarpnąć ramię z uścisku chudych, ale zaskakująco silnych palców. Udało mu się to, ale wpadł na parę Amerykanów w średnim wieku. Kobiecie torebka wypadła z ręki.

Podniósł torebkę z rynsztoka i bąkając słowa przeprosin zwrócił właścicielce. Kiedy podjął pościg, Judy Black zniknęła.

Pognał w stronę Soho Square nie zwracając uwagi na minifurgonetkę, która przed chwilą go minęła i którą teraz on, z kolei, minął. Wpadł na plac akurat w momencie, kiedy po jego przeciwnej stronie, przy wymachującej gorączkowo rękami dziewczynie zatrzymywała się taksówka. Okrzyki „Taksi! Taksi!” przypominały rozpaczliwe wołanie o pomoc.

Zdając sobie sprawę, że nie ma szans, by dobiec tam na czas, Harry zatrzymał się i patrzył. Dziewczyna wsia- dła i taksówka ruszyła ku Oxford Street. Tam skręciła w prawo. Minifurgonetka przyśpieszając podążyła jej śla- dem.

Harry stał przez chwilę niezdecydowany. Instynkt podpowiadał mu, że Judy pojedzie z powrotem na West End. Postanowił zdać się na łut szczęścia. Zresztą nie miał innego wyboru.



Dając teraz z siebie wszystko, okrążył sprintem plac i wbiegł w Stratton Street. Prowadził tędy skrót do Charing Cross Road. Miał jeszcze szanse złapać taksówkę, którą jechała Judy, przy St. Gile's Circus.

W piętnaście sekund pokonał dobre sto jardów, z czego większą część przebiegł jezdnią. Ludzie oglądali się za najwyraźniej trzeźwym młodym mężczyzną, w którego nagle wstąpił demon. Jakiś żartowniś krzyknął nawet „łapać złodzieja!”

Na Charing Cross Road ruch był duży. Harry musiał przedostać się na drugą stronę. Niczym rugbysta przebijający się przez linie obronne przeciwnika z narażeniem życia sforsował zakosami przeszkodę.

Znalazłszy się na przeciwległym chodniku przystanął, by wyrównać oddech i przyglądał się bacznie pasażerom każdej przejeżdżającej taksówki. Minęło go piętnaście samochodów prywatnych i z tuzin taksówek, zanim na tylnym siedzeniu jednej z nich nie dostrzegł bladej dziewczyny w ciemnych okularach.

Wyskoczył na jezdnię i podniósł rękę. Kierowca nie mógł przejechać nie potrącając go. Wóz zahamował w ostatnim momencie, zatrzymując się o cal od nieruchomej postaci.

Kierowca wysunął głowę przez okno.

- Co to za wygłupy? Nie masz oczu? Nie widzisz, że mam już pasażera?

Harry obszedł maskę i zbliżył się do niego.

- Jestem funkcjonariuszem policji – powiedział cicho, ale z naciskiem. - Detektyw inspektor Dawson. Proszę nas zawieźć prosto do Scotland Yardu.

Zanim taksówkarz zdołał ochłonąć, Harry siedział już w środku. Judy Black, kompletnie zaskoczona, próbowała otworzyć drzwiczki od swojej strony i wyskoczyć na jezdnię. Harry pochwycił ją i przydusił do siedzenia.

- Jedziemy! - krzyknął do taksówkarza zatraskując drzwiczki i ten, wciąż jeszcze oszołomiony wrzucił bieg i ruszył.

Minifurgonetka, która dotąd czekała, pojechała za taksówką.

Harry siedział tyłem do kierowcy na jednym z odchylanych siedzeń. Z tej pozycji mógł patrzeć w oczy przerażonej dziewczynie. Z bliska była uderzająco piękna.

- No - rzucił gniewnie Harry. - O co chodzi? Co to, u diabła, za podchody?

- Kim pan jest? - Dosłownie dygotała ze strachu i papieros, którego przed chwilą przypaliła, wypadł jej z palców na podłogę. - Czego pan ode mnie chce?

- Bardzo dobrze pani wie, kim jestem! Harry Dawson. Inspektor Dawson, jeśli pani woli. Telefonowała pani do mnie przed dwudziestoma minutami...

- Ja... ja telefonowałam? - zachnęła się dziewczyna.

- No pewnie!

Judy potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Ja nigdy do pana nie telefonowałam.

- Powiedziała pani, że jest w poważnych tarapatkach i chce się ze mną zobaczyć...

Harry urwał. To nie był ten głos. Ta dziewczyna mówiła raczej z akcentem z Lancashire niż z Yorkshire. Podniósł z podłogi dymiący papieros, opuścił szybę i wyrzucił go na ulicę.

- Mam przez to rozumieć, że to nie z panią rozmawiałem przez telefon?

Znowu potrząsnęła głową.

- Czy ktoś naprawdę do pana telefonował podszywając się pode mnie?

- Tak.

- A więc to oni mnie wystawili - stwierdziła z przygnębieniem Judy. - Wiedzieli, że jestem w restauracji.

- Jacy oni?

Odwróciła się i zapatrzyła w okno. Zaczynała dochodzić do siebie.

- Wszędzie pani szukamy - powiedział Harry. - Chcemy pani zadać kilka pytań w związku ze śmiercią Petera Newtona.

- Ja nie zabiłam Petera - odparła ze złością spoglądając mu w oczy. - Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Nie twierdzimy, że pani to zrobiła, uważamy jednak, że mogłaby nam pani bardzo pomóc w wyjaśnieniu pewnych spraw.

- Nie mam wam nic do powiedzenia. Nic nie wiem o tym morderstwie.

- A my uważamy, że wiele możemy się od pani dowiedzieć. Wiemy, że żyła pani z Newtonem. Czy zaprzeczy pani, że od miesiąca mieszkała pani u niego?

- Przykro mi - odparła chłodno Judy. - Nie mogę wam pomóc.

Harry pochylił się i spróbował bardziej przyjacielskiego tonu, by ją udobruchać.

- Posłuchaj, Judy. Jeśli nie zabiłaś Newtona, to najlepiej dla ciebie będzie, jeśli...

- Nie mów do mnie Judy - odcięła się. - Kiedy będę chciała, żebyś tak się do mnie zwracał, sama ci powiem.

Harry westchnął. Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Taksówka objechała Trafalgar Square i skręciła w Mall.

- Dokąd mnie wiesziesz?

- Do Scotland Yardu. Chcę panią przedstawić mojemu przyjacielowi. Inspektorowi Fletcherowi. Prowadzi tę sprawę.

Judy skwitowała tę informację profesjonalnym skinnieniem głowy.

- Znam Fletchera.
- Zna go pani?
- Miałam już okazję go poznać. Cieszę się, że jest twoim przyjacielem.

Harry odnosił wrażenie, że dziewczyna wcale nie jest taka twarda, za jaką pragnie uchodzić. Przeniósł się na siedzenie obok niej. Podsunął jej otwartą paczkę papierosów. Zawahała się, a potem wzięła jednego. Zanim zdążył podać jej ogień, wyjęła własną zapalniczkę, przypaliła papierosa i schowała ją z powrotem do torebki.

Harry też zapalił.

- Musimy jechać do Scotland Yardu?
- Tak. Przykro mi, ale musimy.
- A nie moglibyśmy pojechać gdzie indziej?
- Na przykład dokąd?

Harry'emu przemknęło przez myśl, że może dziewczyna próbuje go przekupić, że może jest taka, jak tamte dziewczyny z kolekcji zdjęć Petera Newtona. Ale nie pasowała mu jakoś do tej kategorii.

- Sama nie wiem. Gdzieś, gdzie można spokojnie porozmawiać.
- Wydawało mi się, że nie chce pani rozmawiać.
- Nie chcę o Peterze. Ale są jeszcze inne tematy.
- Na przykład, jakie?
- Zatrzymaj tę cholerną taryfę, to ci powiem!

Harry studiował przez chwilę jej twarz. Już raz usiłowała przed nim uciec. To mógł być kolejny podstęp. Zamajaczyła przed nimi rześcicie oświetlona fasada Pałacu Buckingham. Po lewej ciągnęły się pogrążone w ciemnościach trawniki, stawy i zarośla St. Jame's Park. Zdecydował się. Pochylił się i odsunął szybkę w szklanej tafli oddzielającej ich od szofera.

- Panie kierowco, proszę się tu zatrzymać, dobrze?

Taksówkarz hamował łagodnie. Widział jadący za nim samochód, tę samą minifurgonetkę, której zatarasował drogę zatrzymując się na Charing Cross Road i nie chciał, żeby wjechała mu teraz w kufer.

Zatrzymał się przy krawężniku, wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć drzwi przed Judy.

- Wszystko w porządku, proszę pani? – spytał cicho, gdy wysiadała.

- Tak. - Judy skinęła głową. - W porządku, dziękuję.

Za kurs płacił Harry. Nie spuszczał oka z Judy, gotowy w każdej chwili rzucić się za nią w pogoń, nie zauważył więc minifurgonetki, która przejechała powoli obok nich i stanęła przy krawężniku pięćdziesiąt jardów dalej.

Kiedy taksówka odjechała, wziął Judy pod rękę i poprowadził ku ławce osłoniętej od ulicy kępą krzaków porastających skraj parku.

- No dobrze - rzekł po drodze. - Na jakie to tematy sobie porozmawiamy, panno Black?

- Możemy porozmawiać... dajmy na to, o pańskim ojcu.

Doszli do ławki. Gałęzie nad ich głowami zasłaniały światło padające z odległej o dziesięć jardów latarni ulicznej. Judy usiadła. Odrzuciła niedopalek papierosa i sięgnęła po następnego.

- Co pani wie o moim ojcu? - spytał bardzo cicho Harry. Ogarnęło go szczególne zdenerwowanie, przez czucie, że za chwilę dowie się czegoś, co zniszczy obraz ojca, którego czcił niemal jak bohatera.

Tym razem przyjęła od niego ogień. Zaciągnęła się głęboko i przez chwilę wydmuchiwała powoli dym.

- Wiem, kto go zabił - odpowiedziała wreszcie.

## *Rozdział drugi*

Kierowca minifurgonetki stojącej pięćdziesiąt jardów dalej opuścił szybę od strony pasażera. Wychylił głowę tylko na tyle, by widzieć parę sadowiącą się na parkowej ławce i płomyk zapalniczki, którym przypalali sobie papierosy.

Cofnął się i usiadł prosto w fotelu kierowcy. Nie zgasił silnika. Teraz wrzucił tylko bieg i odjechał w kierunku Pałacu Buckingham. Był drobnym, wychudzonym mężczyzną wyglądającym jak niektórzy dżokeje. Marty Smith nie zaliczał się jednak do ludzi zamożnych. Miał przyszczate policzki i tik nerwowy, który sprawiał, że prawa połowa górnej wargi, prawe nozdrze i prawe oko drgały mu co kilka sekund. Wyglądało to tak, jakby połowa jego twarzy krzywiła się po otrzymaniu policzka.

Okrążył ostrożnie pomnik Królowej Wiktorii i wjechał z powrotem w Mail, tym razem od przeciwnej strony. Kawalek za parkową ławką, na której nadal siedziała para, skręcił w lewo i zaparkował furgonetkę na tyłach Clarence House. Nie było to miejsce przeznaczone do parkowania, ale w pobliżu nie kręcił się żaden policjant. Marty wysiadł i skryty w cieniu krzewów i drzew patrzył w zadumie przez jezdnię. Dużo by dał, żeby słyszeć, o czym rozmawia tamtych dwoje.

- Poznałam Petera mniej więcej przed rokiem. Jak wiesz, jestem aktorką. - Judy uśmiechnęła się. - No, tak naprawdę, to tancerką. To Peter namówił mnie do przeniesienia się z Liverpoolu do Londynu. Załatwił mi rolę w tym przedstawieniu granym w teatrze St. Edward's, które zrobiło klapę.

- O ile wiem, zainwestował w nie sporo pieniędzy.

- Tak. Ale to go specjalnie nie zmartwiło. Miał masę forsy i muszę przyznać, że był bardzo hojny. Dlatego właśnie zgodziłam się w końcu przyjechać tu z nim.

- Czy wie pani, skąd miał pieniądze?

- Powiedział mi, że zajmuje się handlem nieruchomościami. Miał też wuja, który zmarł i zostawił mu w spadku ćwierć miliona.

- Hmmm - mruknął z powątpiewaniem Harry. - Jak panią traktował?

Judy wzięła nowego papierosa i przypaliła go od niedopałka poprzedniego.

- Byliśmy bardzo szczęśliwi, przynajmniej na początku. Peter był naprawdę miłym człowiekiem i dobrym towarzyszem. Potem zdarzyło się coś dziwnego.

- Co to było? - zapytał Harry. Bez większego zainteresowania obserwował niskiego mężczyznę przemyskającego przez jezdnię. Znikł mu z oczu na jakiejś ścieżce prowadzącej w głąb St. Jame's Park.

- No więc pewnego wieczora wróciliśmy z przyjęcia. To było w przeddzień śmierci twojego ojca. Peter był w okropnym nastroju. Nazajutrz mieliśmy lecieć do Paryża. Twierdził, że moja edukacja nie będzie kompletna, dopóki nie odwiedzę „Maxima” i „Tour d'Argent”.

- Ale nie poleciliście?

- Nie. To było bardzo dziwne. Dochodziła chyba dziesiąta wieczorem, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi i

wszedł ten mężczyzna w wieczorowym stroju. Ja byłam... no, chciałam coś na siebie zarzucić i wpadłam szybko do sypialni.

- Widziała pani tego mężczyznę? Wie pani, kto to był?

- Poznałam go od razu po głosie. Nazywa się Arnold Conway. Kilka razy byliśmy z nim i jego żoną Sybil w restauracji. Ale tego wieczoru zwracał się do Petera tonem, którego dotąd u niego nie słyszałam. Przestraszyłam się trochę i zaczęłam podsłuchiwać.

- Pamięta pani dokładnie co mówił?

Judy zmarszczyła czoło wyęzając pamięć.

- Nie, naprawdę nie pamiętam słów. Peter był wyraźnie zaskoczony widokiem Conwaya i spytał go, po co przyszedł. A Conway powiedział Peterowi, że ma być dokładnie o dziesiątej rano następnego dnia w klubie golfowym Highgate, bo o tej porze będzie tam Tom Dawson. Peter zaczął protestować, ale Arnold nie chciał nawet słuchać.

Przerwała i zerknęła nerwowo na Harry'ego.

- No, i co dalej? - naciskał Harry.

- To wszystko. W tym momencie weszłam do pokoju i Arnold stał się nagle bardzo uprzejmy. Zaraz potem wyszedł. Peter był strasznie zdenerwowany, ja zresztą też. Sam pomysł rezygnacji z wypadu do Paryża z powodu gry w golfa...

- Tak pani powiedział?

- Tak. Tłumaczył, że umówił się na to spotkanie jakiś czas temu i zupełnie o tym zapomniał. Skończyło się porządnią awanturą. Wytknęłam mu, że jest psem na smyczy Tama Owena, a on się wściekł. Uderzył mnie w twarz i powiedział, że nie wolno mi nigdy wymieniać tego nazwiska. Ani przy nim, ani przy nikim innym.

- Tam Owen - powtórzył za nią Harry. - Wie pani coś o tym człowieku?



- Tylko tyle, że Peter co rano rozmawiał z nim pół godziny przez telefon. Sądziłam, że mówią o handlu nieruchomościami.

Sto jardów od nich, w budce telefonicznej na Mailu, Marty Smith wsuwał właśnie monetę do automatu.

- Tam? Mówi Marty... Słuchaj, nie zabrał jej do Yardu. Zatrzymał taksówkę na Mailu... Siedzą teraz w parku i rozmawiają... Ale myślałem, że chcesz ją wrobić.

Marty zatkał sobie palcem ucho, żeby odciąć się od warkotu przejeżdżającego skutera. Słuchał pilnie z wyrazem skupienia na twarzy.

- Co powiedziała Linda?.. Och, ty w życiu!.. Tak, są tu niedaleko, mam ją sprowadzić z powrotem? - Słuchał przez chwilę. Powrócił nerwowo tik. - Okay, Tam. Okay, ty tu jesteś szefem.

Odwiesił słuchawkę, wyszedł z budki, rozejrzał się czujnie, po czym ruszył ścieżką prowadzącą w głąb parku. Nie uszedł nią daleko. Skręcił w prawo przekraczając barierkę, która miała chronić trawę przed zdeptywaniem przez spacerowiczów, i wślizgnął się w zarośla. Za znak orientacyjny służyła mu uliczna latarnia, którą wcześniej zauważył w pobliżu ławki. Wsunął rękę do kieszeni, żeby przytrzymać znajdujące się tam metalowe narzędzie, które objało mu boleśnie kościste udo.

- No i - mówiła Judy - następnego dnia Peter poszedł grać w golfa. Wrócił wcześniej, niż się spodziewałam. Wyglądał okropnie, był wyraźnie roztrzęsiony i biały jak papier. Powiedział, że zabił człowieka. Nigdy nie zapomnę,

jak to mną wstrząsnęło. Dopiero z dalszej jego relacji zrozumiałam, że to był wypadek, że trenował i jedna z uderzonych przez niego piłek trafiła tego mężczyznę w głowę.

- Słyszałem tę historyjkę - burknął Harry. - Wierzy pani w nią?

- Szczerze mówiąc, nie. Zorientowałam się, że kłamie. Spytałam go, czy znał człowieka, którego zabił, a on odpowiedział, że to był Dawson. Pamiętałam, że Arnold Conway wymieniał to nazwisko. Kiedy jednak powiedziałam to Peterowi, on chwycił mnie za ramię tak mocno, że do dziś mam siniaka. Kazał mi przysiąc, że zapomnę zupełnie o rozmowie, którą podsłuchałam.

Zapaliła następnego papierosa i zaciągnęła się głęboko. Harry nie przerywał milczenia. Nic dziwnego, że dziewczyna się bała. Jeśli ktoś zamordował Newtona, zrobił to niewątpliwie po to, by zlikwidować świadka. Będzie więc chciał się rozprawić w ten sam sposób z Judy Black.

Nastawił ucha. W krzakach za ich plecami coś się poruszyło. Prawdopodobnie jakieś małe, płochliwe zwierzątko, które tylko nocą odważa się opuszczać swoją norkę.

- Kiedy przeczytałam o tym wypadku - podjęła Judy - jeszcze bardziej się zaniepokoiłam. Wiedziałam, że Peter nie powiedział mi prawdy i miałam straszne przeczucie, że twój ojciec nie zginął przypadkiem. Prześladowały mnie słowa Conwaya.

Była nerwowa, jak kotka. Nawet cichutki szelest liści w zaroślach za ławką sprawił, że się obejrzała.

- Następnego ranka, to znaczy wczoraj, do Petera zadzwonił Tam Owen. Jeszcze się dobrze nie rozbudziłam, a Peter odebrał telefon w living roomie. Ale słyszałam, co mówi.

- Co pani usłyszała? - pytał Harry.

Zniżyła głos.

- Powiedział: „Tam, pamiętaj o jednym! Ty zabiłeś Dawsona. Nie ja. A teraz zostaw mnie, na miłość boską, w spokoju”. Wrócił do sypialni cały spieniony, po prostu dygotał z wściekłości. Zamknęłam oczy i udawałam, że śpię.

- Czy Tam Owen był współnikiem w interesach Petera?

- Być może, ale szefem tej spółki był na pewno.

- Skąd ta pewność?

- To oczywiste. Wystarczyło, że Tam powiedział: „Jedź do Birmingham, do Leeds, czy do Manchesteru” i Peter jechał. Nie było żadnej dyskusji.

- A Arnold Conway?

- Arnold był przyjacielem Petera. To przez niego Peter poznał Tama Owena.

- Naprawdę?

Harry obserwował zmianę warty przed odległym o dwieście jardów Pałacem Buckingham. Trzyosobowy oddziałek w szkarłatnych tunikach i futrzanych czapach maszerował sztywno przed oświetlonym frontonem gmachu. Widok ten napawał go poczuciem bezpieczeństwa i porządku.

- No dobrze, panno Black. Teraz niech mi pani opowie...

- Mów mi Judy. - Spróbowała się uśmiechnąć i położyła mu dłoń na ramieniu. - Przepraszam za moje zachowanie w taksówce. Nie wiedziałam kim jesteś i byłam przerażona.

Jej uśmiech i dotyk podziały na Harry'ego bardziej, niż to chciał okazać. Starał się zachować beznamiętny i oficjalny ton, ale myślał jednocześnie jakby to było, gdyby wziął tę dziewczynę w ramiona.

- Opowiedz mi o wczorajszym wieczorze.
  - Peter zabrał mnie na kolację i znowu się... Zrobiła strapioną minę.
  - Znowu się pokłóciliście?
  - Tak. Tym razem okropnie. Dlatego właśnie go zostawiłam.
  - Która to była godzina?
  - Około dziesiątej wieczorem.
  - Gdzie go zostawiłaś? W restauracji?
  - Nie. Wyszliśmy stamtąd wpół do dziesiątej i pojechaliśmy do Hyde Parku. Przez jakieś pół godziny siedzieliśmy w jego samochodzie niedaleko Serpentine.
  - A potem?
  - Już ci powiedziałam. Zostawiłam go.
  - I co robiłaś?
  - Poszłam na spacer.
  - Sama?
  - Tak. Oczywiście.
  - Gdzie spacerowałaś?
  - Przeważnie po parku.
  - Rozmawiałaś z kimś znajomym?
- Spojrzała na niego uświadamiając sobie teraz cel tych pytań. Rozmawiali o czasie, w którym musiał zostać zamordowany Peter.
- Nie. Z nikim nie rozmawiałam.
  - A potem?
  - Przenocowałam u przyjaciółki. Bóg mi świadkiem, jak teraz tego żałuję. Wyrzucam sobie, że nie wróciłam do domu. Gdybym tak zrobiła, to może... gdyby nie ta głupia awantura.
- Była bliska łez. Harry dał jej chwilę na uspokojenie się, po czym odezwał się znowu, tym razem łagodniej.
- O co się pokłóciliście, Judy?
  - Och, o nic ważnego.

- Czy o mojego ojca... o to, co się stało?
- Nie. Powód był najbłahszy, jaki można sobie wyobrazić. Pokłóciliśmy się o najidiotyczniejszą rzecz - o psią obrożę.

Wytarła nos i roześmiała się cicho. Ten śmiech wydał się Harry'emu dużo gorszy od łez.

- Powiedziałam ci przecież, że o nic ważnego.

Harry pochylił się i chwycił ją za ramiona. Krzyknęła cicho zaskoczona.

- Posłuchaj, Judy...

Oczy Judy rozszerzyły się nagle. Obejrzał się i zdążył jeszcze usłyszeć szelest i trzask suchej gałązki pod butem. Pałka Marty Smitha trafiła go w głowę, tuż za uchem, kiedy próbował zerwać się z ławki i odwrócić przodem do napastnika.

Wydało mu się, że spada w połyskliwy wir, w którym odbija się Pałac Buckingham, ciemne drzewa parku, otwarte w niemym krzyku usta Judy, pryszczata twarz wykrzywiona nienawiścią i bezwzględnością.

- Mówię pani, że nic mi nie jest. Muszę stąd natychmiast wyjść. Niech pani powie, z łaski swojej, żeby oddało mi ubranie.

Odzyskawszy przytomność Harry stwierdził, że leży nagi, jeśli nie liczyć wykrochmalonego chałata, w szpitalnym łóżku otoczonym parawanami. Jego protesty nie wywierały najmniejszego wrażenia na młodej, niezbyt urodziwej pielęgniarce, która poprawiała mu pościel, kiedy otworzył oczy. Teraz lekarka próbowała poskromić bardzo niesfornego pacjenta. Miała na sobie biały fartuch, a między piersiami dyndał jej zawieszony na szyi stetoskop.

- To wykluczone. Mógł pan doznać silnego wstrząsu mózgu. Przez kilka dni trzeba leżeć w zaciemnionym

pomieszczeniu. Poza tym, chcemy panu zrobić przeświecenie głowy. Żeby sprawdzić, czy czaszka jest cała.

- Cała, cała! - warknął Harry. - Proszę posłuchać, nie pierwszy raz oberwałem po łbie. Nawet sobie pani nie wyobraża, jaką mam mocną głowę.

Nic nie pomogło. Lekarka była nieugięta. Harry wskórał tylko tyle, że zgodziła się powiadomić Nata Fletchera ze Scotland Yardu. A i to dopiero wtedy, kiedy zagroził, że wybiegnie goły do aparatu telefonicznego na korytarzu.

Nat zjawił się po dwudziestu minutach.

- A więc to byłeś ty! - brzmiały jego pierwsze słowa.

- To jestem ja - poprawił go Harry.

- Źle mnie zrozumiałeś. Chodziło o meldunek, który dostaliśmy tuż przed wiadomością od ciebie. Przejeżdżający motocyklista widział, jak cię napadnięto na ławce w Mailu. Zawrócił, ale na miejscu znalazł tylko ciebie. Napastnik i dziewczyna, która z tobą była, zniknęli w St. Jame's Park. Zdecydował, że przede wszystkim trzeba wezwać pogotowie.

- Nie wiadomo, co się stało z dziewczyną?

- Nie. - Nat usiadł na skraju łóżka i zniżył głos. - Powiedział, że była blondynką. Czy to przypadkiem nie Judy Black?

Harry skinął głową. Nawet ten drobny ruch sprawił, że ból głowy wzmógł się.

- Musisz mnie stąd wydostać, Nat. Te mały zabrały mi ubranie.

- W porządku. - Nat wstał. - Zostaw to mnie.

Harry nigdy się nie dowiedział, jakich argumentów użył Nat, by przekonać lekarkę. Dość, że więcej się nie pokazała. Bardzo zgorzonna pielęgniarka przyniosła mu ubranie i pięć minut później sadowił się już z pewnym trudem w wozie wydziału kryminalnego.

- Łatwo ci krytykować, Nat - powiedział Harry, kiedy samochód ruszył. - Ciekawe, jak ty byś się spisał na moim miejscu?

- Bardzo dobrze wiesz, do cholery. Przywiózłbym ją prosto do Scotland Yardu.

- Nie jestem taki pewny.

- Harry, zrobiłeś z siebie durnia. Co my, u diabła, powiemy teraz Yardleyowi?

- Mam gdzieś Yardleya. - Harry pogładził się po miejscu, gdzie pulsował boleśnie guz. Jazda ruchliwą ulicą potęgowała wzbierające nudności.

- Może ty, ale nie ja - odburknął Nat. - A to ja prowadzę tę sprawę. Może byś tak raczył o tym pamiętać. Kiedy nadinspektor się o tym dowie, szlag go trafi.

- A musi się dowiedzieć?

Nat oderwał na moment wzrok od drogi, żeby spojrzeć na Harry'ego. Byli w samochodzie sami.

- Co ci chodzi po głowie?

- Jeśli nie uda mi się odnaleźć Judy. Jeśli jej nie odnajdę do...

- Jeśli-jeśli-jeśli - przerwał mu Nat. - Twoją jedyną szansą jest dostać następny cynk i dobrze o tym wiesz. Nie zgarnąłbyś jej dzisiaj wieczorem, gdyby nie ten telefon. Wiedziała, że policja jej szuka, to dłaczego, u diabła, sama się nie zgłosiła?

- Bała się.

- Czego się bała? Jeśli nie zabiła Newtona, to czego mogła się obawiać?

Jechali teraz Park Lane. W Grosvenor House odbywało się jakieś wielkie przyjęcie i przed wejściem ustawiała się kolejka taksówek.

- Nat, na miłość boską! Ta dziewczyna żyła z Newtonem, pokłóciła się z nim, a jej alibi nie było warte funta kłaków. I ty się dziwisz, że nie poszła na policję?

- No dobrze już, dobrze... - Nat nie zamierzał ulec sentymentalizmowi Harry'ego. - Nadal jednak twierdzę, że powinieneś ją przywieźć do Yardu i tam przesłuchać.

- Niech ci będzie, popełniłem błąd. Tak, popełniłem. To nie mój pierwszy i przypuszczam, że nie ostatni.

Nat nie odzywał się przez minutę. Obserwował czujnie popisy kierowcy Jaguara, który co chwila zmieniał pasy ruchu.

- Powiem ci, co zrobię, Harry - mruknął wreszcie, kiedy zamajaczył przed nimi Marble Arch. - Na razie będę trzymał głowę na kłódkę.

- Dzięki, stary.

- Nie puszcze pary przez czterdzieści osiem godzin. Ale jeśli nie odnajdziesz Judy Black do czwartku wieczór, powiem Yardleyowi, co się dzisiaj wydarzyło. Będę musiał.

- Okay - powiedział zadowolony Harry. - Powiedz mi teraz coś, tylko szczerze. Czy wierzysz Judy Black? Wierzysz w to, co mi powiedziała?

- Częściowo. Wierzę w to, co mówiła o twoim ojcu i o tym, co się wydarzyło w wieczór poprzedzający jego śmierć. Ale nie wydaje mi się, żeby mówiła prawdę, jeśli chodzi o Newtona.

- Dlaczego?

- Ponieważ on wcale nie zajmował się handlem nieruchomościami. Trudnił się zupełnie czym innym. Judy powiedziała ci, że pracował dla tego... jak mu tam?

- Owen. Tam Owen.

Nat skinął głową.

- Handel nieruchomościami to tylko przykrywką. Tak naprawdę Owen prowadzi agencję dziewcząt na telefon. Ale świadczy bardzo szczególne usługi: specjalne dziewczyny dla specjalnych ludzi. Wysokich urzędników państwowych, ważnych gości zagranicznych, biznesmenów



odwiedzających Londyn. Nie muszę ci mówić jakie możliwości stwarza taki interes.

- I sądzisz, że Judy o tym wiedziała?

- Oczywiście - prychnął pogardliwie Nat. - Musiała wiedzieć.

Harry ostrożnie, ale stanowczo potrząsnął głową.

- Przykro mi, Nat, ale nie zgadzam się z tobą.

- Wcale tego od ciebie nie oczekiwałem - odparł Nat.

- Czytałeś ostatnio jakieś dobre romanse? - dorzucił z sarkazmem.

- Och, wiem co myślisz - powiedział Harry z rzadką u niego wrogością w głosie. - Wiem, co ci podsuwa ta twoja parszywa wyobraźnia. Ale się mylisz.

- No to jest nas już dwóch - stwierdził oschle Nat, skracając w Gloucester Place.

Reszta drogi pod sklep przy Finchley Road upłynęła w milczeniu.

Nat zjechał do krawężnika i kiedy Harry otwierał drzwiczki, sięgnął na tylne siedzenie po neseser. Otworzył go i wyjął osławioną psią obrozę.

- Masz tu przy okazji tę obrozę. Już nam nie jest potrzebna.

- Badano ją w laboratorium?

- Tak. Przeszła przez cały gmach. Niczego nie stwierdzono. To zupełnie zwyczajna psia obroza. Nie mam pojęcia, do czego, u diabła, zmierzał Newton, pisząc ten donos.

Harry stał już na trotuarze. Schylił się, żeby wziąć obrozę od Nata.

- Tak, ja również.

- Jak on to ujął? „Oto dlaczego zamordowano pańskiego ojca”?

- Tak. Chyba tak to brzmiało. - Harry zatrzęsął drzwiczki. - Dobranoc, Nat. I dzięki.

- Na pewno dobrze się już czujesz?
- Tak. Nic mi nie będzie.
- Pamiętaj, co powiedziała lekarka. Żadnych nocnych eskapad i wcześniej do łóżka.

Harry patrzył za odjeżdżającym samochodem. Nadal niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Zbliżywszy się do drzwi prowadzących z ulicy do mieszkania stwierdził, że śpiesząc się na spotkanie z Judy Black zapomniał zamknąć je na klucz.

Klatka schodowa była oświetlona, chociaż pamiętał dobrze, że wychodząc nie włączał tam światła. Po przygodzie w St. Jame's Park wolał zachować czujność. Nie miał najmniejszej ochoty po raz wtóry oberwać po głowie. Wchodził więc bardzo powoli i ostrożnie.

Widok postaci stojącej plecami do niego bynajmniej nie podziałał nań uspokajająco. Był to mężczyzna w ciemnoszarym garniturze w jodełkę. Ponad krawędź kołnierzyka marynarki wystawał na dobre pół cala biały kołnierzyk koszuli. Nieznajomy miał na głowie melonik, a z lewego przedramienia zwisał mu ciasno zwinięty parasol. Palcem wskazującym prawej dłoni naciskał niecierpliwie przycisk dzwonnka.

Wyglądał na akwizytora polis ubezpieczeniowych albo obligacji.

- Czym mogę panu służyć? - spytał Harry.

Zaskoczony mężczyzna odwrócił się na pięcie i zamrugał szybko powiekami. Twarz miał jak księżyc w pełni, minę niepewną, a cerę różową i tak gładką, jakby dopiero co się ogolił.

- Oj... eee. - Nieznajomy usiłował otrząsnąć się z przerażenia. - Szukałem pana Harry'ego Dawsona.

- To ja.

Mężczyzna pokiwał gorliwie głową. - Przepraszam, że nachodzę pana tak bez zapowiedzi.

- Kim pan jest? - Harry wciąż nie kwapił się z otwarciem drzwi. - Czego pan sobie życzy?

- Bardzo pana przepraszam. Nazywam się Hubert Rogers. Jestem bratankiem pani Rogers. Właściwie to się nie znamy, ale z pewnością wiele o sobie słyszeliśmy.

- Ależ oczywiście! - Harry próbował ukryć zaskoczenie. Nie tak wyobrażał sobie Huberta. Wybił się jako jedyny członek rodziny, otrzymał pracę w dużej firmie ubezpieczeniowej. W eleganckim garniturze i starannie zawiązanym krawacie czuł się wyraźnie nieswojo, jak gdyby nie przywykł jeszcze do swej pozycji.

- Przepraszam, panie Rogers. Proszę wejść.

Harry przekręcił klucz w zamku i przepuścił Huberta Rogersa. Wchodząc za nim do pokoju gościnnego zapalił światło. Hubert położył ostrożnie swój melonik i parasol na stole pośrodku pokoju.

- Podać panu coś do picia?

Hubert uśmiechnął się ze skruchą.

- To bardzo miło z pańskiej strony, ale... ja nie piję. Harry sięgnął po paczkę papierosów.

- To może papierosa?

Uśmiech Huberta stał się jeszcze bardziej przepraszający.

- Przykro mi, ale również nie palę. Żadnych złych nawyków, panie Dawson, może poza jednym. - Przewiercił Harry'ego beznamiętnym spojrzeniem jasnych oczu. - Mam przykry zwyczaj przechodzenia od razu do sedna sprawy. Tak przynajmniej twierdzą moi koledzy.

- Ja nie nazwałbym tego złym nawykiem. W mojej profesji uważamy to za cnotę.

Hubert parsknął cichym, suchym chichotem.

- Tak, tak, z pewnością. - Przesunął palcem wokół wewnętrznej strony nakrochmalonego kołnierzyka. - Panie

Dawson, martwię się o moją ciotkę. Dlatego właśnie postanowiłem z panem porozmawiać.

Miał jakiś nienaturalny akcent. Jego sposób mówienia był starannie dobrany do stylu ubierania się, ale od czasu do czasu wymykało mu się niepoprawnie wymówione słowo.

- Co pana tak martwi? A nawiasem mówiąc, wie pan zapewne, że pańska ciotka już tu nie pracuje?

- Tak, wiem. O ile się orientuję, pracuje teraz w tym nowym hotelu, Plaza-coś-tam. Chyba Plaza Royal.

- Zgadza się. - Harry zdał sobie sprawę, że nieprędko pozbędzie się Huberta Rogersa. Głowa mu pękała i zastanawiał się, czy widać, jak chwieje się na nogach. Wiedział jednak, że musi wytrzymać jeszcze trochę, jeśli chce się dowiedzieć, co o tak późnej porze sprowadza bratanica pani Rogers.

Hubert, zaproszony, usiadł z zadowoleniem.

- Bardzo szanuję moją ciotkę, wiele jej zawdzięczam - zaczął, starannie dobierając słowa. - To ona zaopiekowała się mną po śmierci moich rodziców. Ale, jak mówiłem, bardzo się o nią martwię. Wydaje mi się, że jest... no cóż, jeśli mam być szczery, wydaje mi się, że jej odbija.

Hubert położył nacisk na to gwarowe określenie, tak jakby chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że z trudem przechodzi mu przez usta.

- Czemu pan mi to mówi?

- Cóż - to bardzo niezwykle. Telefonowała do mnie Bóg wie ile już razy i zawsze w tej samej sprawie. To zupełnie absurd i proszę nie mieć mi za złe. Utrzymuje mianowicie, że coś jej pan ukradł.

- Że coś ukradłem? Boże jedyny, a niby co?

Hubert znowu pokrył chichotem zażenowanie.

- No właśnie. To idiotyczne. Twierdzi, że ukradł jej pan psią obrozę.

Harry przyglądał mu się przez chwilę uważnie. Wzmiankę o psiej obroży słyszał tuż przed ciosem w głowę, po którym stracił przytomność. Przejechał machinalnie dłonią po kurczącym się guzie.

- Chodzi zapewne o obrożę, którą mój ojciec podarował jej dla Zera?

- Tak. Właśnie o tą. Dlaczego tak jej na niej zależy, nie wiem. Wynika to może z faktu, że bardzo szanowała pańskiego ojca. Ale powinno jej wystarczyć, że odzyskała psa. Przecież stać ją na kupno nowej obroży. Zaoferowałem się nawet, że sam jej taką podaruję.

- Tak, panie Rogers, tylko że ona nie chce innej obroży. - Harry wsunął rękę do kieszeni marynarki. - Oto ta oryginalna.

Hubert zamrugał powiekami zaskoczony widokiem obroży w dłoni Harry'ego. Wstał i podszedł bliżej.

- Czy to ta sama, wokół której ona robi taki szum?

- Ta sama.

- Wielkie nieba! - Hubert wyciągnął rękę. - Mogę?

- Ależ oczywiście.

Harry obserwował go, jak obraca obrożę na wszystkie strony.

- Bardzo ładna, bardzo, ale nie rozumiem, o co to całe zamieszanie - stwierdził, oddając obrożę Harry'emu.

- Ja również, panie Rogers. - Harry wstał, podszedł do biurka i położył na nim obrożę. - W każdym razie może pan powiedzieć ciotce, że jeśli się ze mną skontaktuje, dostanie ją z powrotem.

Hubert był zachwycony, że jego wizyta okazała się tak owocna. Wziął ze stołu melonik i parasol. - Wspaniale, to załatwia sprawę. Dziękuję, panie Dawson, bardzo panu dziękuję.

Harry, rad, że rozmowa trwała tak krótko i była tak nieskomplikowana, odprowadził gościa do drzwi.

Kiedy znaleźli się w korytarzu, Hubert zatrzymał się i odwrócił.

- Wiem, że to nie moja sprawa i mam nadzieję, że pan się nie obrazi, jeśli o to spytam, ale... dlaczego nie oddał pan tej obroży mojej ciotce, kiedy przyszła po pudła?

- Z tej prostej przyczyny, że jej nie miałem. Była u nadinspektora Yardleya.

Hubertowi oczy zabłyśły z ciekawości, ale Harry wzruszył tylko ramionami.

- Oglądał ją sobie, panie Rogers. Ale opowiadałem już to wszystko pańskiej ciotce. Wiedziała, że obroża jest w Scotland Yardzie.

- Naprawdę? No sam pan widzi. Tego mi nie powiedziała. Nie pisnęła nawet słówkiem.

Hubert potrzęsnał bezsilnie głową i wyciągnął do Harry'ego rękę. Dłoń miał miękką i spoconą.

- Dziękuję, panie Dawson - powtórzył po raz kolejny.

Harry otworzył przed nim drzwi frontowe. - Dobranoc - rzekł.

- Dobranoc.

Harry zwlekał z zamknięciem drzwi tylko tyle, ile wymagała tego grzeczność. Nie wrócił już do pokoju, tylko prosto z korytarza wszedł do sypialni. Pomieszczenie było małe, ale meble okrętowe kupione na wyprzedaży słynnego liniowca, który szedł na żyletki, nadawały mu funkcjonalny wygląd i stwarzały męską atmosferę. Harry otworzył szafkę nad umywalką, wysypał na dłoń cztery aspiryny z fiolki i popił je szklanką wody. Rzut oka w lustro przyprawił go o szok. Ujrzał tam twarz starszego o dziesięć lat mężczyzny.

Tej nocy będzie to musiał jakoś odespać.

Kiedy szedł przez pokój do kuchni, jego wzrok, przyciągnęła leżąca na biurku obroża. Przystanął, wziął ją i

skierował się do sieni, z której kręcone schodki prowadziły na dół do kantorka.

Korzystając ze światła rzucanego przez neon przed sklepem, zszedł po stopniach i odsłonił sejf zamaskowany przez makietę kominka. Kombinację przypomniał sobie dzięki mnemonicznej rymowance, której nauczył go ojciec. Kiedy sejf stanął wreszcie otworem, położył obrożę na półce i starannie zarygłował drzwiczki.

Telefon zadzwonił nazajutrz, mniej więcej dwie godziny po otwarciu sklepu. Harry borykał się akurat z kilkoma problemami, z którymi Douglas Croft nie potrafił sobie sam poradzić. Przespana spokojnie noc pomogła mu dojść do siebie. Wszedł właśnie do sali sklepowej, żeby zamienić parę słów z Liz, kiedy w kantorze zadzwonił telefon. Chwilę później zza oszklonych drzwi wychyliła się głowa Douglasa.

- To do ciebie, Harry. Pani Rogers.

Harry wrócił pośpiesznie do kantoru, zczekał aż za Douglasem zamkną się drzwi i podniósł słuchawkę.

- Pani Rogers?

- Halo, panie Dawson. Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale rozmawiałam właśnie z moim bratanikiem. Dowiedziałam się, że był u pana wczoraj wieczorem.

Z brzmienia jej głosu Harry wywnioskował, że jest zdenerwowana i zakłopotana. Wydało mu się, że w tle słyszy stłumiony szum ruchu ulicznego, co by znaczyło, że pani Rogers telefonuje z automatu.

- Był, pani Rogers. Ucieliśmy sobie dosyć interesującą pogawędkę.

- Jak... jak rozumiem, ma już pan z powrotem tę obrożkę Zera?

- Tak - uspokoił ją Harry. - Chce ją pani?

- Tak, panie Dawson. - odparła szybko, wyraźnie rada, że on pierwszy to zasugerował. - Bardzo panu dziękuję. Czy będzie pan tak dobry i wyśle mi ją pocztą? Mój adres...

- Nie, przykro mi, pani Rogers. Wolalbym nie korzystać z poczty. Prawdę mówiąc, to i ja chciałbym panią o coś prosić. Nazwijmy to transakcją wymienną.

- A o co? - Głos pani Rogers znów brzmiał zdenerwowaniem.

- O informację.

- O czym?

- O pani znajomym, Tamie Owenie.

- Nie znam żadnego Tama Owena - odparła bardzo ostro, ale po krótkiej chwili wahania.

- A mnie się wydaje, że pani zna, pani Rogers. Obróżka jest u mnie. Jeśli chce ją pani odzyskać, proszę przyjść.

- Nie, niech pan zaczeka!

Wyczuła, że Harry chce odłożyć słuchawkę i w jej głosie pojawiła się panika.

- Nie chcę do pana przychodzić. To... to mi nie odpowiada. Może... Czy zna pan pub o nazwie „Golden Plough”?

- To w St. John's Wood?

- Tak. Spotkajmy się tam dziś wieczorem, panie Dawson. Około siódmej. W barze pierwszej kategorii. Będę czekała.

Przerwała połączenie. Harry odłożył powoli słuchawkę.

„Golden Plough” był nowoczesną gospodą z kilkoma barami i małą restauracją. Bar pierwszej kategorii wyglądał bardzo okazale: lustra, dyskretne oświetlenie i



obicia z imitacji skóry. W jednym końcu kontuaru w kształcie końskiej podkowy znajdował się bufet z oszklonymi gablotami pełnymi salatek z zimnymi nóżkami, pasztetami wieprzowymi w cieście i sałatkami, a przed nim szereg kilkunastu wysokich stołków. Nad gwarem rozmów unosiły się, niczym oliwa na wzburzonej wodzie, łagodne tony muzyki odtwarzanej z taśmy.

Kiedy Harry wszedł na salę, przy stolikach pod ścianą siedziało już sporo osób. Przy ladzie bufetu dwaj mężczyźni nakładali sobie zakąski na talerze. Inny starszy mężczyzna przestępował niepewnie z nogi na nogę, rzucając tęskne spojrzenia w kierunku drzwi damskiej toalety. Ubrany był w zamszową kurtkę z welwetowym kołnierzem, a na głowie miał szerokoskrzydły kapelusz. Jedną ręką pieścił syjamskiego kota, który przysiadł mu na ramieniu.

Wzdrygnął się lekko słysząc rozlegający się za plecami głos Harry'ego.

- Witam, panie Heaton.

- Och, witam, panie Dawson. Dobry wieczór. - Heaton, trochę zarumieniony z zakłopotania, odwrócił się do Harry'ego. Ubrany był ze szczególną dbałością, jakby na jakąś specjalną okazję.

- Jak się pan miewa? - spytał Harry, kiedy ściskali sobie ręce.

- Bardzo dobrze, dziękuję, sir. Nigdy jeszcze pana tutaj nie widziałem. Często pan tu bywa?

- Nie. Niestety nie. Umówiłem się ze znajomą. To pański lokal?

- Tak. A mój sklep jest tuż za rogiem. Och!

Ten cichy okrzyk wyrwał mu się na widok płomienowłosej kobiety wychodzącej właśnie z toalety. Miała około trzydziestu lat, ładną, wyrazistą figurę, ale raczej

pospolite rysy twarzy. Ujrzawszy Harry'ego rozmawiającego z Heatonem zatrzymała się jak wryta. Opanowała się jednak i ruszyła w stronę obu mężczyzn uśmiechając się lekko.

- Już, kaczorku - zwróciła się do Heatona, który zmieszał się lekko. - Kitajec był grzeczny?

- Tak. Siedział cicho, jak trusia.

Wzięła kota i posadziła go sobie na ramieniu.

- Dobry kotek.

Czując na sobie wzrok Harry'ego, obrzuciła go zuchwałym, profesjonalnym spojrzeniem i uśmiechnęła się wyzywająco.

- Przepraszam - powiedział Harry. - Czy przypadkiem nie jest pani znajomą Judy Black?

- Och, wybaczcie - wtrącił się Heaton. - Powinienem państwa przedstawić. To panna Linda Wade. Pan Dawson ze Scotland Yardu.

Linda wciąż patrzyła Harry'emu w oczy. Jej uśmiech nie zmienił się.

- Miło mi pana poznać. Powiedział pan: „Judy Black”? Nie, nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Ale z pewnością widziałem ją razem z panią wczoraj wieczorem. Przed restauracją „Chez Maurice” na Greek Street.

- Nic podobnego. Już panu powiedziałam - odparła przyjaźnie Linda. - Żałuję, ale nie znam nikogo o tym nazwisku. - Odwróciła się i wsunęła zabobrze rękę pod ramię Heatona. - Chodźmy, kaczorku. Zgłodniałam.

Heaton uśmiechnął się do Harry'ego na wół przepraszająco, na wół z dumą. Zmieszanie wyparła teraz dumą. Oczy wszystkich znajdujących się na sali mężczyzn śledziły ukradkowo ruch bioder wyciągającej go z sali Lindy.

Harry odprowadził ich wzrokiem, po czym wszedł do baru. Jak spod ziemi zjawił się przed nim barman odziany w welwetową kurtkę.

- Szkocką z wodą poproszę.
- Przepraszam pana, sir. Przypadkiem usłyszałem pańskie nazwisko. Pan Dawson, nieprawdaż?
- Tak.
- Był do pana telefon, od niejakiej pani Rogers. Bardzo przeprasza, ale nie będzie mogła przyjść.
- Harry zdusił okrzyk irytacji.
- Kiedy dzwoniła?
- Mniej więcej przed pół godziną.
- Nic więcej nie mówiła?
- Owszem. Powiedziała, że zatelefonuje do pana jeszcze dziś wieczorem, sir. Do domu.
- Rozumiem. Dziękuję.
- Powiedział pan szkocka z wodą, sir?
- Niech będzie podwójna. Bez lodu.

Wsuwając klucz w dziurkę Harry słyszał dzwoniący w mieszkaniu telefon. Otworzył pośpiesznie drzwi, przebieł w kilku susach korytarz i chwycił słuchawkę.

- Halo? - Nie było odpowiedzi. - Halo, pani Rogers?

Nadal nikt się nie odzywał. Harry niecierpliwie zastukał paznokciami w słuchawkę. W tym samym momencie włączył się w niej ciągły sygnał.

- Cholera!

Cisnął słuchawkę na widełki i stał wpatrując się w nią bezmyślnie. Po chwili telefon znowu zadzwonił. Harry odczekał dziesięć sekund i odebrał go. Ponownie usłyszał ciągły sygnał.

Zzymając się ze złości ściągnął z siebie płaszcz i rzucił go na kanapę. Wyjął papierosa i zapalił mając jeszcze nadzieję, że telefon znowu zadzwoni.

Kiedy to nie nastąpiło, wyszedł na korytarz i pchnął

drzwi swojego pokoju, włączając jednocześnie światło. Zdjął marynarkę i otworzył szafę, by sięgnąć po wieszak.

Lustro przymocowane do wewnętrznej strony drzwi od szafy omiotło pokój niczym filmowa kamera. Dotarło do łóżka i sunęło dalej.

Raptem Harry chwycił drzwi i cofnął je nieco z powrotem. W lustrze odbijał się widok, w którego realność nie mógł uwierzyć. Na jego łóżku leżało, twarzą do dołu, rozciągnięte ciało korpulentnej kobiety. Kapelusz ozdobiony plastikowymi kwiatami miała przekrzywiony, a sukienkę zadartą powyżej pękających kolan. Z pleców poniżej żeber sterczała rękojeść kuchennego noża do krajania mięsa.

Harry doświadczył już kiedyś tego uczucia. Było to w gabinecie Yardleya w Scotland Yardzie. Jak wtedy, tak i teraz wrażenie nierealności było na tyle silne, że zastanawiał się, czy czasem nie śni.

Siedział oto w swoim mieszkaniu przesłuchiwany przez naczelnego nadkomisarza. Przeróżające było to, że chociaż cały czas trzymał się niezłomnie prawdy, jego odpowiedzi brzmiały wykrętnie i fałszywie.

- Jeśli pan nie wierzy w ani jedno moje słowo, to nie widzę sensu w przeciąganiu tej rozmowy.

Harry wstał, żeby wyciągnąć z paczki następnego papierosa, już trzeciego od chwili przybycia policji. W normalnych okolicznościach był bardzo umiarkowanym palaczem.

- Chwileczkę. Postawmy sprawę jasno. - Yardley przypatrywał się bacznie, jak przypala sobie papierosa, niewątpliwie po to, by sprawdzić, czy nie trzęsą mu się ręce. - Nie podważam faktu, że udaliście się do tego pubu. Zresztą wasze zeznanie będzie można zweryfikować

przesłuchując barmana i tego mężczyznę, Heatona. Nie rozumiem jednak, dlaczego musieliście jechać aż do „Golden Plough”.

- Przecież powiedziałem panu. Musiałem tam pojechać, żeby spotkać się z panią Rogers.

Z miejsca, w którym teraz stał, widział swoją sypialnię. Roilo się w niej od funkcjonariuszy z sekcji zabójstw wykonujących sprawnie rutynowe czynności, aż za dobrze znane Harry'emu.

- Ale dlaczego nie przyszła do was do domu?

- Yardley przeglądał notatki. - Jaki był cel tego spotkania w pubie w St. John's Wood?

- Nie wiem. Nie ja wymyśliłem ten pub. To ona.

Harry odwrócił się plecami i podszedł do kominka.

Po środku obmurowania stał zegar w srebrnej obudowie z wygrawerowaną u dołu inskrypcją. Był to prezent podarowany ojcu przez jakąś chłopięcą organizację, dla której wiele uczynił. Od chwili, kiedy Tom Dawson wyszedł z domu udając się do Highgate Golf Club, świat stanął na głowie.

- Zapropnowaliście jej, żeby tu przyszła, ale odmówiła. - Ton Yardleya był złowieszczo łagodny. - Umówiliście się z nią więc w barze pierwszej kategorii w „Golden Plough”. Tak zeznaliście, Dawson.

Harry odwrócił się na pięcie. Spojrzałby Yardleyowi prosto w oczy, gdyby nadinspektor patrzył na niego. Ale Yardley zamykał właśnie notes i wsuwał go do kieszeni.

- Bo tak było, sir. Ja sobie tego nie wymyśliłem.

Wrogą ciszę, jaka zapadła, przerwało pojawienie się w progu Nata Fletchera. Na jego twarzy malował się wyraz beznamietnego skupienia i Harry to rozumiał. Funkcjonariusz policji, który zjawia się na miejscu zbrodni, dokonuje oględzin trupa, patrzy, jak lekarz policyjny, patolog i ekspert medycyny sądowej wykonują swoje makabryczne

obowiązki, musi odciąć się emocjonalnie od tego, co widzi.

- Skończyliśmy, sir. Mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Yardley odchrząknął i zaczął się dźwigać z przepastnego fotela.

- Dobra.

Nat, wciąż z oficjalnym wyrazem twarzy, zwrócił się teraz do Harry'ego.

- Jesteś absolutnie pewien, że nie dotykałeś ciała?

Harry pokręcił przecząco głową.

- Niczego nie dotykałem. Nie podchodziłem nawet do łóżka.

- Dobrze. Miała męża? Jest jakiś pan Rogers?

- Nie ma. Zmarł przed dziesięciu laty. Nie miała żadnej rodziny oprócz bratanka, Huberta Rogersa. Pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym Storm Insurance Company.

- W Londynie?

- Tak. Chyba tak.

Yardley podniósł wreszcie swe cielsko z fotela i wyprostował się.

- W porządku. Zostaw to mnie, Nat.

Jego wzrok padł na zegar stojący na obramowaniu kominka.

- Wielkie nieba! Siedzimy tu już prawie dwie godziny! Wpadnij do mnie rano, Nat.

- Tak jest, sir.

Yardley skinął krótko głową Harry'emu i wytoczył się ociężale do korytarza. Nat podszedł do krzesła, na którym zostawił swój płaszcz.

- On mi nie wierzy, Nat - poskarżył się Harry. - Nie wierzy w ani jedno moje słowo.

Nat nałożył niespiesznie płaszcz i rozejrzał się po pokoju.

Spojrzał na Harry'ego. Minę miał zakłopotaną; w wyrazie jego twarzy było coś, czego Harry nie potrafił nazwać. Nie była to jeszcze wrogość, ani podejrzliwość, ale znikło gdzieś dawne ciepło, dawna przyjacielskość.

- Do zobaczenia, Harry - powiedział Nat i wyszedł za nadinspektorem z mieszkania.

Harry siedział w pokoju sącząc kawę, którą sobie zaparzył i wypalając przy niej więcej papierosów, niżby miał na to ochotę. Słyszał policjantów i ich współpracowników nadal uwijających się w sypialni, ale nie poszedł zobaczyć. Ci ludzie byli jego kolegami, a przecież stali teraz po drugiej stronie niewidzialnej barykady. Zaczynał rozumieć, jak może się czuć normalny człowiek skierowany na przymusowe leczenie w domu dla psychicznie chorych.

Według niego strasznie się guzdrali. Kiedy podjechał policyjny ambulans, żeby zabrać doczesne szczątki pani Rogers, była już północ. Dwadzieścia minut później trzasnęły drzwi od ulicy i nareszcie został sam.

Wcześniej już postanowił, że będzie spał w pokoju ojca. Było tam wszystko, czego potrzebował: przybory do golenia, czyste piżamy i zmiana pościeli. W powietrzu unosił się tu nadal osobisty zapach ojca. Harry rozsunął kotary i zapatrzył się w nocne niebo.

Z zadumy wyrwał go dźwięk dzwonka u drzwi. Zaciągnął z powrotem zasłony i, rozdrażniony, poszedł otworzyć. Było dwadzieścia po pierwszej. Prawdopodobnie któryś z tych flegmatycznych sierżantów detektywów czegoś zapomniał.

Przed jego drzwiami stał jednak Hubert Rogers; ale Hubert Rogers zupełnie inny od tamtego sztywnego, dobrze ułożonego gentlemana, który odwiedził go poprzedniego dnia. Wyglądał teraz na człowieka, którego wywleczono z łóżka, kiedy zapadał w najgłębszy sen. Włosy miał przyczesane w pośpiechu. Ubrany był w parę

staromodnych, szarych, flanelowych spodni i zielony sweterek polo. Na nogi wcisnął parę północno-afrykańskich mokasynów, nabytych prawdopodobnie podczas jakiejś grupowej wycieczki.

- O, pan Rogers - bąknął niepotrzebnie Harry. Powinien się, oczywiście, domyślić, że pierwszą reakcją Huberta po usłyszeniu tragicznej wiadomości, będzie przybycie w te pędy. - Lepiej niech pan wejdzie.

- Dawson, czy to prawda... z moją ciotką? Czy to naprawdę się stało?

- Tak. Przykro mi, ale to prawda.

Hubert wszedł do korytarza zerkając lekliwie na zamknięte teraz i opieczętowane drzwi sypialni Harry'ego.

- Mój Boże, nie mogę uwierzyć. Był u mnie Yardley, pewnie ten nadinspektor, o którym pan wspominał. Takie wielkie chłopisko.

- Tak. To on. - Harry zamknął drzwi.

- Leżałem już w łóżku. Mam zwyczaj raz w tygodniu kłaść się wcześniej i... - Urwał i ku zdumieniu Harry'ego chwycił go za ramię. - Co tu się stało, Dawson? Co tu się, u licha, stało?

- Wejdźmy do pokoju. Należę panu drinka. Dobrze panu zrobi.

Harry położył dłoń na ramieniu roztrzęsionego mężczyzny i wepchnął go łagodnie do pokoju wypoczynkowego.

- Czego się pan napije? Whisky...

- Ja nie piję - powtórzył uparcie Hubert. - Proszę mi powiedzieć, co się stało.

- To nadinspektor panu tego nie powiedział?

Nalał sobie drinka słuchając Huberta, który powtarzał, czego dowiedział się od Yardleya.

- Tak. To wszystko prawda. Tak dokładnie było.



- Ale ja nic z tego nie rozumiem. - Hubert wpatrywał się w niego z miną wyrażającą strach i oskarżenie.

- Kiedy rozmawiałem z ciotką...

- Rogers, usiądź, proszę - przerwał mu Harry.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Hubert usiadł na krześle, Harry usadowił się wygodniej, w fotelu, który niedawno zajmował Yardley.

- Nie będę twierdził, że pańska ciotka i ja przepadaliśmy za sobą. Szczerze mówiąc, wcale nie żałowałem, kiedy postanowiła odejść. Nigdy jej nie lubiłem i nie wydaje mi się, żeby ona darzyła mnie sympatią. Ale ja jej nie zabiłem, Rogers.

- Dobry Boże, nawet mi przez myśl nie przeszło, że to pan - zachnął się Rogers. - I bardzo się pan myli twierdząc, że moja ciotka pana nie lubiła. Przepadała za panem, Dawson... za panem i za pańskim ojcem.

Hubert wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, być może chcąc w ten sposób uniknąć sceptycznego spojrzenia Harry'ego.

- Ale w wypadkach dzisiejszego wieczora jest coś, czego nie rozumiem. Coś, co nie pasuje mi do całości.

- Co takiego? - spytał Harry.

- Po wizycie u pana zatelefonowałem do ciotki i powiedziałem jej, że ma pan już z powrotem obroźę Zera, i jest pan gotowy ją zwrócić. Była zachwycona.

- I co?

- Wczoraj po południu wpadła do mnie niespodziewanie. Powiedziała, że rozmawiała z panem przez telefon. Że był pan dla niej bardzo miły i że wybiera się do pana wieczorem.

Harry zerwał się z fotela tak niezręcznie, że stracił szklaneczkę z whisky. Alkohol rozlał się płamą po dywanie.

- Powiedziała, że się tu wybiera? Do tego mieszkania?

- Tak. Powiedziała, że zaprosił ją pan na wieczór na drinka. Biedna staruszka była wniebowzięta.

- Ale to nieprawda!

W wyblakłych oczach Huberta pojawił się upór.

- Tak mi powiedziała, Dawson.

Harry walczył ze wzbierającym uczuciem rozpaczy.

- Czy powiedział pan to nadinspektorowi?

- Tak. Naturalnie, kochany panie. A cóż innego miałem mu powiedzieć?

Nazajutrz Harry stwierdził, że ma trudności ze skoncentrowaniem się. Na czymkolwiek. Może pomógłby mu spacer, wiedział jednak, że wcześniej czy później pojawi się Yardley, a tę wizytę chciał mieć jak najprędzej za sobą. Rad był, że został w domu. Odbył dzięki temu bardzo interesującą rozmowę z Douglasem Croftem. Był jeszcze w kantorze, kiedy ujrzał policyjny radiowóz zatrzymujący się przed wejściem. Yardley wysunął z niego nogi, a potem podciągnął się do pozycji stojącej. Z drugiej strony wozu wyłoniła się szczupła, wysportowana sylwetka Nata Fletchera.

- Wyjdź i powiedz im, że tu jestem, dobrze? - zwrócił się Harry do Liz.

Liz wybiegła na ulicę, a Douglas Croft zabrał się do uprzątnięcia z biurka próbek towarów. Spieszył się, czym prędzej chciał się wynieść. Tego ranka Nat Fletcher dopadł go przed wyjściem z domu i zadał serię podchwytliwych pytań. Douglas czuł się po tym zupełnie skołowany.

- Mogę usiąść? - zapytał Yardley po wejściu do małego biura. - Od rana nogi dają mi w kość.

Usiadł na biurowym krześle, które podsunął mu usłużnie Harry. Nat stanął przy szafce na dokumenty, opierając się o nią łokciem.

Yardley przeszedł od razu do rzeczy.

- Rozmawiałem wczoraj z Rogersem, tym bratanikiem.

- Tak, wiem.

- No to wiecie też, że wczoraj po południu ciotka telefonowała do niego i co mu powiedziała?

- Owszem. - Harry czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Zdawał sobie sprawę, że głos mu drży. - Tylko, że to nieprawda, sir.

Yardley spojrzął na niego przekrzywiając głowę, a potem zerknął na Nata. Nat zrozumiał, że ma się włączyć do przesłuchania.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie wierzysz Rogersowi? Nie wierzysz, że ciotka telefonowała do niego i powiedziała...

- Ujmijmy to inaczej - rzekł Harry. - Moim zdaniem rzeczywiście do niego telefonowała i powiedziała, że się tu wybiera, ale nie mówiła prawdy.

- Dlaczego miałyby kłamać? - wtrącił Yardley.

- Nie wiem, sir. A chciałbym. Ona kłamała i mamy na to dowód.

- Jaki dowód, Harry? - To pytanie zadał Nat.

- Telefonowała do pubu i zostawiła dla mnie wiadomość. Po co by to robiła, gdybyśmy umówili się tutaj?

- Do pubu ktoś telefonował - poprawił go Yardley. - Nie mamy pewności, czy faktycznie była to pani Rogers.

Na biurku, przy którym siedział Harry, zadzwonił telefon.

- Barman jej nie widział - poparł szefa Nat. - Dla niego był to tylko głos w słuchawce.

- Tak, wiem, Nat. Ale jeśli zamierzasz powątpiewać w każdy... - wybuchnął Harry.

Natarczywy dźwięk dzwonka nastawionego tak głośno, by słycać go było w sali sklepowej, uniemożliwił rozmowę. Harry podniósł słuchawkę.

- Halo?.. Tak, przy aparacie... Tak, jest tutaj.

- To z twojego biura - powiedział oddając słuchawkę Natowi.

Ku jego zaskoczeniu, Nat ani drgnął.

- Czy masz tu gdzieś drugi aparat, z którego mógłbym porozmawiać?

- Tak. Wejdiesz po tych schodach, miniesz sień i znajdziesz się w pokoju gościnnym. Przełączę telefon.

Zaczekał aż Nat wejdzie po kręconych schodkach, przetnie pokój i podniesie tam słuchawkę. Wtedy dopiero odłożył swoją na widełki. Fakt, że Nat nie chciał odebrać telefonu w jego obecności podkreślał brutalnie przepaść, jaka otworzyła się między nim, a tymi dwoma oficerami policji. Nie był już ich kolegą; był podejrzanym w sprawie o podwójne morderstwo.

Spojrzał znowu na Yardleya czekając dalszych pytań. Bez względu na wszystko, musi trzymać się swojej wersji. W końcu wydarzy się coś, co wykaże, że nie kłamie.

- Jeśli dobrze pamiętam, Dawson, powiedzieliście mi, że pani Rogers p r a c u j e w Royal Plaza.

- Owszem. Tak powiedziałem.

Yardley potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, jak bardzo mu przykro obalać kolejne twierdzenie Harry'ego.

- Mieszkała tam jako gość. Zajmowała pokój na dziesiątym piętrze. Zarezerwowała go na pięć tygodni. Kosztował dwanaście funtów dziennie, bez posiłków.

- Ale skąd, u licha, panią Rogers stać było na taki wydatek?

- Nie wiem.

Harry przetrwał przez chwilę tę nadzwyczajną wiadomość.

- Czy jej bratanek o tym wie?
  - Teraz już wie. Nat powiedział mu dziś rano.
  - I co on na to?
  - Był zaskoczony. Bardzo zaskoczony. Podobnie jak wy, sądził, że jego ciotka pracuje w tym hotelu.
  - Nic z tego nie rozumiem - rzekł Harry. - Niech mnie diabli, jeśli wiem, co tu jest grane.
  - Ja też nie. Ale wiele jest rzeczy, których nie rozumiem. - Yardley wstał. Przewyższał Harry'ego o głowę, a jego cielsko zdawało się wypełniać cały kantor. Kiedy się jednak odezwał, głos miał spokojny.
  - Wiele bym dał, żebyście przestali mnie zwodzić, Dawson.
  - Ja? - Oskarżenie zawarte w tej uwadze wstrząsnęło Harrym tak silnie, że zareagował jak sztubak przyłapany na gorącym uczynku przez belfra.
  - Tak, wy. - Bruzdy na zmarszczonym czole Yardleya jeszcze się pogłębiły. - Wciąż mi się wydaje, że nie jesteście ze mną szczerzy. Nie mówicie mi całej prawdy. O cokolwiek was zapytam, kręcicie.
  - Powiedziałem panu prawdę o Conwayach i co? Nie uwierzył mi pan.
  - A jak miałem uwierzyć, skoro oboje Conwayowie nie potwierdzili waszej wersji, a wasz czek znaleziono u Newtona? A wszystkie te brednie o Arnoldzie Conwayu i wózku inwalidzkim? Inspektor Emerson zaśmiewał się do rozpuku.
  - Powiedziałem prawdę. I powiem panu coś jeszcze o Conwayach. Coś, w co pan nie uwierzy.
  - Mówcie... - burknął Yardley. Ale Harry się wahał. Trudno mu było ujawnić coś, co psuło wizerunek Toma Dawsona.
- Z miejsca, gdzie siedział, widział sklep i wysportowane ciało Liz Mason rysujące się ostro na tle witryny.

Ten widok przypomniał mu o Judy Black. Od chwili, kiedy widział ją po raz ostatni, minęły już dwie noce i dzień. I nadal nie natrafiono na żaden jej ślad. Przez całe wczorajsze popołudnie przeczesywał rejon Soho w nadziei, że może dopisze mu szczęście i gdzieś ją wypatrzy. Yardley spoglądał na niego wyczekująco.

- Ona miała romans z moim ojcem - powiedział cicho Harry.

- Znaczy się, pani Conway?

- Tak.

- Skąd to wiecie?

Harry wskazał ruchem głowy na sklep, gdzie piękno-głowy Douglas Croft w wystrzałowej sportowej kurtce gawędził z klientem.

- Od Douglasa Crofta. Kiedyś wybrał się na weekend do Worthing. W tym samym hotelu zatrzymali się Sybil Conway z moim ojcem.

Yardley gwizdnął cicho. Trudno było powiedzieć, czy miało to wyrażać zazdrość, czy potępienie.

- Dlaczego dotąd o tym nie wspomnieliście?

- Powiedział mi o tym dopiero dzisiaj rano, tuż przed waszym przybyciem.

- Czy jest tego pewien?

- Tak. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Z początku ojciec udawał, że nie poznaje Douglasa, ale potem sam do niego podszedł. Powiedział Dougowi, że pani Conway jest żoną nieuleczalnego kaleki, który jeździ na wózku inwalidzkim, a więc rozwód nie wchodzi w rachubę. Prosił Douglasa, żeby nikomu o tym spotkaniu nie wspominał.

- Skąd Croft wiedział, że ona nazywa się Conway? Dziwi mnie niezmiernie, że wasz ojciec wymienił jej nazwisko.

- Nie wymienił. Ale na drugi dzień ona zatelefonowała do Douglasa w sprawie sznura pereł, który podobno mój ojciec podjął się oddać do naprawy. Nie wiedziała, co się z nim stało i pomyślała sobie, że kwit znajduje się w biurze. Prosiła Douglasa, żeby go poszukał i jeśli znajdzie, wysłał jej na adres jakiegoś hotelu w Aldeburghu.

- I Croft go znalazł?

- Nie. Nie znalazł.

- Sądziacie, że pani Rogers o tym wiedziała? O waszym ojcu i pani Conway?

- Tak - przyznał z nieszczęśliwą miną Harry. - Tak sądzę.

Yardley patrzył w zadumie na sklep, gdzie Douglas przekonywał nie dowierzającego młodzieńca o zaletach rakiety do squasha nowej generacji.

Na kręconych schodkach rozległ się tupot stóp Nata Fletchera. Yardley spojrział na niego pytająco niepewny, czy treść telefonicznej rozmowy, którą odbył, nadaje się do powtarzania Dawsonowi.

- Był do pana telefon z Hampstead, sir. Od inspektora Emersona.

- Od Dicka Emersona? Czego chce?

- No, ja znam tylko wersję z drugiej ręki, ale chce z panem pilnie rozmawiać. - Nat zerknął na Harry'ego. - Chodzi o jakiś wózek inwalidzki.

Yardley od razu rozpoznał Bentleya ruszającego spod budynku, w którym mieścił się posterunek policji w Hampstead. Prowadził Conway, a obok siedziała jego żona. Wyglądali na zmęczonych, złych i zbyt uwikłanych w sprzeczkę, by zwrócić uwagę na wóz wydziału kryminalnego.

Emerson był starym przyjacielem Yardleya. Poświęcili

trochę czasu wspominkom o dawnych dobrych czasach, zanim inspektor przeszedł do sprawy.

- Dzisiaj, mniej więcej o północy, włamano się do rezydencji Conwayów. Na szczęście jeden z naszych patroli zauważył coś podejrzanego i dosyć szybko przy byliśmy na miejsce. Zastaliśmy dom przewrócony do góry nogami. Ale do powrotu Conwayów, którzy przebywali w Aldeburghu, nie mogliśmy stwierdzić, czy coś zginęło. Zadzwoniliśmy do nich. Wściekali się, że wyciągamy ich z łóżek o pierwszej w nocy, lecz o czwartej nad ranem byli już tutaj.

Yardley upił łyk herbaty podanej przez sekretarkę Emersona.

- A teraz, Hal, będzie najciekawsze. Dlatego cię tu ściągnąłem. Zaraz po wejściu do domu, odkryłem w jednej z sypialni coś, co ze względu na naszą niedawną rozmowę natychmiast wzbudziło moje zainteresowanie. Nie muszę ci chyba mówić, co to było.

- Wózek inwalidzki - powiedział Yardley tonem dorosłego odgadującego hasło z dziecinnej krzyżówki.

- Właśnie. Był w ściennej szafie, której drzwi wyłamano.

Emerson, namiętny palacz, zaczął nabijać fajkę z kapciucha leżącego na blacie biurka. - Kiedy wrócili Conwayowie, poprosiłem ich, żeby rozejrzeli się dobrze po domu i sporządzili listę rzeczy, których brak. Powiedzieli, że ich zdaniem niczego nie zabrano. Wydało mi się to nieprawdopodobne. Poprosiłem więc Conwaya, żeby obszedł jeszcze raz dom ze mną. Obejrzałem też w jego obecności szafę ścienną. Fotela na kółkach tam nie było. Znikł.

- Tak zwyczajnie?

- Nie wiem. Znikł. Po moim wyjściu z sypialni ktoś musiał go stamtąd zabrać.

- Powiedziałaś co myślisz?



- Nie. Pokazałem Conway owi wyłamany zamek i spytałem, czy z szafy nic nie zginęło. Odparł: „Nie, inspektorze, wszystko tu jest. Niczego nie zabrano.” To jego własne słowa.

Yardley odetchnął z ulgą. Krzesło, na którym siedział wydało mu się jakby trochę wygodniejsze.

- Dziękuję ci, Dick. Ale podjeżdżając pod budynek widziałem odjeżdżających stąd Conwayów. Nie byli w najlepszych humorach.

Emerson odłożył do popielniczki zapalną, którą przypalił fajkę. W snopach słonecznego światła wpadającego przez okna zawirowały spirale szaroniebieskiego dymu.

- Tak. To też zastanawiające. Wypłynęło coś nowego. Conwayowie przyjechali do mnie pół godziny temu. Pani Conway złożyła oświadczenie, że dopiero teraz odkryła brak naszyjnika z pereł. Opisała mi go. Wydało mi się trochę dziwne, iż przestępca włamuje się do domu pełnego cennych przedmiotów i kradnie akurat naszyjnik z pereł.

- Czy powiedziała ile wart był ten naszyjnik?

- Tak. Około pięciuset funtów. - Emerson przykrył główkę fajki pudełkiem zapalek żeby poprawić ciąg. - Ale mnie najbardziej intryguje sprawa tego wózka.

- Mnie też, Dick.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Yardley podjeżdżał do posterunku policji w Hampstead, Harry wchodził do sklepu Sidneya Heatona z artykułami dla zwierząt. Heaton obsługiwał akurat klienta, ale powitał Harry'ego przyjaznym skinieniem głowy.

Kiedy klient opuścił sklep, Heaton podszedł do Harry'ego.

- Dzień dobry, panie Dawson. Spodziewałem się pana.

- Wygląda na to, że rozmawiał pan już z którymś z moich kolegów?

- Tak. Przedstawił się jako nadinspektor Yardley. Zatelefonował bardzo wcześnie. Pytał, czy widziałem się z panem wczoraj wieczorem. O co tu chodzi, panie Dawson? Nie mogłem zrozumieć, czego chce Yardley.

Klatka małki była pusta. Ktoś ją musiał kupić. Harry miał nadzieję, że zwierzątko trafiło w dobre ręce.

- Wczoraj wieczorem - powiedział - znaleziono zwłoki mojej gospodyni, właściwie byłej gospodyni, pani Rogers. Została zamordowana.

Sidney Heaton podniósł rękę do ust. Harry nie spodziewał się, że to brutalne oświadczenie tak bardzo nim wstrząśnie.

- Zamordowana? - Heaton z trudem dobywał głos. - Dobry Boże! Gdzie to się stało?

- W moim mieszkaniu - zaczął Harry i obserwował z beznamiętnym zainteresowaniem reakcję Heatona.

- Cóż za straszna historia! Domyśla się pan, kto...

- Panie Heaton - przerwał mu Harry. - Trochę się śpieszę, a chciałbym zadać panu parę pytań.

- Ależ proszę bardzo. - Heaton spojrział na Harry'ego usłużnie. - Zrobię wszystko, byle tylko panu pomóc, panie Dawson.

- To może powiedziałby mi pan, kim była ta dziewczyna, z którą widziałem pana wczoraj wieczorem? Zdaje się, że przedstawił mi ją pan jako Lindę Wade.

- Ojej - Heaton opuścił wzrok. Policzki pokraśniały mu z zażenowania, ale w oczach pojawił się szelmowski błysk. - Na to pytanie wolałbym nie odpowiadać.

- Czy to pańska przyjaciółka?

- Ależ skąd! Zapewniam pana, że większość moich przyjaciół... Ja naprawdę nic o niej nie wiem.

Harry przybrał swoją najbardziej oficjalną minę.

- Panie Heaton, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Żądam, aby wyjawiał mi pan wszystko, co wie o Lindzie Wade.

Przez chwilę wydawało się, że Heaton będzie obstawał przy swoim, w końcu jednak dał za wygraną i wprowadził Harry'ego do pomieszczenia na zapleczu sklepu. Podsunął Harry'emu krzesło, a sam przysiadł na brzegu stołu, skąd mógł obserwować drzwi sklepu.

- Po raz pierwszy zobaczyłem ją w „Golden Plough” jakieś pół roku temu. Często tam wpadała, żeby poderwać faceta, który postawiłby jej drinka albo kolację. Potem, tak gdzieś przed miesiącem, przyszła tutaj, żeby kupić kota i od tamtego czasu zagląda do mnie regularnie. Jest bardzo dobrą klientką. Trochę dziwne, że stać ją na szastanie pieniędzmi. Przynajmniej ostatnio.

- Czy spotkał pan kiedyś jej przyjaciółkę, Judy Black?

- Nie, nigdy - zapewnił pośpiesznie Heaton. - A zresztą jak miałbym ją spotkać? Nie znam żadnych jej przyjaciół. Powiedziałem przecież panu. To tylko luźna znajomość...

- Ale wczoraj wieczorem jadł pan z nią kolację - naciskał Harry.

- Tak. Wczoraj wieczorem tak, ale... – Heaton uwiłkła się w skomplikowane wyjaśnienia.

Harry słuchał przez chwilę cierpliwie, a potem przerwał mu.

- Gdzie ona mieszka? Heaton urwał w pół słowa.

- Ma... Ma mieszkanie w Defoe Mansions.

- Gdzie to jest?

- Przy Carrington Road.

- Był pan tam?

- Nie, nigdy. - Heaton próbował wytrzymać badawcze

spojrzenie Harry'ego, ale po chwili odwrócił wzrok. - No... raz.

- Tylko raz, panie Heaton?
- Prawdę mówiąc, to dwa razy.
- Defoe Mansions, numer?
- Chyba trzydzieści dwa.

Heaton nie wyglądałby chyba na bardziej skruszonego i zawstydzonego, nawet gdyby przyznał się do zamordowania pani Rogers. Wziął ze stołu psie ciasteczko i zaczął je kruszyć w palcach.

- Dziękuję, panie Heaton - powiedział Harry.

Odsunął zasłonę i przeszedł przez sklep. Kiedy otwierał drzwi od ulicy, w małym pomieszczeniu, w którym stał nadal Sidney Heaton, rozległ się dzwonek telefonu.

Defoe Mansions było budynkiem o wiele skromniejszym, niż wskazywałaby na to jego pompatyczna nazwa. Składał się z trzech przylegających do siebie, dziewiętnastowiecznych kamienic o wnętrzach poszatkowanych bez skrupułów na mnóstwo lokali mieszkalnych, które broszura reklamowa określała jako „ultranowoczesne” i „luksusowe”. Wejście znajdowało się w środkowej kamienicy, a na wyższe piętra wjeżdżało się windą z frontowego holu.

Marty Smith wysiadł z windy i przystanął w holu, żeby zapalić małe cygaro. Miał na sobie nową, sportową marynarkę w kratę, a na jego dziobatej twarzy malował się wyraz samozadowolenia. Nerwowy tik, który zniekształcał mu jej prawą połowę, był w tej chwili niezauważalny.

Potarł zapałkę o wypastowane linoleum pokrywające podłogę i wyszedł niespiesznie w słoneczny poranek. Sto jardów dalej, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się

knajpka, do której często zaglądał. Doszedł do wniosku, że zasłużył na jednego głębszego.

Przeszedł przez jezdnię i skręcał już w stronę „Rose and Crown”, kiedy jego czujne oczy dostrzegły samochód zatrzymujący się naprzeciwko Defoe Mansions. Marty skrył się w wejściu do sklepu, żeby popatrzeć. Zielony Austin 1100 znalazł miejsce do zaparkowania i kiedy kierowca odwrócił się, żeby wjechać w nie tyłem, Marty rozpoznał jego twarz. Mimowolny skurcz przebiegł mu przez prawy policzek.

Zaczekał, aż Harry Dawson wejdzie do środka, po czym przeszedł powoli na drugą stronę ulicy w miejscu, gdzie nie można go było zobaczyć z holu. Kiedy wkraczał do budynku, winda jechała już na górę. Marty obserwował zapalające się cyfry. Minęła drugie piętro i zatrzymała się na trzecim. Żeby się upewnić, Marty wcisnął guzik. Winda ruszyła w dół. Nie było żadnych wątpliwości. Dawson wysiadł na piętrze, na którym mieszkała Linda.

Trzy minuty później Marty był już w kabinie telefonicznej w „Rose and Crown”. Wykręcił numer, który znał na pamięć i czekając na połączenie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchać, co będzie mówił. Głos w słuchawce odezwał się szybko.

- Tam? Mówi Marty... Jestem pod domem Lindy. I właśnie dostarczyłem jej paszport... Nie, nie, z nią wszystko w porządku. Ale posłuchaj. Widziałem przed chwilą Harry'ego Dawsona... Idzie do niej.

Marty wyciągnął brudną chustkę i otarł sobie czoło. Rozmawiając z Tamem zawsze się denerwował.

- No, mam nadzieję, że ona rozegra to spokojnie... Co? Tu jest cholerna kolejka... Tak, ty do niej zadzwoń! To bardzo dobry pomysł. Dobra, Tam.

Zrzuciwszy z siebie odpowiedzialność Marty odwiesił słuchawkę. Wychodząc z budki rozcierał dłonią prawą połowę twarzy.

Harry musiał kilka razy zadzwonić do drzwi oznaczonych numerem 32, zanim usłyszał zniecierpliwiony głos:

- Tak, tak, już idę. - Drzwi otworzyła kobieta, którą widział dwukrotnie. Miała na sobie futro, a na ręce torebkę.

- Na miłość Boską..! - zaczęła ze złością. Urwała widząc, kto przed nią stoi.

- Dzień dobry, panno Wade - powiedział Harry rozciągając usta w najprzyjaźniejszym uśmiechu. - Przypomina mnie pani sobie? Detektyw inspektor Dawson. Poznaliśmy się wczoraj wieczorem w „Golden Plough”. Może mi pani poświęcić kilka minut?

Linda Wade obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

- W tej chwili trochę mi to nie na rękę. Właśnie wychodziłam. Jestem umówiona na wpół do dwunastej z fryzjerem.

Harry nie przestawał się uśmiechać.

- Zajmę pani tylko kilka minut.

- No...

- Według mnie wygląda pani tak, jakby dopiero co wróciła od fryzjera.

Linda dotknęła lśniących, płomiennorudych włosów. Komplement Harry'ego nawet w tych okolicznościach był miły.

- Co też pan opowiada! Lepiej nie mówić co mam na głowie.

- Mogę wejść? - Nie czekając na odpowiedź Harry postąpił krok do przodu. - Tylko na chwileczkę.

- No dobrze. Ale naprawdę na chwileczkę.

Mieszkanie było przegrzane. Ciepło uderzyło Harry'ego w twarz, ledwie znalazł się w korytarzyku. Wnętrze było zaskoczeniem. Klóciło się całkowicie z zewnętrznym wyglądem Defoe Mansions. W pierwszym momencie odnosiło się wrażenie, że właścicielka weszła do sklepu z antykami pełnego zwierciadeł w połączonych ramach i bogato zdobionych *objets d'art* i po prostu kupiła wszystko.

- Jakie piękne mieszkanie! - wykrzyknął Harry, kiedy Linda zamykała za nim drzwi.

- Podoba się panu?

- Owszem, bardzo.

Harry, rozglądając się dokoła, zmierzał do pokoju gościnnego. Rejestrował w pamięci usytuowanie drzwi i wypatrywał jakiegokolwiek podejrzanego przedmiotu, który być może pozostawiono nieostrożnie na wierzchu.

Pokój gościnny miał jedno z wielkich okien wykuszowych, które stanowiły charakterystyczną cechę oryginalnej kamienicy, i był bardzo wysoki. Dwuskrzydłowe drzwi, w tej chwili lekko uchylone, prowadziły stąd do sypialni.

Na urządzenie tego pokoju nie szczędzono grosza. Wielki purpurowy dywan rozciągał się na całą podłogę. Szeroka otomana przykryta była narzutą z tygrysiich skór i zarzucona kolorowymi poduszkami. Fotele były głębokie i wygodne, sekretarzyk musiał kosztować bająnską sumę, a na każdej ścianie wisiały wielkie lustra. Sprzętem dominującym był olbrzymi, bardzo nowoczesny barrek koktajlowy.

Całość była jednak pozbawiona ciepła. Brakowało tu tego czegoś, co, przypominając o własnym domu, wzbudzałoby wyrzuty sumienia w gościach płci męskiej. Był to rodzaj przeładowanego ozdobami pomieszczenia recepcyjnego.

- Przepraszam, że nie mogę poczęstować pana drinkiem, ale naprawdę nie ma na to czasu - usprawiedliwiła się Linda. Nie zaproponowała mu, żeby usiadł.

- Panno Wade, powiem pani, w jakiej sprawie chciałem się z panią zobaczyć...

- Chyba się domyślam, kaczoruku - przerwała mu Linda. - W sprawie Judy Black?

- Tak. - Harry nie okazał po sobie zaskoczenia.

- Wczoraj wieczorem, po naszym spotkaniu w Plough, nawet miałam do pana zatelefonować, ale pomyślałam sobie: trzymaj się od tego z dala, Lindo. Do niczego się nie mieszaj. Zawsze byłaś grzeczną dziewczynką, z pewnymi wyjątkami, ma się rozumieć, i trzymaj tak dalej, słoneczko.

W jej szczerości było coś ujmującego.

- Ale znała pani Judy?

- Tak, oczywiście, że ją znałam. Niezbyt dobrze, ale...

- Urwała i spojrzała mu w oczy. - Tę noc, kiedy zamordowano Newtona, spędziła u mnie.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem, kaczoruku. Naprawdę nie wiem.

W powietrzu unosił się słaby odór papierosowego dymu, a w weneckiej popielniczce leżało kilka zduszonych niedopalków. Niektóre z nich były wypalone tylko do połowy.

Harry wydobyl własną paczkę i poczęstował Linde.

- Dziękuję, nie palę. Ale niech się pan nie krępuje.

Harry zapalił, po czym zwrócił się do niej błagalnym tonem.

- Niech pani posłucha. Będę z panią szczery. Jestem w kropce. Muszę odnaleźć Judy.

- Słoneczko, przecież ci powiedziałam, że nie wiem, gdzie ona jest. Nie widziałam jej od tamtej nocy, kiedy u mnie nocowała.



- Nie kłamie pani?

Linda nakreśliła palcem o szkarłatnym paznokciu krzyż na swoim dobrze rozwiniętym biuście.

- Przysięgam.

Harry nie mógł się powstrzymać od zapuszczenia wzroku w dolinę między jej piersiami. Uśmiechnął się przy tym krzywo i uściśnął ją za ramię.

- No już dobrze. Wierzę pani.

Przekonana teraz, że, jak u każdego mężczyzny, zainteresowanie jej wdziękami i u niego wzięło górę nad wszystkim innym, Linda zareagowała na ten uścisk dreszczykiem zmysłowego zadowolenia.

- W każdym razie idzie pan fałszywym tropem. Ona nie zabiła Newtona. Był jej kartką żywnościową, a więc jaki miałaby w tym cel?

- Klócili się tego wieczora.

- I co z tego? - Linda wybuchnęła śmiechem. - Ja się bez przerwy klóczę, a przecież jeszcze nikogo z tego powodu nie zaciukałam.

- Znała pani Newtona?

- Owszem, znałam go. - Lindzie opadły kąciki ust.

- Nie przepadałam za nim. Za wielki był z niego go-guś, jak na mój gust. Prawdę mówiąc, zawsze podejrze-  
wałam, że jest ciotą, ale okazało się, że nie był.

- No nic, szkoda, że nie może mi pani pomóc. - Harry wskazał głową na bar. - Drinka też mi żal. Może innym razem.

- Czemu nie? Jesteśmy otwarci całą dobę!

- Otwarci na propozycje? - zapytał Harry.

- Miałam na myśli bar. - Linda udała lekkie oburzenie, a potem zrobiła minkę: „chodź idziemy”. Tę samą, z którą wyciągała Sidneya Heatona z „Golden Plough”. - Ale na propozycje również jesteśmy otwarci, kaczorku.

Roześmiała się, a Harry jej zawtórował i zdusił w popielnicze niedopałek papierosa. Wyszedł do przedpokoju.

- Wpadnę tu jeszcze któregoś wieczora, jeśli można. Najlepiej po pani wizycie u fryzjera.

- Zapraszam. Ale niech pan przedtem zadzwoni. I przepraszam, że nic nie pomogłam - znaczy się, w sprawie Judy. Ale traci pan czas, kaczoroku, naprawdę. Ona nie zabiła Newtona.

Harry zatrzymał się i odwrócił. W pokoju gościnnym zadzwonił telefon.

- Więc kto to zrobił?

- Nie wiem, ale na pewno nie Judy. Przepraszam, muszę odebrać telefon.

- Wszystko w porządku. Sam trafię do wyjścia.

- Do zobaczenia.

Linda wróciła do pokoju. Harry uniósł rękę do pokrętki zamka yale i obracając je przesunął w górę przycisk blokujący zasuwę. Obejrząwszy się Linda zobaczyła zamykające się za nim drzwi mieszkania.

Na podeście schodów Harry zatrzymał się na chwilę przytrzymując drzwi za rączkę kołatki. Słyszał stłumiony głos Lindy rozmawiającej przez telefon. Nie rozróżniał jednak słów.

Pchnął drzwi, wszedł z powrotem do przedpokoju, zwolnił cicho zatrzask i zamknął drzwi za sobą. Teraz słyszał zupełnie wyraźnie, co mówiła.

- Właśnie wyszedł... Tak, wpuściłam... Wyglądałoby cholernie podejrzanie, gdybym nie zaprosiła go do środka... Nie, rozegrałam to spokojnie... Co?... Nie, czuje się dobrze, tylko jest trochę zdenerwowana... Tak, moim zdaniem jest bardzo dobry, zdjęcie wyszło świetnie... Nie, nie przyniósł mi. Sama kupię bilet... Posłuchaj, Tam... - w głosie Lindy pojawiła się błagalna nuta. - Czy

zawsze musisz tu przysyłać Marty'ego? Czy chociaż raz nie mógłby to być ktoś inny?... Czy mi się podoba? Toż to napalony potwór!

Harry czuł, że rozmowa dobiega końca. Uchylił ostrożnie jedne z drzwi znajdujących się w przedpokoju. Prowadziły do łazienki. Wślizgnął się tam i popychał drzwi tylko do momentu, kiedy wyczuł opór i zostawił je tak nie zatrzaśnięte.

Linda odłożyła słuchawkę. Usłyszał jej kroki w przedpokoju. Chyba za czymś się rozglądała. Harry domyślił się, że szuka torebki albo portmonetki. W pewnym momencie podeszła do drzwi łazienki i usłyszał, jak mruczy coś do siebie pod nosem.

W ostatniej chwili zrezygnowała z wejścia do środka, a jemu opadło tętno. Kilka sekund później trzasnęły drzwi wejściowe.

Odczekał jeszcze pół minuty, po czym wyślizgnął się do przedpokoju. Na zewnątrz huknęły drzwi windy.

Chociaż był teraz sam w mieszkaniu, jakiś instynkt kazał mu poruszać się ostrożnie i cicho. Stał przez chwilę pośrodku pokoju gościnnego przeczesując go metodycznie wzrokiem. „Daj szansę swoim oczom” brzmiało znane policyjne powiedzonko.

Pierwszą rzeczą, jaką poddał bliższym oględzinom była wenecka popielniczka. Wziął jeden ze zduszonych niedopalków, na które wcześniej zwrócił uwagę. Był to Piccadilly, gatunek, który tamtej nocy w St. Jame's Park paliła Judy Black.

Następnie podszedł do sekretarzyka. Wysuwał szybko liczne szufladki, grzebiąc wprawnie w ich zawartości. W czwartej znalazł to, czego szukał - paszport brytyjski. Podszedł z nim do okna.

Dokument nosił numer N 35645, co świadczyło, że został wydany przed około pięcioma laty. Nazwisko wpisane

u góry pierwszej strony brzmiało: panna Stella Morgan. Otworzył paszport na trzeciej stronie, gdzie wklejona była fotografia. Twarz wydała mu się znajoma, a mimo to obca. Miała rysy Judy Black, ale włosy były ciemne, a fryzura zupełnie inna, bardziej surowa. Dziewczyna nosiła okulary w grubej, rogowej oprawce.

- Judy.

Wpatrując się w tę twarz, której pociągająca niewinność rzucała się w oczy nawet na paszportowej fotografii, uświadomił sobie, że mimowolnie wymówił głośno jej imię.

Oglądał właśnie stronę zatytułowaną „Rysopis/Znaki szczególne”, kiedy usłyszał stłumiony szmer dobiegający z sąsiedniego pokoju. Brzmiało to tak, jakby ktoś ukradkowo otwierał skrzydło przesuwne okna.

Wsunął paszport do kieszeni marynarki i podbiegł na palcach do drzwi sypialni. Kiedy rozmawiał z Lindą były uchylone, ale teraz wydało mu się, że szpara jest nieco szersza.

Popchnął dwuskrzydłowe drzwi z taką siłą, że otwarły się na całą szerokość waląc w ściany od wewnątrz. Jednym szybkim spojrzeniem ogarnął sypialnię Lindy, a właściwie komnatę, w której przyjmowała swoich gości: szerokie łóżce, ogromna szafa z lustrzanymi drzwiami, lampy nocne osłonięte ciężkimi abażurami, sugestywne obrazy na ścianach.

Ale uwagę Harry'ego przykuło okno. Dolna połowa została podsunęta w górę, i lekki wietrzyk wydymał zasłony. Podeszedł tam szybko i wychylił się na zewnątrz.

Okno wychodziło na żelazne schodki pożarowe przytwierdzone do tylnej ściany Defoe Mansions. Trzy piętra niżej, na podwórku na tyłach Mansions, stały zaparkowane dwa samochody osobowe i furgonetka. Na schodkach pożarowych nie było nikogo.

Spojrząwszy w górę stwierdził, że schodki kończą się

na poziomie dachu znajdującego się tylko jedno piętro wyżej. Przelazł przez parapet i wbiegł na dach.

Dach Defoe Mansions był płaski, usiany kominami i garbatymi budkami, w których znajdowały się drzwi prowadzące na strych. Nie były już prawdopodobnie używane, niemniej jednak mogły posłużyć komuś za kryjówkę.

Harry szedł powoli po dachu bacząc, by nie potknąć się o jakiś kabel, wystającą cegłę, albo wyrzucenie płata papy. Jeśli ktoś się tu schował, to przeczesując dach metodycznie zmusi go do zmiany kryjówki. A jeśli do tego będzie miał przez cały czas oko na schodki przeciwpożarowe, nikt mu się nie wymknie. Dach Defoe Mansions górował nad sąsiadującymi z nim z obu stron budynkami.

Doszedł do krawędzi i zawracając usłyszał charakterystyczny odgłos, jaki powstaje przy potknięciu się o luzną deskę. Odwrócił się błyskawicznie i zdążył jeszcze dojrzeć zarys postaci znikającej za kominem.

Rzucił się w tamtym kierunku niczym jastrzęb, który wypatrzył ofiarę. Obiegł komin i zatrzymał się jak wryty.

Na samej krawędzi dachu, oddzielona od przepaści tylko parapetem wysokim na stopę, stała Judy. Ufarbowane na ciemny kolor włosy zwisały jej w nieładzie po bokach bladej twarzy. Za zwykłymi szklami imitującymi okulary płonęły dzikie oczy. Dyszała ciężko. W prawej dłoni ścisnęła mały pistolet automatyczny z krótką lufą.

Harry zamarł. Nie tyle przez wzgląd na pistolet, co z obawy, że jeśli będzie próbował się zbliżyć, dziewczyna może się cofnąć i runąć w dół.

- Cześć, Judy - odezwał się swobodnie, opuszczając ręce wzdłuż ciała.

Nie odpowiedziała. W tylnym planie za nią rysowały się ostro w promieniach słońca dachy i las kominów.

- Wiesz co, stajesz się nieostrożna. Pozostawiłaś po sobie mnóstwo śladów w mieszkaniu Lindy. Między innymi to. Wyjął z kieszeni paszport. - Niezbyt udana fotografia, prawda? Ale sam paszport też nie za dobry. Kto cię wyposażył w ten bezużyteczny kawałek tektury, Judy? Tam Owen?

- Oddaj mi to! - warknęła Judy.

- Proszę bardzo.

Harry rzucił paszport, który upadł w połowie dzielącej ich odległości. Chcąc go podnieść, musiała odejść od krawędzi dachu. Dopóki tam stała, nie ważył się rzucić na nią, bo, przestraszona, mogłaby się instynktownie cofnąć.

Judy postąpiła kilka kroków i schyliła się, żeby podnieść paszport, ale przez cały czas trzymała Harry'ego na muszce. W tym stanie silnego pobudzenia emocjonalnego była prawdopodobnie zdolna pociągnąć za spust. Harry przesunął się lekko w bok.

- Wiesz, co ja bym z nim zrobił na twoim miejscu? - spytał. - Spaliłbym go.

- Nie interesuje mnie, co ty byś z nim zrobił.

- Naprawdę, Judy? - Harry przesunął się w bok i wskazał skinieniem głowy na pistolet. - To ten sam, z którego zastrzeliłaś Petera Newtona?

- Ja nie zastrzeliłam Petera.

- To dlaczego uciekasz?

- Nie wiesz?

- Owszem, wiem. Uciekasz, bo ktoś ci wmówił, że czy zrobiłaś to czy nie, i tak oskarżą cię o morderstwo. To nieprawda, Judy. Zapewniłem cię przecież tamtego wieczora, że jeśli powiesz prawdę, nie masz się czego obawiać.

Ciężkie okulary były dla niej o numer za duże. Zsuwały się jej raz po raz na czubek nosa i musiała unosić rękę, żeby je poprawić.

- Nie wierzę ci. Nawet jeśli ty uznałeś, że mówiłam prawdę, to Nat Fletcher na pewno nie da się przekonać.

- Dlaczego Nat miałby ci nie wierzyć? - Harry był szczerze zaintrygowany.

Judy puściła jego pytanie mimo uszu.

- Wracaj teraz do mieszkania.

- Judy, posłuchaj! Zaryzykowałem tamtego wieczora godząc się na zatrzymanie taksówki.

- Słyszałeś, co powiedziałam. - W jej głosie pojawiła się nutka hysterii. Ścisnęła pistolet tak mocno, że pobiełały jej kostki palców. - Wracaj!

Harry przygarbił się.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Judy. Jeśli użyjesz tego paszportu i wpadniesz...

- Rób, co mówię! - Judy prawie krzyczała. - Wracaj do mieszkania!

Harry wzruszył ramionami.

- W porządku, Judy - mruknął ulegle.

Odwracając się zauważył, że Judy unosi wolną rękę, by poprawić okulary. Wykonał półobrót i skoczył ku niej: zanim dziewczyna zdąży nacisnąć spust, uda mu się może wytrącić jej pistolet.

Judy, zaskoczona jego zrywem, a może sparaliżowana podświadomym oporem przed strzeleniem zaważała się na ułamek sekundy. Potem zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

Pistolet szarpnął jej się w dłoni z zaskakującą siłą. Otworzyła oczy i ujrzała Harry'ego walącego się na ziemię u jej stóp. Odskoczyła przerażona. Z tyłu czyhał niski parapet. Czując, że zaczyna tracić równowagę zamachała rozpaczliwie rękami, ale trafiła tylko na powietrze. Przez mgnienie oka rysowała się na tle nieba niczym zwariowana kukielka podrygująca na końcu sznurka. Potem runęła na plecy i z okrzykiem trwogi zniknęła za krawędzią dachu.

## *Rozdział trzeci*

Zawodzenie syren sprawiło, że Marty Smith zostawił niedopitego drinka i wybiegł na Carrington Road. Ulicą przemknęły dwa wozy straży pożarnej, policyjny radiowóz i karetka pogotowia. Na chodniku naprzeciwko Defoe Mansions zgromadził się tłumek gapiów zadzierających głowy.

Marty też spojrział w górę i przebiegł go dreszczyk przyjemnego podniecenia. Wysoko, na szczycie Defoe Mansions dostrzegł figurki dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Wisieli tam uczepieni kurczowo kalenicy mansardowego okna wystającego z dachu dobudówki. Właściwie kalenicy czepiał się tylko mężczyzna, który wolną ręką trzymał kobietę za pasek. Sądząc po bezwładzie jej ciała, musiała być albo nieprzytomna, albo martwa.

Marty zrozumiał w lot, co się wydarzyło. Kobieta musiała spaść z głównego dachu i ześlizgnąć się po spadzistym dachu dobudówki. Gdyby na drodze jej upadku nie było mansardowego okna, runęłaby na chodnik. Mężczyzna mógł do niej dotrzeć tylko w jeden sposób. Musiał ześlizgnąć się za nią.

Marty wzdrygnął się i podszedł bliżej.



Drużyna strażaków błyskawicznie przystawiła wysuwaną drabinę do mansardowego okna. Strażak w kasku, wspomagany przez znajdującego się na dachu mężczyznę, przerzucił sobie kobietę przez ramię i zaczął schodzić. Bezwładne ciało kobiety ułożono na noszach i wsunięto szybko do karetki pod osłoną kordonu policji powstrzymującego napierający tłum. Biały ambulans, błyskając niebieskim światłem ruszył ostro z miejsca i odjechał z wyciem syreny.

Mężczyzna z dachu, roztrzając na boki reporterów, policjantów i gapiów, podbiegł do zielonego Austina 1100 zaparkowanego przy krawężniku. Wskoczył za kierownicę i odjechał w ślad za karetką pogotowia. Policjanci z patrolu rzucili się do swojego radiowozu.

Z zaaferowanego tłumu gapiów podniósł się gwar. Marty Smith puścił się biegiem w stronę „Rose and Crown” przetrząsając po drodze kieszenie w poszukiwaniu monet na telefon.

- Na miłość boską, Harry, uspokój się! Przecież powiedzieli ci już, że nic jej nie będzie.

Nat okręcił krzesło o sto osiemdziesiąt stopni, usiadł na nim okrakiem i złożył ręce na oparciu.

- Na twoim miejscu, zamiast zamartwiać się o jakąś dziwkę, która o mało mnie nie zastrzeliła, dawno już bym opijał swoje cudowne ocalenie.

Harry nie odpowiedział. Nat wpatrywał się w niego oskarżycielsko, a potem wskazał ruchem głowy drogę do kostnicy.

- Mógłbyś być teraz tam, stary. Czy to do ciebie nie dociera? Gdybyś nie uskoczył w porę z linii strzału, leżałbyś teraz na marach. Tak by cię urządziła.

Harry stał oparty plecami o kaloryfer. Był zbyt zdemotywany, by siedzieć, a zresztą krzesła w szpitalnej poczekalni nie sprawiały wrażenia wygodnych. Kiedy dotarł do szpitala, wnoszono właśnie Judy na oddział intensywnej terapii. Mimo uspokajających frazesów lekarza postanowił siedzieć tu murem, dopóki dziewczyna nie odzyska przytomności. Po dziesięciu minutach do poczekalni wszedł Nat.

- Tak, wiem - burknął Harry. - Zdaję sobie sprawę, że w twoich oczach tak to musi wyglądać, Nat. Ale nie zgadzam się z twoją opinią o tej dziewczynie. Nigdy jej nie podzielałem.

Nat nie krył rozbawienia.

- Co z tobą, Harry? Zakochałeś się, czy jak?

- Nie wyglupiaj się!

- A więc trafiłem? - Nat zerwał się z krzesła. - No to pozwól, że opowiem ci coś niecoś o pewnym procederze, wprowadzę głębiej w sprawę. Rozpracowuję pana Petera Newtona i pannę Judy Black od momentu znalezienia tamtych fotografii.

Nat zbliżył się do Harry'ego, jak do podejrzanego.

- Musieliśmy z sierżantem Quilterem przesłuchać połowę londyńskich prostytutek, nie mówiąc już o alfonsach. Seksu mamy po dziurki w nosie. W tej chwili mój pomysł na spędzenie upojonej nocy to dorodne, soczyste jabłko i parę godzin gry w bingo.

- Czego się dowiedziałeś o Judy?

- Newton pracował dla człowieka nazwiskiem Tam Owen. - Nat odwrócił się i zaczął przemierzać poczekalnię. - Nie pytaj mnie, kim jest Tam, bo naprawdę nie wiem. Prowadzi zwyczajną stajnię dziewcząt na telefon, ale to tylko przykrywką dla czegoś poważniejszego. Zamozny gość przyjeżdża do Londynu, żeby się zabawić i przepuścić trochę gotówki. Telefonuje pod pewien numer i rozmawia z czarującą dziewczyną, niejaką Judy

Black. Ona ustala, z kim ma do czynienia, i przekazuje klienta Peterowi Newtonowi. Newton organizuje szalone dziewczyny i najdalej dwadzieścia cztery godziny później, nieszczęsny frajer, chcąc nie chcąc, kupuje od pana Owena mały zestaw bardzo intymnych fotografii.

- Zapominasz, że to Judy pierwsza powiedziała nam o Tamie Owenie. Po co miałyby to robić, gdyby była w to zamieszana?

- To całkiem oczywiste. Uznała, że grunt pali jej się pod nogami i bała się ciebie, Harry.

- O, nie! Ona nie mnie się bała, Nat, tylko ciebie.

- Mnie? - Nat zatrzymał się i spojrzał zdumiony na Harry'ego. - Przecież nawet się nie znamy.

- Na pewno?

- Oczywiście. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nieważne. - Okno naprzeciwko Harry'ego wychodziło na korytarz budynku ciągnącego się równoległe do tego, w którym się znajdowali. Harry widział tam dwóch pielęgniarzy pchających nosze do sali operacyjnej, ale leżąca na nich osoba była dla niego niewidoczna. - Sęk w tym, co dalej robić.

- Nasz problem, to dobrać się do tego sukinsyna Owena. A nie sądzę, żeby Judy Black nabrała chęci do zwierzeń. Owen niewąsko ją nastraszył.

- Jest jeszcze Linda Wade - rzekł cicho Harry.

- Słyszałeś, co twój znajomy Heaton powiedział o tej Wade? - przypomniał mu Nat. - Ona cierpi na nadmiar gotówki. Ma te pieniądze od Tama Owena i nie będzie zarzynać złotej kury, Harry.

- No, nie wiem.

- Cóż. Jeśli czujesz się na siłach nakłonić pannę Wade do współpracy, to proszę. Porozmawiaj z nią. Nie szkodzi spróbować.

Nat przystanął. Otworzyły się drzwi i do poczekalni

wszedł lekarz, który wydał się Harry'emu bardzo młody. Nie ten sam, z którym Harry rozmawiał wcześniej.

- Który z panów jest inspektorem Dawsonem?
- Lekarz patrzył pytająco na obu mężczyzn.
- To ja - powiedział Harry, postępując krok do przodu.

- Moje nazwisko Friedman. Będę się opiekował panną Black.

- Jak ona się czuje, doktorze?
- Miała wielkie szczęście, sir. Straciła chyba przytomność przelatując przez parapet i spadła bezwładnie na kalenicę mansardowego okna, o którym pan wspominał. To ją uratowało. Miała tylko wywichnięte ramię, ale już je nastawiliśmy i nie powinno z nim być żadnych kłopotów.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- No, nie wiem... - Lekarz zrobił niezdecydowaną minę. - Pytała o pana, kiedy odzyskała przytomność. Ale przeszła bardzo poważny szok i podaliśmy jej środek uspokajający. Lepiej może będzie, jeśli zadzwoni pan do mnie i wtedy zobaczymy. Tylko proszę pod sam wieczór. Chcielibyśmy, żeby spała jak najdłużej.

- Konkretnie, o której, doktorze?
- Dwudziesta będzie panu odpowiadała?
- Tak, świetnie.

Lekarz skinął głową i odwrócił się do drzwi. Rzeczowy sposób bycia tych dwóch oficerów policji chyba go krępował.

Kiedy wyszedł, Nat zaczął zapinać płaszcz.

- Spotkamy się tu za pięć ósma, Harry. Harry skinął głową. Myślami był gdzie indziej.

- Dobrze, Nat.

- A wracając do Lindy Wade, to mówiłem poważnie - dorzucił Nat bardziej przyjaźnie. - Spróbuj.

Kiedy Harry jechał z powrotem do Defoe Mansions, godziny szczytu jeszcze się nie zaczęły. Tym razem zaparkował w odległości dwustu jardów od budynku i resztę drogi przebył piechotą.

Naprzeciwno Defoe Mansions zatrzymał się i przez dobrą minutę patrzył na dach przeżywając na nowo moment, kiedy wyglądał zza parapetu przekonany, że ujrzy ciało Judy roztrzaskane na chodniku. Z dołu daszek mansardowego okna nie wyglądał na przeszkodę zdolną zatrzymać zsuwające się ciało. Mało brakowało, a byłby nań nie trafił, kiedy ześlizgiwał się do Judy po spadzistym dachu.

Nagłe poruszenie ściągnęło jego uwagę z powrotem na parter. Z drzwi budynku wychodził, a właściwie wybiegał, jakiś mężczyzna. Miał na sobie sztruksową marynarkę, a pod szyją jedwabną apaszkę. Harry rozpoznał Sidneya Heatona. Heaton rozejrzał się szybko i podbiegł do Singera gazelli zaparkowanego po stronie Defoe Mansions. Ręce tak mu drżały, że z trudem trafił kluczykiem w dziurkę zamka, a kiedy nacisnął starter, wóz skoczył do przodu, bo zapomniał wrzucić biegu na luz.

Udało mu się wreszcie uruchomić silnik, nie patrząc w lusterko odbił od krawężnika i przyśpieszając gwałtownie przemknął przed „Rose and Crown”.

Harry patrzył za samochodem, dopóki ten nie zniknął mu z oczu, po czym przeszedł szybko na drugą stronę ulicy.

Wjechał windą na trzecie piętro, a kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, kabina pozostała na miejscu. Od razu zauważył, że drzwi mieszkania Lindy Wade są lekko uchylone.

Przystanął na wycieracze starając się bez powodzenia ustalić jaki to odgłos dochodzi ze środka. Popychając ostrożnie drzwi otworzył je powoli i wszedł.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że słyszy kobiecy

szloch. Dochodził z pokoju naprzeciwko łazienki, w której niedawno się ukrywał. Podeszedł na palcach do progu i zajrzał do sypialni bardziej intymnej niż ta, do której wchodziło się z pokoju gościnnego.

Linda Wade siedziała przed toaletką twarzą do lustra. Osuszała ręcznikiem łzy spływające po policzkach. Jeśli nie liczyć ramiączek podtrzymujących biustonosz, ramiona miała nagie, pokryte sinymi pręgami. Niektóre podchodziły krwią. Ktoś musiał ją mocno pobić pejcem albo psią smyczą.

Harry podeszedł do niej bardzo niepewnie. Zauważyła go w lustrze i odwróciła się powoli.

- Jak tu, u diabła, wszedłeś?

- O, mój Boże! - wyszeptał Harry.

Ten, kto pobił Lindę, nie zadowolony okładaniem jej po ramionach, smagnął dziewczynę i przez twarz. Rana zniekształcała całą jej lewą połowę od skroni do podbródka.

- A tak - warknęła Linda wciąż jeszcze łkając. - Ładnie, co?

- Trzeba wezwać lekarza! - Harry ruszył do telefonu, ale powstrzymała go wyciągając rękę.

- Nie chcę widzieć żadnego lekarza. Nikogo nie chcę już widzieć. Nigdy nie pokażę się nikomu.

Ukryła twarz w ręczniku.

- Kto ci to zrobił? - spytał Harry cichym głosem.

- Błagam, daj mi spokój.

- Posłuchaj, Lindo...

- Nie słyszałeś? Zostaw mnie!

Harry przysunął sobie stołeczek i usiadł obok niej.

- To był Tam Owen, prawda?

Szloch Lindy urwał się jak nożem uciął. Podniosła szybko wzrok na odbicie Harry'ego w lustrze, a potem przeniosła go na swą zmaltretowaną twarz.

- O, Boże! Spójrz tylko na mnie. Popatrz! A to świnia!  
- Za co ci to zrobił? Za to, że znalazłem paszport? Za to, że nie upilnowałaś Judy?

- Zostaw mnie!

Spazmy ustały. Gniew, który pojawił się zamiast nich, stanowiął dobry znak. Harry postanowił zmienić taktykę.

- Judy jest w szpitalu. Wiedziałaś o tym?

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego krzywiąc się z bólu.

- W szpitalu?

- Tak. Miała wypadek.

- Nie wierzę.

- To prawda. Leży w St. Matthew's.

- Czy jest ciężko ranna?

- Nie. Nie sądzę. Wieczorem idę ją odwiedzić. - Wskazał na jej twarz. - Wiem, że to paskudnie w tej chwili wygląda, ale nie jest aż tak źle, jak myślisz. Znajdziesz sobie lekarza i za parę tygodni śladu nie będzie.

- Tak tylko mówisz.

Linda, wpatrując się w swoją twarz odbitą w lustrze, delikatnie dotknęła rany palcem.

- Nie, naprawdę nie. W szpitalu St. Matthew's jest chirurg plastyczny uznawany powszechnie za czarodzieja. Jeśli chcesz, dowiem się dzisiaj o jego nazwisko.

- Dzięki. - Linda pociągnęła nosem, a potem wydmuchała go w ręcznik.

Harry odczekał minutę, po czym znowu spróbował wyciągnąć z niej, od kogo tak okropnie oberwała.

- Bierzesz mnie za idiotkę? - fuknęła potrząsając głową. - Nie widzisz, czym zapłaciłam za nieupilnowanie Judy? Nic ci nie powiem. A zresztą nie znam żadnego Tama Owena. O Boże! Moja twarz! Jak ja wyglądam.

Znowu wybuchnęła płaczem.

- Wcześniej czy później - mruknął Harry - i tak będziesz mi musiała opowiedzieć o Owenie. Równie dobrze możesz to zrobić teraz.

- Idź już sobie. Zostaw mnie w spokoju. Proszę.

Nie ulegało wątpliwości, że szok nie ustąpił jeszcze na tyle, by była w stanie logicznie rozmawiać. Harry wstał.

- Dobrze, Lindo. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Potrzebujesz czegoś? Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Niczego nie potrzebuję. Wezmę dwie aspiryny i położę się na godzinkę.

- Masz rację. To dobry pomysł.

Odwracając się ku drzwiom Harry omiótł wzrokiem małą sypialnię. Nie zauważył niczego, co mogłoby stanowić własność brutalnego gościa.

- A powiedz jeszcze, jak długo był u ciebie pan Heaton?

- Heaton? - zdumienie Lindy wyglądało na całkowicie szczere.

- Tak.

- Nie widziałam Heatona. Nie było go tutaj.

- Naprawdę, Lindo?

Nie odpowiedziała. Znowu dotykała swojej twarzy.

- Nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli zamkniesz za mną drzwi frontowe? Tak dla bezpieczeństwa?

Skinęła nieznacznie głową i wstała, żeby odprowadzić go do przedpokoju. Zauważył, że jest bosa. Miała pięknie utrzymane, polakierowane na złoto paznokcie u nóg.

Zwierzętom w małych klatkach instynktownie udzielił się nastrój klienta, który wpadł do sklepu tak wściekły, że powietrze wokół niego zdawało się trzeszczeć od



wyładowań. W kakofonii dzikich skrzeków, pisków i ujadania utonął dźwięk dzwonka potrąconego przez otwierające się drzwi.

Wrzawa wywabiła Heatona z pakamery na zapleczu sklepu.

- Zamknięte. Nie widział pan wywieszki na drzwiach?

Głos miał nie tyle gniewny, co rozdrażniony. Mrużąc oczy usiłował rozpoznać gościa stojącego pod światło. Raptem zmienił ton.

- Och! Witam, panie Dawson.

- Chcę z tobą porozmawiać, Heaton - warknął bezceremonialnie Harry.

- Ależ oczywiście. - Heaton jął pocierać nerwowo jedną dłonią grzbiet drugiej. - Przepraszam, że od razu pana nie poznałem. Zechce pan wejść do saloniku?

Harry zignorował to zaproszenie.

- Co się wydarzyło dziś po południu?

- Dziś po południu?

- Tak. U panny Wade.

- Słucham? - Heaton wpychał nerwowo apaszkę pod kołnierz koszuli w paski. - Bardzo mi przykro, ale nie rozumiem.

- To rozwinę pytanie. Żądam, żebyś mi opowiedział, co się stało dziś po południu w mieszkaniu Lindy.

- To jakieś nieporozumienie, panie Dawson. - Heaton usiłował wytrzymać oskarżycielskie spojrzenie Harry'ego. - Całe popołudnie spędziłem tutaj nad rachunkami.

- Nic z tego, Heaton. - Harry potrząsnął głową. - Widziałem cię. Wychodziłeś z Mansions. Nie mogłeś trafić kluczykiem w dziurkę zamka samochodu i próbowałeś uruchomić silnik na biegu. No, kogo tam widziałeś i co się wydarzyło?

- Nikogo nie widziałem. Ja... o rany, to takie żenujące. - Heatonowi drżały usta i Harry'emu wydawało się przez moment, że mężczyzna lada chwila wybuchnie płaczem. - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Zapewniam pana, panie Dawson, że nie mam zwyczaju odwiedzać...

- Słuchaj, no, Heaton, wyjaśnijmy sobie od razu pewną sprawę. Nie jestem z obyczajówki. Nie interesuje mnie twoje życie seksualne. Nie obchodzi mnie, z kim sypiasz, ale jedno chcę wiedzieć, i to teraz. Co się wydarzyło dziś po południu?

Heaton gapił się przez chwilę na Harry'ego jak zahipnotyzowany królik, a potem podszedł do drzwi sklepu. Zasunął rygiel i wolnym krokiem wrócił na dawne miejsce.

- Czy mogę zacząć od samego początku?

- Nie. Nie mam zamiaru wysłuchiwać historii twego życia. Chcę tylko wiedzieć, co się stało?

- No więc... poszedłem do Lindy. Kiedy tam dotarłem, było piętnaście po piątej.

Heaton przesunął językiem po zaschniętych wargach.

- Wszedłem do mieszkania. Linda leżała w pokoju gościnnym na podłodze i szlochała. Wyglądała okropnie! Sukienkę miała porwaną, twarz i ramiona całe we krwi.

Zakrył twarz dłońmi i przez chwilę nie był w stanie mówić dalej.

- Wyglądała strasznie, panie Dawson, naprawdę strasznie. Straciłem zupełnie głowę.

- Co zrobiłeś?

- Niestety, zachowałem się bardzo nieładnie. Ale niech pan mnie spróbuje zrozumieć, panie Dawson. Ja, w obcym mieszkaniu, z taką kobietą, która została...

- Dałeś nogę?

- Tak. Smutne, ale prawdziwe.

Harry'ego nie wzruszyła zboląła mina Dawsona. Wiedział z doświadczenia, że właśnie tacy pozornie łagodni i cisi mężczyźni są często zdolni do przemocy. Nie chciał mu się jednak wierzyć, że ten przerażony człowieczek, którego widział uciekającego z Defoe Mansions, potrafiłby tak brutalnie poturbować Lindę.

- Czy Linda cię widziała?
  - Nie wiem.
  - Powiedziałeś, że wszedłeś do mieszkania.
  - Tak. Dała mi klucz.
  - Kiedy?
  - Wczoraj wieczorem, podczas wspólnej kolacji. To był rodzaj... przypiecztowania umowy, można powiedzieć.
  - Płaciłeś jej?
  - Eee... tak. Płaciłem. Dała mi klucz i powiedziała, że mogę sam otwierać sobie drzwi, kiedy będę ją odwiedzał.
- Heaton sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pojedynczy klucz typu yale.
- To ten klucz.
  - Czy to wszystko prawda?
  - Przysięgam, że tak. Nie okłamywałbym pana w takiej sprawie. - Heaton znowu zrobił szczerą minę. - Przecież pan mnie zna, panie Dawson.
  - I tu się mylisz. Wcale pana nie znam, panie Heaton.
- Harry wyciągnął rękę i wyjął mu klucz z dłoni. - Chyba zabiorę ten klucz.

Za pięć ósma wieczorem Harry dotarł do szpitala. Zastał tam już Nata, który czekał rozparty na najniewygodniejszym krześle z nogą założoną wysoko na nogę. Delektował się papierosem.

- Jak to dobrze mieć parę chwil dla siebie bez dzwoniących nad uchem telefonów. Miałem dziesięć wolnych minut, no to wpadłem wcześniej. Sprawdziłeś Lindę Wade?

- Sprawdziłem - mruknął ponuro Harry.

Opowiedział Natowi o wizycie w mieszkaniu Lindy i o przesłuchaniu Heatona.

- Nie rozmawiałem jeszcze z tym Heatonem. - Nat wstał, żeby zdusić niedopałek papierosa na zewnętrznym parapecie okna. W poczekalni wisiała tabliczka z napisem „Palenie wzbronione”, w związku z czym nie było tu popielniczek. - Przesłuchiwał go Yardley. Muszę jednak przyznać, że ta historia wydaje mi się dosyć niezwykła.

- Tak, ale nie zapominaj, że widziałem, jak stamtąd wychodził. Był naprawdę roztrzęsiony i przerażony.

- A nie przyszło ci do głowy, że mógł udawać?

- Owszem. Wziąłem pod uwagę taką możliwość. Ale po co miałyby to robić?

- Dajmy na to, pobił ją, chce wychodzić i nagle dostrzega ciebie. Odgrywa więc przerażonego człowieczka, który nienawidzi gwałtu i nie skrzywdziłby muchy.

- To chyba możliwe. - Harry nie miał najmniejszego zamiaru bronić Heatona. - Ale gdzie tu motyw? Mimo wszystko musiałby mieć jakiś.

- Niekoniecznie. Może jest porządnie stuknięty i zrobił to ot tak sobie. Dziewczyny w rodzaju Lindy Wade często są bite. To ryzyko zawodowe. Część gry.

Nat mówił to z cynizmem, nabytym podczas pięciu lat służby w obyczajówce.

- Tak, ale można na to spojrzeć z jeszcze innej strony. Heaton może pracować dla Owena.

Nat skinął potakująco głową.

- Albo jeszcze inaczej - ciągnął Harry. - Tak jak sugerowałeś, gra, i to wielką rolę.

- To znaczy?

- Może Heaton jest człowiekiem, którego szukamy?  
Może to Tam Owen?

- Hmmm - mruknął z powątpiewaniem Nat. - Taka możliwość oczywiście istnieje.

Harry dostrzegł u przyjaciela pewne spowolnienie reakcji. Nie było się czemu dziwić. Pracował nad tą sprawą już piąty dzień, a w tym czasie popełniono dwa dalsze morderstwa. W tych okolicznościach harówka trwała bez przerwy, świątek i piątek; ani chwili wytchnienia, żadnego odpoczynku. Aż do ujęcia sprawy.

- Nat, myślałem trochę o Judy Black. Jeśli zaczniesz mówić, jeśli zdecyduje się nam pomóc, będziemy musieli zapewnić jej ochronę. Nie możemy pozostawić jej samej sobie po wypisaniu ze szpitala. Choćby przez wzgląd na to, co spotkało Lindę Wade.

- Jak to chcesz zorganizować, Harry?

- Moi znajomi prowadzą hotelik w Cotswolds. To zaciszny, ustronny zakątek. Nikt nie musi znać miejsca jej pobytu.

- Gdzie to jest? - Natowi wyraźnie ciążyły powieki. W tej chwili zdawało się, że mu wszystko jedno, co mówi Harry.

- Już ci mówiłem. W Cotswolds. Wioska nazywa się Steeple Aston.

- Okay. - Nat uśmiechnął się do Harry'ego mrugając powiekami, by odpędzić senność. - Jeśli zdecyduje się mówić, masz moje pozwolenie na umieszczenie jej tam, ale jeśli będzie milczała... - Ton jego głosu uległ zmianie. - Jeśli odmówi współpracy, to, jeśli o mnie chodzi, będzie musiała się liczyć... O, dobry wieczór, doktorze.

Nat zerwał się na nogi trochę zakłopotany. Doktor Friedman wszedł do poczekalni bardzo cicho.

- Dobry wieczór - odparł oficjalnie lekarz.

- Jak tam nasza pacjentka?

Ton Nata był jowialny. Lekarz zwrócił się ostentacyjnie do Harry'ego.

- Czuję się o wiele lepiej. Jeśli zechce, może wyjść jutro rano, ale oczywiście będzie musiała przez parę dni na siebie uważać. Powiedziałem jej, że pan tu był, panie Dawson. Bardzo by się chciała z panem zobaczyć, ale... - Friedman zerknął na Nata - tylko z panem, jeśli to możliwe.

- W porządku - powiedział Nat siadając z powrotem na krześle. - Zaczekam.

Judy umieszczono w pojedynce. Ku zaskoczeniu Harry'ego, nie leżała w łóżku, lecz siedziała w fotelu przy oknie. Była kompletnie ubrana, a prawą rękę miała na temblaku. Palila papierosa i wyglądałaby zupełnie nieźle, gdyby nie bladeść. Nieladnie jej było z ciemnymi włosami; okularów w masywnej oprawce już nie nosiła.

- Mogę wejść? - spytał Harry stając niezdecydowanie w progu.

Skinęła lekko głową. Harry zamknął za sobą drzwi i przysunął sobie krzesło.

- Jak się czujesz?

- Nieźle.

- Ramię boli?

- Nie. W tej chwili wcale mi nie dokucza.

Zaległo krótkie milczenie. Obojgu trudno było znaleźć właściwe słowa. W końcu Judy odwróciła głowę i po raz pierwszy spojrzała na Harry'ego.

- Przepraszam za to, co się stało. To moja wina. Zdaję sobie teraz sprawę, jak głupio się zachowałam. Powiedziano

mi, że ryzykowałeś życiem, żeby mnie ratować.

- Prawdę mówiąc, nie było w tym żadnego ryzyka. Nie chciałem, żeby ci się coś stało.

- I co teraz będzie? Co ze mną zrobisz?

Harry usiadł na krześle trochę z tyłu. Widział jej profil, ale ona nie była zmuszona patrzeć na niego. Uznał, że dziewczyna znajduje się w wystarczająco dobrym stanie, by wysłuchać, co ma jej do powiedzenia.

- Judy - zaczął - ktoś ciężko pobił Lindę Wade.

- Nie. Och, nie! Kiedy?

- Dziś po południu. Ma poważnie zeszpeconą twarz.

- Harry pochylił się w przód i mówił cicho, ale z naciskiem. - A teraz posłuchaj, musisz wyznać mi całą prawdę. Chcę wiedzieć wszystko o Newtonie i Tamie Owenie.

- Przecież powiedziałam ci prawdę! - Judy zdusiła niedopalonego papierosa.

- Powiedziałaś, że Peter Newton zajmował się handlem nieruchomościami. Nic podobnego. Prowadził do spółki z Tamem Owenem agencję dziewcząt na telefon.

Judy, zanim odpowiedziała, wyglądała chwilę przez okno.

- Tak, wiem - odezwała się w końcu bardzo cicho.

- Linda mi powiedziała. Opowiedziała mi o wszystkim. Przedtem nie wiedziałam.

Wstała nerwowo i obesła krzesło, na którym siedział Harry znikając mu z pola widzenia.

- Och, to nie ma sensu. I tak mi nie uwierzysz.

- Opowiedz mi, co wiesz, a ja już sam ocenię, czy mam ci wierzyć, czy nie.

Harry patrzył przed siebie. Może dziewczyna łatwiej się otworzy, jeśli nie będzie wywierał na nią nacisku.

- Linda twierdzi - zaczęła - że Peter zawierając ze mną

znajomość zakładał, że będę dla niego pracowała, i po to ściągnął mnie do Londynu. Potem, kiedy już trochę tu pobyłam, zakochał się we mnie i zdecydował, że...

Urwała na chwilę. Słyszał, jak spaceruje nerwowo za jego plecami.

- Wtedy nic jeszcze nie wiedziałam o tym procederze z dziewczynami na telefon. Peter skrzętnie to przede mną ukrywał. Nie miałam o niczym zielonego pojęcia i taka jest prawda.

- Ale o Lindzie wiedziałas - zauważył łagodnie Harry.

- Musiałas się orientować jakie życie prowadzi.

- Tak, wiedziałam o niej. Była moją dobrą przyjaciółką. Ale przysięgam ci, że nie wiedziałam nic o Peterze.

- Co się wydarzyło tego wieczora, kiedy zabrałem cię spod tej restauracji w Soho, „Chez Maurice”?

Judy, uznawszy chyba, że jeszcze niezbyt pewnie trzyma się na nogach, podeszła z powrotem do swojego krzesła i osunęła się na nie.

- Tam Owen wiedział, że poszukuje mnie policja i kazał mnie zadenuncjować jednej ze swoich dziewczyn. Linda domyśliła się, do czego zmierza Tam, kiedy wypatrzyła cię pod restauracją. Postanowiła mi pomóc. Zatelefonowała więc do Tama i powiedziała mu, że Peter dał mi list zawierający informacje o nim.

- O Tamie Owenie?

- Tak.

- Czy naprawdę miałaś taki list?

- Nie. Ale poskutkowało. Na polecenie Tama śledził mnie już Marty Smith. Kiedy zatrzymaliśmy się przy Mailu, Marty zatelefonował do Tama po instrukcje. Tam przestraszył się, że oddam ten rzekomy list policji.

- Kazał więc Marty'emu Smithowi unieszkodliwić mnie, a cię sprowadzić z powrotem. Następnie nakłonił cię do opuszczenia kraju.



- Tak. Ale negocjacje prowadziła w moim imieniu Linda. Ja nie widziałam na oczy Tama Owena.

- Nigdy?

- Nie, nigdy. Widywał go tylko Marty. Marty jest przyjacielem Lindy, chociaż przyjaciel, to chyba nie najwłaściwsze słowo. Nie sądzę, aby ten człowiek przyjaźnił się z kimkolwiek. To zbir numer jeden w bandzie Tama Owena.

Sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na stoliczku obok. Harry wyciągnął zapalniczkę i podał jej ognia. Chwyliła go za przegub, żeby przyciągnąć płomyk do czubka papierosa.

- Mów dalej, Judy - zachęcał ją, kiedy wydmuchnęła dym.

- Linda powiedziała mi, że jeśli zostanę w kraju, nie będę miała żadnych szans. Stwierdziła, że zachowywałam się dotąd tak podejrzanie, że wcześniej czy później policja się do mnie dobierze. Obiecała załatwić mi fałszywy paszport.

- U Tama Owena?

- Nie. U Marty'ego Smitha. Ale sfabrykował go Tam Owen.

Harry zamyślił się. Twarz Judy pobladła jeszcze bardziej. Widać było, że to przesłuchanie ją męczy. Musiał jednak kuć żelazo póki gorące.

- Judy, zadawałem ci już to pytanie, ale spytam jeszcze raz. Czy zabiłaś Petera Newtona?

Spojrzała mu prosto w oczy i zrobiła to jakoś inaczej niż wcześniej.

- Nie, nie zabiłam - odparła spokojnie.

- Nie zorientowałaś się, co to za facet?

- Nie rozumiem?

- Czy nie odkryłaś, że prowadzi ten brudny interes i nie postanowiłaś sama wymierzyć mu sprawiedliwość?

- Nie - Judy odrzuciła oskarżenie bez przesadnego oburzenia. - Było całkiem inaczej. Chciałam pomóc Peterowi. Wiedziałam, że ma kłopoty i próbowałam go nakłonić do pójścia na policję. O to właśnie pokłóciliśmy się w restauracji.

- A mnie się wydawało, że poszło o psią obrożę.

- Bo tak było. O psią obrożę i o liścik. Liścik, który odebrałeś nazajutrz po jego śmierci.

Harry obrócił się nieco z krzesłem, żeby lepiej ją zobaczyć.

- Opowiedz mi o tym, Judy.

O jedenastej następnego ranka Harry odebrał Judy ze szpitala. Jako ofiara wypadku nie miała ze sobą żadnego bagażu. Uczynna pielęgniarka oczyściła i odprasowała jej ubranie. Dobrze przespana noc dokonała cudu i na policzki Judy powrócił rumieniec. Lewą rękę miała zawieszoną na śnieżnobiałym temblaku, a kurtkę zarzuconą luźno na ramiona.

Droga do Defoe Mansions nie zajęła im więcej niż dziesięć minut. Tym razem Harry nawet nie próbował się ukrywać i zaparkował swojego Austina 1100 przed samym wejściem. Pustą walizkę, którą wyjął z bagażnika, miały zapelnąć rzeczy Judy.

Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania na trzecim piętrze, postawił walizkę na ziemi i zanim zadzwonił, uśmiechnął się do Judy pokrzepiająco.

- Zostaw to teraz mnie. Sam porozmawiam z Lindą. Ty nie musisz odzywać się słowem. Spakuj tylko swoje rzeczy.

Skinęła głową i niespokojnie poprawiła temblak. Po minucie Harry ponownie wcisnął przycisk dzwonka

i tym razem nie puszczał go przez dziesięć sekund. Słyszeli oboje dzwonienie w mieszkaniu.

- Chyba jej nie ma - powiedziała wreszcie Judy w nadziei, że może jednak ominie ją spotkanie z Lindą.

- Nie chce mi się wierzyć. - Harry wskazał głową skrzynkę na listy. - Spróbuj ją zawołać. Może otworzy, jeśli się przekona, że to ty.

Judy schyliła się i popchnęła do wewnątrz klapkę skrzynki.

- Lindo - zawołała przez szparę. - To ja, Judy.

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Po upływie kolejnej minuty Harry wyjął z kieszeni klucz Sidneya Heatona i wsunął go w dziurkę.

- Skąd go masz?

Ignorując to pytanie Harry otworzył cicho drzwi. Wziął walizkę i wszedł do mieszkania dając Judy znak, że ma uczynić to samo. Kiedy wkraczała do pokoju gościnnego wołając wciąż Lindę, szedł tuż za nią, by w razie czego ją chronić.

- Na pewno jej nie ma. Moje rzeczy są w tym pokoju...

- Zaczekaj! - Harry powstrzymał ją.

Kładła już dłoń na klamce drzwi do pomieszczenia znajdującego się naprzeciwko małej sypialni, w której zastał ostatnio Lindę. Minął Judy, żeby zajrzeć do pokoju. Był pusty i nie posprzątanym.

- W porządku - zdecydował. - Pakuj się jak najszybciej. Coś mi się tu nie podoba.

Judy weszła i odsunęła drzwi ściennej szafy. Harry położył walizkę na łóżku i otworzył ją.

- To dziwne - wykrzyknęła Judy.

- Co takiego?

- Moje rzeczy tu są, ale rzeczy Lindy gdzieś zniknęły.

- To tuje trzymała? Myślałem...

- Nie, większość jest w drugim pokoju. Tutaj wisiały tylko jej długie suknie. Zaczekaj chwilę.

Zanim zdążył ją powstrzymać, wybiegła z pokoju. Chciał pobiec za nią, ale w tym momencie zadzwonił telefon na nocnym stoliku.

Stał przez chwilę wpatrując się w aparat, niezdecydowany czy podnieść słuchawkę. W końcu podniósł ją i przyłożył do ucha.

- 586-1729? - spytał bez wstępów czyjś głos.

Harry zerknął na tarczę aparatu, żeby sprawdzić numer.

- Tak.

- Mam telegram dla Lindy Wade.

- Dziękuję. Odbiorę go.

- Treść brzmi: „Oczekuję cię jutro o dziesiątej rano”.

Podpisano: „Douglas”.

- Powiedział pan: „Douglas”?

- Tak, zgadza się.

- Skąd przyszedł ten telegram?

- Został nadany w St. Albans o jedenastej czterdzieści pięć.

- Dziękuję.

- Życzy pan sobie kopię na piśmie?

- Tak, poproszę.

Kiedy wróciła Judy, Harry stał jeszcze nad aparatem.

- Kto to był?

- Pomyłka. Odkryłaś coś?

- Tak. Linda wyjechała. Opuściła mieszkanie. Jej szafa na ubrania jest zupełnie pusta.

Harry pokiwał głową.

- No nic, Judy. Bierzmy się do roboty. Nie mamy wiele czasu.

Judy, podszedłszy do szafy, zaczęła starannie układać swoje rzeczy w walizce.

- Ile czasu zajmie nam droga?
- Do Bicester jedzie się około dwóch godzin. Stamtąd do Steeple Aston jest mniej więcej dziesięć mil.

Harry stał pośrodku pokoju jeszcze raz oglądając go dokładnie, tak, by nie umknął mu żaden szczegół.

- Steeple Aston?
- To taka wioska. Hotel nazywa się „Klasztor”.
- Oryginalna nazwa, jak na hotel - powiedziała Judy wracając do szafy po kolejną porcję ubrań.
- Owszem. To właściwie pensjonat, nie hotel. Ale nie obawiaj się. Na pewno ci się spodoba.

- Nie wątpię. Rada jestem, że wyjeżdżam z Londynu.

Złożyła sweter i umieściła go w walizce. Potem wyprostowała się i spojrzała na Harry'ego. Oczy jej przybrały łagodniejszy wyraz.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna za to, co dla mnie robisz, Harry.

- Nie ma za co - odparł podziwiając jej urodę, wybitną, kiedy rezygnowała z szorstkości. - Uważaj tylko na siebie. I przede wszystkim pamiętaj, co ci powiedziałem: nie dawaj nikomu swojego adresu, nie wychodź z hotelu, a jeśli będziesz musiała zadzwonić, dzwoń do mnie.

Uśmiechnęła się słysząc jego ciepły, szczerzy ton.

- Będę pamiętała.
- Właściciele hotelu są moimi przyjaciółmi. Powiedziałem im, że przechodzisz rekonwalescencję po poważnym wypadku samochodowym i w związku z tym musisz mieć absolutny...

Urwał i oboje spojrzeli w stronę przedpokoju. Ktoś dzwonił do drzwi. Harry przyłożył palec do ust i pokazał na migi, żeby nie ruszała się z miejsca. Sam wyszedł do przedpokoju, zamknął za sobą drzwi sypialni i nasłuchiwał.

Z korytarza dobiegł trzask zamykających się drzwi windy, a zaraz potem cichnący jęk ruszającej w dół kabiny. Kimkolwiek był gość, nie przyszedł widać z pilną sprawą.

Żeby się upewnić, Harry podszedł do drzwi i otworzył je. Korytarz był pusty, ale na wycieracze leżała długa, biała koperta.

Schylił się, żeby ją podnieść i uświadomił sobie, że popełnił błąd. Kącikiem oka dostrzegł ruch nogawki spodni przy ścianie obok drzwi. Usiłował wykonać unik, ale było już za późno. Nie poczuł nawet uderzenia kolbą pistoletu w głowę, nie zobaczył posadzki, o którą uderzył czołem.

Marty Smith przeskoczył nieprzytomne ciało i z pistoletem gotowym do strzału wszedł szybko do mieszkania.

- Judy!

Stał w progu saloniku rozglądając się czujnie, po czym ruszył i otworzył drzwi sąsiadującej z nim sypialni. Wołając wciąż Judy po imieniu wrócił do przedpokoju. Dostrzegł zamknięte drzwi małej sypialni i uchylił je.

Stała tam Judy z szeroko rozwartymi oczami.

- Marty! - Udało jej się przywołać na usta śmiech. - To ty.

- Tak, ja. Dlaczego, u diabła, nie odzywałaś się, kiedy wołałem?

- Nie wiedziałam, że to ty. Więc poradziłeś sobie z tym durnym gliniarzem?

- Jasne.

Wziął ją pod rękę i wyprowadził. Zatrzymała się w progu jak wryta na widok ciała Harry'ego.

- Ten głupi sukinsyn sam się o to prosił - mruknęła. W jej oczach nie było ani śladu niedawnej łagodności.

- Chodź, Judy - ponaglił ją Marty wychodząc na korytarz.

Musiała przekroczyć ciało Harry'ego, żeby przejść. Kiedy padał, głowa przekręciła mu się na bok, twarzą do windy. Oczy miał zamknięte, a właściwie przymknięte. Jedna powieka jakby podrygiwała, co by świadczyło, że jest nieprzytomny, ale żyje.

Marty dźgał nerwowo palcem przycisk windy, chociaż z cyfr zapalających się kolejno na wskaźniku pięter wynikało, że jedzie już do góry. Trzymał za gałkę drzwi. Otworzył je natychmiast i wepchnął Judy do środka, wsuwając jednocześnie pistolet do kabury pod pachą.

Pan Pye należał do najstarszych stażem lokatorów Mansions i mieszkał na pierwszym piętrze. Wiedział z doświadczenia, że istnieje tylko jeden sposób zatrzymania zjeżdżającej windy, kiedy pasażerowie nacisnęli już przycisk „Parter”. Polegał on na silnym pociągnięciu drzwi do siebie, kiedy winda mijała rygiel.

Manewr ten kompletnie zaskoczył Marty'ego. Wybałuszyl oczy na pana Pye wkraczającego do kabiny z przyjaznym uśmiechem na ustach. Pan Pye nacisnął przycisk „Parter” i winda zaczęła znowu opadać, teraz już z trójką stojących ramię przy ramieniu pasażerów.

Raptem Judy chwyciła zdrową ręką za kolbę pistoletu tkwiącego pod pachą Marty'ego. Udało jej się wyciągnąć go, zanim Marty złapał ją za przegub.

- Proszę mi pomóc! - krzyknęła do zaskoczonego pana Pye.

Zareagował z zadziwiającą szybkością rzucając się na ramię Marty'ego, żeby skierować lufę pistoletu w podłogę. Podczas szamotaniny broń wypaliła kilkakrotnie wypełniając ciasną przestrzeń odorem kordytu. Marty kopnął pana Pye w brzuch. Pye jęknął, puścił rękę Marty'ego i osunął się na podłogę.

W tym momencie winda zatrzymała się ze wstrząsem. Marty otworzył drzwi i brutalnie wypchnął Judy z kabiny. Potknęła się, zataczając przeleciała przez hol i zatrzymała dopiero na przeciwległej ścianie. Kiedy Marty ruszał za nią, pan Pye złapał go przytomnie za kostkę i przewrócił.

Klnąc na czym świat stoi, Marty pozbierał się z podłogi i z półobrotu wymierzył panu Pye kolejnego kopniaka. Potem podbiegł do Judy, która osunęła się po ścianie na posadzkę. Prawie omdlała z bólu przeszywającego kontuzjowane ramię. Marty pochylił się, żeby postawić ją na nogi, odwracając się plecami do wylotu klatki schodowej znajdującego się tuż przy windzie.

Harry gonił windę po schodach przeskakując po trzy stopnie na raz. Po ostatnim skoku wylądował wprost na plecach Marty'ego, przewracając go na ziemię. Pistolet wysunął się Marty'emu z dłoni i Judy kopnęła go w kąt.

Wyężając wszystkie siły Marty zdołał wyzwolić się z uścisku Harry'ego i odtoczyć na bok. Zerwał się natychmiast na nogi jak wańka-wstańka i w jego dłoni zabłysnął nóż.

Harry zdążył w tym czasie podźwignąć się zaledwie na klęczki, wiedział jednak, że to niezła pozycja obronna. Kiedy Marty runął na niego z nożem, odchylił się w bok, złapał napastnika najpierw lewą dłonią za nadgarstek uzbrojonej ręki, potem prawą za przedramię i wykorzystując impet przerzucił go przez siebie.

Marty zawył. Padając przekręcił się na plecy, żeby nie złamać ręki. Kiedy próbował wstać, solidny lewy prosty Harry'ego pozbawił go przytomności.

Harry odwrócił się szybko do Judy, która siedziała pod ścianą trzymając się za kontuzjowane ramię. Twarz miała wykrzywioną z bólu.

- Nic ci nie jest, Judy?



Zdobyła się na zuchowaty uśmiech.

- Byle tak dalej, a naprawdę będą musieli zatrzymać mnie w szpitalu.

- Nie tylko ciebie - mruknął Harry rozcierając nowego guza, tym razem po drugiej stronie głowy.

Za ich plecami pan Pye podniósł ostrożnie pistolet Marty'ego z posadzki i zabezpieczył broń.

Tego ranka Harry'emu było lekko na duszy. Mimo wszystko był przecież na urlopie, a chciał w pełni wykończyć kilka dni, jakie mu jeszcze pozostały.

Miał mnóstwo roboty z porządowaniem spraw ojca, a do tego sklep na głowie. Douglas Croft był, co prawda, kompetentnym pracownikiem, ale unikał podejmowania decyzji. Harry wychodził z założenia, że teraz, kiedy podarował im Marty'ego Smitha, Yardley z Natem potrafią już sami dobrać się do Tama Owena. Duszna atmosfera, jaka zdawała się go przedtem otaczać, chyba wreszcie się poprawiła. Chociaż nadal nie był pewien, czy Yardley naprawdę go podejrzewał. Jeśli naczelny nadinspektor oglądał w telewizji ten program z udziałem ojca, to mógł przecież ujrzeć w Harrym „twardym, przystojnym chłopcu ze Scotland Yardu” pretendenta do swojego stanowiska.

Ale, chociaż sam przed sobą się do tego nie przyznawał, głównym powodem, dla którego czuł się obecnie dość odprężony, była świadomość, że Judy znajduje się w bezpiecznej kryjówce, gdzie nikt jej nie znajdzie.

Dzwonił do niej z samego rana, jeszcze przed ogoleniem się i ubraniem. Odniósł wrażenie, że jest zadowolona i ma się dobrze. Szamotanina z Martym nie zaszkodziła jej ramieniu. Ostrzegł ją jeszcze raz, żeby nie wychodziła z hotelu i do nikogo, poza nim, nie telefonowała.

Szedł właśnie do łazienki, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Wahał się przez chwilę, ale w końcu doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli otworzy. Może to Nat z najświeższymi wiadomościami. Może znaleźli Lindę. Nie wykluczone też, że skłoniono wreszcie Marty'ego do przerwania milczenia.

Porannym gościem okazał się Hubert Rogers, który, sądząc po świeżości i elegancji, zajrzał tu po drodze do biura. Węzeł krawata idealnie pośrodku sztywnego, białego kołnierzyka, melonik równiutko na głowie, wypolerowane na glanc czarne buty. Obrazu dopełniały zwinięty parasol i neseser.

Harry nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Dzień dobry, panie Dawson. Może mi pan poświęcić parę chwil?

- Tak, oczywiście, proszę wejść.

- Przepraszam - Hubert przyglądał się z zakłopotaniem jedwabnemu szlafrokowi i pizamie w paski. - Mam nadzieję, że nie wyciągnąłem pana z łóżka.

- Nie. Już wstałem - zapewnił Harry, kiedy wchodzili do pokoju. - Nie chciało mi się tylko ubrać. Widzi pan, oficjalnie jestem na urlopie. Podać panu coś?

- Nie, dziękuję. - Jak można się było spodziewać, Hubert położył melonik i parasol dokładnie w tym samym miejscu, co podczas pierwszej wizyty. - Panie Dawson, przeglądam teraz rzeczy mojej ciotki, porządkuję jej sprawy i tak dalej. Wczoraj musiałem podjąć decyzję względem psa.

- Zera?

- W końcu postanowiłem oddać go przyjacielowi, który mieszka na wsi.

- Gdzie pies był do tej pory? W hotelu?

- Tak. Dostosy to dziwne, ale pozwalali tam trzymać zwierzęta i chyba głównie dlatego ciotka wybrała akurat

ten hotel. - Harry zauważył już, że Hubert, mówiąc o ciotce, czyni to z pewną protekcyjnością. Niewątpliwie dręczyło go, że jest spokrewniony z kimś ze sfer tak niskich. - Nawiasem mówiąc, wcale tam nie pracowała. Mieszkała w hotelu jako gość - rzekł Rogers.

- Tak, wiem już o tym. - Harry nie miał zamiaru proponować Hubertowi, żeby usiadł. - Ale co pana do mnie sprowadza?

- No więc, kiedy odbierałem Zera, od razu zwróciłem uwagę na jego obrożę. - Hubert odpinał zatrzaski nesese-ra. - Była najwyraźniej nowiutka. Mając na względzie cały ten szum, jaki zrobiła ciotka wokół tamtej oryginalnej, którą podarował jej pański ojciec, postanowiłem ją sobie dobrze obejrzeć.

Wyjął z nesese-ra nową obrożę i podał ją Harry'emu.

- Jest w niej coś niezwykłego?

- Tak. - Hubert wstał i czekał, aż Harry obejrzy obrożę. Wykonana była z dwóch warstw miękkiej skórki. Po wewnętrznej stronie wszyty był zamek błyskawiczny. Biegł niemal przez całą jej długość.

- Było coś w środku? - spytał Harry, odsuwając powoli zamek, by zajrzeć do ukrytej kieszonki.

- Owszem, było. Coś, co należy do pana, panie Dawson.

Harry wziął od Huberta zwitek papieru i rozprostował go.

- Co to jest?

- Wygląda na rachunek. Za naszyjnik z pereł.

Harry wygładził świstek na stole:

„Minerva Jewels Ltd.

Burlington Street, Ref: A4961

London, W.1.

Dawson. Potrójny naszyjnik cechowanych pereł.”

Harry podniósł wzrok na gościa.

- To nie moje. Ale miał pan prawo tak pomyśleć.

- Przecież panu go wystawiono! Jest na nim pańskie nazwisko.

- Nie. Ten rachunek wystawiono mojemu ojcu. Ale znam sprawę, panie Rogers. Dziękuję, że pan mi go przyniósł.

- Zna pan sprawę? - Hubert był niepokieszony, że jego rewelacja wypadła tak blade.

- Tak.

- Co chce pan przez to powiedzieć? Wiedział pan, iż ma go moja ciotka? Że naszyjnik był w tej obroży?

- Nie. Ale wiedziałem o jego istnieniu. Prawdę mówiąc, nawet go szukałem.

Rzeczowy ton Harry'ego dobijał Huberta.

- Rozumiem - powiedział oschle. I nagle twarz mu poczerwieniała. - Nie, cholera, nic nie rozumiem!

Podszedł szybkimi, małymi kroczkami do okna i odwrócił się, by spojrzeć stamtąd na Harry'ego.

- Jeśli rachunek należał do pańskiego ojca, to skąd się wziął u mojej ciotki? I dlaczego, na miłość boską, był ukryty w obroży? I jeszcze jedno. Tę obrożę wykonano na zamówienie. Jestem przekonany, że nie można ot tak sobie wejść z ulicy do pierwszego lepszego sklepu i kupić taką.

- Ma pan rację. Nie można. - Harry skinął głową, ale właściwie nie słuchał Huberta. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zatrzymać tę obrożę i rachunek.

- Ależ proszę bardzo. Hubert odchrząknął nieśmiało, zanim podjął.

- Panie Dawson, rozmawiałem wczoraj z nadinspektorem Yardleyem. Powiedział mi, że w sprawie zabójstwa mojej ciotki nic konkretnego jeszcze nie wiadomo i że nie

ma szans na szybkie ujęcie sprawcy. Odniosłem jednak wrażenie, że on coś przede mną ukrywa.

- Jeśli ukrywa coś, to i przede mną. - Harry ruszył w stronę drzwi. - Panie Rogers, musi mi pan wybaczyć. Jestem umówiony na wpół do dziesiątej, a, jak pan widzi, jeszcze się nie ubrałem.

Wróciwszy do salonu po odprowadzeniu Huberta, Harry zastał tam Douglasa Crofta stojącego przy stole i oglądającego z zainteresowaniem obrożę. Douglas wszedł tu zapewne kręconymi schodkami z kantorku na dole. Trzymał pod pachą tekturową teczkę.

- Co to jest, Harry? Skąd się to tu wzięło?

- Zaraz ci wszystko opowiem - powiedział wesoło Harry, podchodząc do telefonu. - Muszę tylko zadzwonić.

- Czy to poufne? Bo jeśli tak, to ja...

- Nie, nie. - Na ustach Harry'ego błąkał się cień uśmiechu. - Przed tobą nie mam tajemnic.

Harry wykręcił numer i czekał cierpliwie ze słuchawką przy uchu. W pewnej chwili zerknął na Douglasa i spytał obojętnie:

- Douglasie, czy znasz dziewczynę o nazwisku Linda Wade?

- Linda...? - Douglas zasunął i odsunął zamek błyskawiczny po wewnętrznej stronie obroży.

- Wade - powtórzył Harry.

- Nie. Nie sądzę.

- A słyszałeś może o niej?

- Linda Wade? Nie, nie słyszałem. - Twarz Douglasa była bez wyrazu. - A powinienem?

Harry odwrócił się do niego plecami. W słuchawce zachrypiał czyjś głos.

- Halo, telegramy? - powiedział. - Mój numer 586-2679. Chciałbym nadać wiadomość dla pani Sybil Conway,

Stillwater, Broadway Avenue, Hampstead, Londyn. N.W.3.

Dyktował adres powoli i wyraźnie słysząc w słuchawce stukot maszyny do pisania, na której telefonistka zapisywała adres. Czuł wzrok Douglasa na potylicy.

- Zapisała pani? Tekst brzmi następująco: „Znalazłem rachunek. Stop. Proponuję spotkanie dziś o szesnastej w „Serpentine Restaurant” w Hyde Park.”

Słuchał przez chwilę głosu telefonistki, która powtarzała tekst literując nazwy własne.

- Zgadza się. Nazwisko nadawcy: Croft. Douglas Croft.

Wskazówki zegarka wskazywały szesnastą piętnaście i Harry zaczynał mieć wątpliwości, czy ryba chwyci przynętę. Czas mu się nawet nie dłużył. Na tarasie „Serpentine Restaurant” przyjemnie było posiedzieć. Obserwował pary w łódkach manewrujące sennie po roziskrzanej słońcem powierzchni jeziora, stadka kaczek i innego wodnego ptactwa tłoczące się wokół siwowłosej damy, która rzuciła im garściami okruchy chleba z papierowej torby. Była to zapewne jedna z tych samotnych, zamkniętych w sobie osób, które znajdują większą przyjemność w obcowaniu ze zwierzętami niż z istotami ludzkimi. Słyszał stłumiony szum samochodów dobiegający z ulicy. Za drzewami, po drugiej stronie „Serpentine Restaurant”, znajdował się komisariat policji Hyde Parku, o którym większość bywalców parku nawet nie wiedziała.

Wtem dostrzegł Bentleya wyjeżdżającego z Ring Road. Z przodu siedziały dwie osoby. Ale na taras restauracji wszedł tylko Arnold Conway. Miał na sobie nienaganie skrojony garnitur w kratkę, a falujące włosy, tylko

na skroniach przyprószone siwizną strzygł z pewnością jeden z najlepszych fryzjerów.

Rozglądał się przez chwilę po stolikach. Dostrzegł przy jednym z nich Harry'ego Dawsona, ale nie widział nigdzie Douglasa Crofta. W końcu podszedł do Harry'ego.

- To pan nadał ten telegram. - Było to raczej stwierdzenie, niż pytanie, Conway zorientował się już w sytuacji. - Musi pan wybaczyć mojej żonie. Chciała pochodzić trochę po sklepach, podjąłem się więc ją zastąpić.

- Właśnie pana spodziewałem się zobaczyć, panie Conway. - rzekł Harry. - Ale spóźnił się pan troszkę. Miał pan kłopoty z zaparkowaniem swojego wózka inwalidzkiego?

Conway uśmiechnął się enigmatycznie i zapytał:

- A ten telegram, panie Dawson, to prawda, czy podstęp?

- Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem. Rzeczywiście mam rachunek za naszjnik, jeśli o to panu chodzi.

- Właśnie o to. Mogę go zobaczyć?

Harry wyciągnął z kieszeni rachunek i podsunął go Conwayowi pod nos. Mężczyzna nawet nie próbował wziąć go do ręki.

- Dziękuję - powiedział. Wyjął z papierošnicy owalną cygaretkę i zapalił. Nad stolikiem rozszedł się aromat tureckiego tytoniu. - Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o tym rachunku?

- Pańska żona kontaktowała się w tej sprawie z moim znajomym.

- Z Douglasem Croftem. Tym, który pracował u pańskiego ojca?

- Zgadza się. Pani Conway zatelefonowała do Douglasa. Powiedziała, że wydaje jej się, iż mój ojciec położył

gdzieś ten rachunek.

- Prosiła Crofta, żeby go poszukał?

- Tak.

- I znalazł?

- Nie. Udało się to komuś innemu.

- Wciąż jednak nie pojmuję, po co zaraz telegram.

Nie mógł pan wysłać żonie tego rachunku pocztą?

- Mogłem. Ale wtedy ominęłaby mnie przyjemność spotkania pana, panie Conway. A chciałem zobaczyć się z panem.

- Po co? Czego pan właściwie chce?

Conway miał zwyczaj mrużenia oczu, kiedy na kogoś patrzył. Harry oparł się łokciami o blat stolika i wytrzymał to spojrzenie.

- Chcę wiedzieć, jak mój ojciec wplątał się w tę aferę. Chcę wiedzieć, dlaczego pańska żona wdała się z nim w romans. Chcę wiedzieć, dlaczego Tam Owen go zamordował.

Harry mówił przyciszonym głosem i przez chwilę wydawało się, że Conway go nie dosłyszał. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, nie mrugnął nawet powieką.

- Pański ojciec był głupcem - odezwał się w końcu równie cicho. - A do tego pechowcem. Dam ci pewną radę, młodzieńcze. Nie mieszaj się do tego.

- Przypuśćmy, że nie skorzystam z pańskiej rady. - Harry ledwie panował nad głosem. Czuł wzbierający gniew.

- Nie sądzę, żeby pan był na tyle głupi. Widział pan, co spotkało Lindę Wade?

- Nie tak łatwo mnie nastraszyć. Widziałem już pobi-tych ludzi i sam parę razy oberwałem.

- W to nie wątpię. - Conway strzepnęła machinalnie



popiół z czubka cygaretki. - Tylko, że ja nie pana mam na myśli.

- A kogo? - spytał Harry. - Judy Black?

Conway wyszczerzył zęby w dwuznacznym uśmiechu.

- Jestem przekonany, że nie chciałby pan, aby coś złego przytrafiło się panie Black.

- To prawda. I nic jej się nie przytrafi!

- Bardzo pan pewny siebie. Pewnie dlatego, że sądzi pan, iż nie potrafimy jej znaleźć? - Uśmiech rozszerzył się, jakby Conwaya bawiła ta rozmowa. - Mam panu powiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa panna Black?

- No, proszę. Słucham.

Conway zaciągnął się niespiesznie cygaretką odlewając moment wyłożenia na stół atutowej karty.

- Jest w hotelu o nazwie „Klasztor”. To w Steeple Aston, małej wiosce dziesięć mil na północ od Bicester.

Takiego efektu swych słów Conway chyba się nie spodziewał. Twarz Harry'ego rozjaśnił szeroki uśmiech. Pochylił się w przód i poklepał Conwaya po wywatowanym ramieniu.

- A założyłby się pan o to?

Kobiecie nad jeziorkiem skończył się zapas okruszków i skórek chleba. Powiedziała coś do kaczek, które widząc, że zbiera się do odejścia, zaprotestowały głośno. Kobieta odwróciła się do nich plecami.

Po raz pierwszy od zajęcia miejsca przy stoliku, Conway sprawiał wrażenie człowieka nie całkiem pewnego siebie.

- Sądzi pan, że nie chciałbym się o to założyć?

- Wczoraj po południu - wyjaśnił mu wesoło Harry - odebrałem Judy ze szpitala i zawiozłem do mieszkania Lindy Wade, żeby zabrała stamtąd swoje rzeczy. Kiedy tam byliśmy, zjawił się Marty Smith. Nie muszę panu mówić, co się stało z panem Smithem.

- Proszę mówić dalej.
  - Kiedy uporaliliśmy się z panem Smithem, wróciłem na górę i przeszukałem mieszkanie. Znalazłem mikrofony i magnetofon. Domyśliłem się, że moja rozmowa z Judy o hotelu w Steeple Aston została nagrana. Przykro mi, że otrzymał pan informację, którą nasi amerykańscy przyjaciele nazywają „podpuchą”.
  - Niczego nie otrzymałem - warknął ze złością Conway odwracając się, by nie oglądać uśmiechu Harry'ego.
  - Dawno już mówiłem Tamowi Owenowi, że nie doceniając pana popełnia wielki błąd.
- Urwał nagle, bo z głośnika popłynął niski, raczej nosowy kobiecy głos:
- Pan Arnold Conway proszony jest o zgłoszenie się do recepcji w celu odebrania pilnego telefonu. Pan Arnold Conway.
- Głośnik umilkł natychmiast po wygłoszeniu komunikatu.
- Do mnie? - powiedział Conway ze zdziwieniem.
  - Gdzie mam iść?
- Harry wskazał mu oszklone drzwi w końcu tarasu.
- Tam. Zaraz za drzwiami jest kabina telefoniczna.
- Harry uprzyjemniał sobie oczekiwanie na powrót Conwaya obserwacją poczynań młodego człowieka, który najwyraźniej pierwszy raz w życiu płynął łódką, a udawał zwycięzcę Diamond Sculls. Conway wrócił po kilku chwilach. Zachowywał się jak kot po zjedzeniu gorącej kaszy, a jego oczy rzucały bystre spojrzenia we wszystkie strony. Nie wyłączając ulicy przebiegającej za kawiarnią.
- To moja żona - powiedział siadając z nonszalancją.
  - Chciała wiedzieć, jak długo tu jeszcze będę.
  - I co jej pan powiedział? Że dziesięć lat?
- Conway próbował bez powodzenia udać, że odebrał to jako świetny żart.

- Powiedziała, że wpadnie tu za kilka minut.
- To może się do nas przysiadzie?
- Nie sędzę, stary.
- To z Sybil umówił się mój ojciec w klubie tego ranka, kiedy go zamordowano. Prawda? - przerwał mu z rozmysłem Harry. - Posłużyła za przynętę. Dystygowana, elegancka Sybil. Pewno myślał, że była w nim zakochana.

Conway nie odpowiedział. Słyszając znajomy trzask głośnika poprzedzający nadanie komunikatu, przekrzywił na bok głowę. Ten sam nosowy głos wygłosił standardową formułkę.

- Pan Harry Dawson proszony jest o zgłoszenie się do recepcji w celu odebrania pilnego telefonu. Pan Harry Dawson.

- Twoja kolej, stary. - Conway obsadzał w cygarnicze nową cygaretkę obserwując spod oka Harry'ego, który wstał niezdecydowany: posłuchać wezwania czy może raczej zostać.

- Nie obawiaj się, inspektorze - uśmiechnął się Conway. - Nie ucieknę.

Harry przeszedł szybko przez taras do oszklonych drzwi. Jedyną osobą, która wiedziała, że jest tutaj, był Douglas Croft. No, może jeszcze pani Conway.

Dziewczyna z recepcji spojrzała nań pytająco.

- Pan Dawson? Może pan odebrać telefon w tamtej kabinie.

Harry spojrział na taras. Conway, całkiem rozluźniony, siedział przy stoliku spowity chmurą aromatycznego dymu.

Harry zamknął za sobą drzwi kabiny i podniósł słuchawkę. - Halo, Dawson przy aparacie. Halo... Halo.

Usłyszał tylko ciągły sygnał.

Otworzył drzwi, podszedł do recepcji i skinął na dziewczynę, z którą rozmawiał.

- Na linii nikogo nie było - powiedział. - Jest pani pewna, że...

Przerwał mu krzyk dochodzący z tarasu. Zawtórowały mu inne krzyki, brzęk tłuczonego szkła i rumor przewracanych stolików.

Harry w dwóch susach dopadł drzwi wychodzących na taras i otworzył je gwałtownie. Stoliki otaczające Conwaya były puste. Ludzie czmychnęli stamtąd w odruchu paniki. Sam Conway nie poruszał się. Siedział zgięty w pół z czołem wspartym o blat.

Harry ruszył pędem przez taras. Z drugiej strony nadbiegał skromny mężczyzna o wyglądzie profesjonalisty, może lekarz. Obaj dotarli do stolika jednocześnie.

- Co się stało? - spytał Harry.

- To był strzał - odparł tamten zwięźle. - Padł gdzieś stamtąd.

Wskazał ręką kępę krzaków przy ulicy. Harry chwycił Conwaya za włosy i unióśł mu głowę. Krew sącząca się z dziury nad prawym okiem tworzyła małą kałużę na blacie.

Opuścił delikatnie głowę Conwaya i zszedł szybko na trawnik, skąd widać było ulicę za kępą krzaków.

Od krawężnika ruszał właśnie z piskiem opon szary Jaguar. Łamiąc przepis o zachowaniu bezpiecznej szybkości na terenie parku pomknął w kierunku Albert Memorial i wkrótce zniknął Harry'emu z oczu. O odczytaniu tablicy rejestracyjnej nie było nawet co marzyć.

Harry ruszył z powrotem do stolika, przy którym siedział wciąż martwy mężczyzna. Gdy wkraczał na taras, wpadła tam kobieta w futrze. W jej oczach malowało się przerażenie. Harry przytomnie zastąpił drogę Sybil Conway, zanim zdołała zobaczyć, co pocisk zrobił jej mężowi.

Harry stał na chodniku na Parliament Square i obserwował wskazówki Big Bena. Wybiła i minęła ósma. Dobiegł końca wieczorny szczyt i, chociaż ruch był nadal spory, większość pojazdów okrążających plac stanowiły samochody prywatne, taksówki i autokary wycieczkowe.

Trudno było umówić się na spotkanie z niesłyszalnym wciąż zajęтым naczelnym nadinspektorem Yardleyem. W końcu Yardley zaproponował następujące rozwiązanie: wybiera się do Cambden Town w innej sprawie; gdyby Harry pojechał razem z nim, mogliby porozmawiać po drodze.

Było siedem po ósmej, kiedy przy krawężniku naprzeciwko Harry'ego zatrzymał się niepozorny, niebieski Ford. Harry'emu serce zamarło. Yardley zwolnił policyjnego kierowcę i prowadził wóz osobiście. Miał opinię beznadziejnego kierowcy.

Nadinspektor pochylił się, żeby odblokować drzwiczki od strony pasażera. Zaczekał aż Harry usadowi się w fotelu i zapnie pas bezpieczeństwa, nie racząc nawet przeprosić za spóźnienie.

- To uprzejmie z pańskiej strony, sir, że zechciał mi pan poświęcić nieco swego cennego czasu, zwłaszcza że tak późno poprosiłem pana o spotkanie.

Yardley zwolnił sprzęgło i Harry'emu głowa poleciała do tyłu.

- Po co chcieliście się ze mną widzieć?

- Chciałem z panem porozmawiać, ale pomyślałem sobie, że jeśli przyjdę do biura... - Urwał, bo wóz wszedł w ostry skręt w Whitehall. - Odkryłem prawdę o moim ojcu, sir.

Chrząknięcie Yardleya było na tyle zachęcające, że Harry zdecydował się mówić dalej.

- Tego popołudnia, kiedy zamordowano Arnolda Conwaya, odwoziłem jego żonę do domu. Była w okropnym

stanie. Pozwoliłem jej się wygadać. Zresztą nawet gdybym chciał, nie mógłbym jej zamknąć ust. Opowiedziała mi o moim ojcu i pani Rogers. Wyjaśniła, dlaczego...

- Dawson - przerwał mu Yardley - naprawdę chciałbym usłyszeć, co wam powiedziała pani Conway, ale czy nie lepiej byłoby zacząć od samego początku?

- No tak. Przepraszam. - Harry przyjął to łagodne upomnienie. - Wszystko wskazuje na to, że przed podjęciem pracy u mojego ojca pani Rogers wiodła żywot dosyć burzliwy. Pewnego dnia odkryła, że człowiek, u którego wtedy pracowała - Tam Owen - prowadzi agencję dziewcząt na telefon. Zebrała dowody jego działalności - fotografie, spis adresów i telefonów, odbitkę kserograficzną obciążającego listu, który napisał. Potem zaczęła go szantażować. W jakimś momencie musiała zdać sobie sprawę z ryzyka, jakie podjęła. Uświadomiła sobie, że Tam Owen może ją nawet zabić. Powiedziała mu więc, że jeśli coś jej się stanie, do akcji wkroczy mój ojciec, słynny Tom Dawson. Krótko mówiąc, dała do zrozumienia, że ojciec jest jej współnikiem.

- Co niebyło zgodne z prawdą.

Metodą Yardleya na przedarcie się przez gąszcz pojazdów objeżdżających Trafalgar Square było kierowanie się na pełnym gazie prosto na Cokspur i nie przejmowanie się innymi użytkownikami drogi. Okazała się skuteczna; tylko kilku kierowców gniewnie nacisnęło klaksony.

- Oczywiście, że nie - podjął Harry, kiedy przejechali. - I nawet Tam Owen miał co do tego wątpliwości. Poleciał Sybil Conway, by zaprzyjaźniła się z moim ojcem i wysondowała go. Sybil wywiązała się z tego zadania i powiedziała Owenowi, że pani Rogers kłamie.

Wspomniała również, że pani Rogers ma zupełnego bziaka na punkcie swojego pudła wabiącego się Zero.

- Uprawdzili więc psa i zaproponowali jego zwrot w zamian za list i odbitkę?

- Zgadza się. Peter Newton zatelefonował w imieniu Owena do pani Rogers i umówili się na spotkanie. To właśnie wtedy pani Rogers zanotowała numer rejestracyjny jego samochodu na jednej z teczek leżących na biurku ojca. Spotkała się z Peterem. Pojechali do jego mieszkania, gdzie pokazał jej obrożę na dowód, że naprawdę mają jej pudła. Ale nic z tego nie wyszło, ponieważ, czego Newton nie wiedział, była to inna obroża. A dlaczego pokazano jej inną będę mógł wyjaśnić, kiedy wyciągnę parę informacji od Judy Black. Ważne jest to, że pani Rogers uznała wtedy wszystko za bluff. Tam Owen postanowił więc postraszyć ją nie na żarty.

- Zabijając waszego ojca?

Światła u wylotu Lower Regent Street zmieniły się na czerwone. Yardley zahamował, ale trzymał wóz na biegu dociskając sprzęgło. Siedzieli przez chwilę w milczeniu i obserwowali hipnotyzujący pokaz kolorowych świateł wokół Piccadilly Circus.

- Tak - podjął znowu Harry przyciszonym głosem.

- Sybil Conway umówiła się z moim ojcem w klubie na lekcję gry w golfa. Potem uprzedziła go telefonicznie, że się trochę spóźni. Powiedziała, żeby zaczekał na polu golfowym w szóstym sektorze. Zamiast niej na spotkanie przybył Tam Owen z Martym Smithem. Marty ogłuszył ojca, a Owen wyłowił ciężki kamień ze strumienia...

Yardley zerknął na Harry'ego ze współczującą miną, jakiej ten jeszcze u niego nie widział. Zapaliło się zielone światło i stojąca za nimi taksówka zatrąbiła niecierpliwie.

- A Newton? - zapytał Yardley, kiedy skręcali w Upper Regent Street.

- Newton był już na polu, gotowy pognać do budynku klubowego ze spreparowaną historyjką, jakoby trafił ojca niechcący podciętą piłką.

- Tak - zauważył sucho Yardley - czego ludzie nie wymyślą, byle zatuszować morderstwo. To wszystko brzmi mało prawdopodobnie, ale muszę przyznać, że zgadza się z tym, co zeznała wam Judy Black. Nie rozumiem jednak, dlaczego Newton wysłał do was ten list.

- To nie Newton go wysłał.

- A więc kto?

- Judy. Widzi pan, ona domyślała się z grubsza, co się dzieje. Uważała, że najlepiej dla Petera będzie, jeśli spotka się z mną i wszystko wyzna. Zdawała sobie jednak sprawę, że Peter nigdy się na to dobrowolnie nie zgodzi. I wtedy wpadła na pomysł wysłania mi obroży i listu. Jeszcze tego samego wieczora powiedziała Peterowi, co zrobiła i wręczyła mu dowód nadania przesyłki poleconej. Powiedziała mu, że nazajutrz będzie przesłuchiwany przez policję i jeśli nie jest tchórzem, ma im wszystko opowiedzieć. Niestety, pokłócili się. Peter wrócił sam do domu i zadzwonił do Tama Owena. Nie muszę panu opowiadać, jak pan Owen rozwiązał ten problem.

- Nie. Nie musicie. Boże kochany, ta część Londynu z każdym dniem coraz bardziej przypomina labirynt.

Przez kilka następnych chwil całą uwagę Yardleya pochłaniała obserwacja znaków drogowych i jezdni.

- Czy nie nakłada pan czasem drogi? - spytał Harry.

- Wysadzę was przy Regent Park. Będziecie mieli stamtąd bezpośrednie połączenie do St. John's Wood. Chyba chcecie jakoś wrócić do domu, co?

- Owszem, dziękuję. Tak będzie najlepiej.

- Czy wyjaśniła sprawę wózka inwalidzkiego i czeku wystawionego na Basila Higgsa?



- No cóż, Conwayowie stanowili szczególną parę. W interes Tama Owena weszli po prostu dla hecy. Conway był typem człowieka, który dowartościowuje się patrząc, jak inni robią z siebie durniów. Niezłe się bawił nakłaniając oficera policji do wypisania czeku na konto, na które wpłacali swoje wpływy z szantażu.

- A wózek inwalidzki?

- Czy mówiłem panu, że Sybil Conway uwodząc mego ojca tłumaczyła, że nie może za niego wyjść, bo ma męża kalekę? Tak więc, kiedy pojechałem po Zera, musieli odegrać tę komedię. Patrzę na to teraz z perspektywy czasu i mam wrażenie, że musieli boki zrywać ze śmiechu. Ale osiągnęli ten efekt, że zaczął mi pan nie dowierzować. Prawda, sir?

Yardley odchrząknął i nic nie powiedział. Odezwał się dopiero wtedy, gdy ich oczom ukazał się znak przy zejściu do stacji metra Regent Park.

- Powiedzieliście, że zamierzacie wyjaśnić sprawę tej obroży.

- Tak. Obroża była symbolem podejrzliwości i nieufności tych ludzi. Pani Rogers należała do osób, które rozglądają się wciąż za czymś, co by jej pomogło szantażować innych. Ukradła ojcu rachunek za sznur pereł i ukryła go w obroży Zera.

- Ale pies nie miał tej obroży, kiedy odbieraliście go od Conway ów.

- Wiem. W tej chwili mogę tylko przypuszczać, że nie miał jej też w chwili uprowadzenia. Albo ktoś zamienił obroże.

- A ja przypuszczam, że te perły były dla pani Conway na tyle cenne, że chciała je za wszelką cenę odzyskać.

- Były wspaniałe. To o nie chodziło przede wszystkim złodziejowi, który włamał się do Stillwater. Pani Conway

wpadła więc na genialny pomysł wyłudzenia odszkodowania od towarzystwa ubezpieczeniowego.

- To wszystko jest bardzo interesujące, Dawson. Ale nie odpowiedzieliście na najważniejsze pytanie.

- Na jakie, sir?

Yardley zjechał do krawężnika, zatrzymał wóz i zapatrzył się ponuro przed siebie.

- Kim jest Tam Owen?

Policyjnego kierowcę, który nazajutrz odwoził Judy Black do mieszkania Harry'ego Dawsona ostrzeżono, że jeśli coś jej się przydarzy, to może się pożegnać z karierą. Kazał jej więc poczekać, aż zamknie samochód, a potem szedł tuż obok niej, kiedy przecinała chodnik i wchodziła na schodki prowadzące do prywatnego wejścia.

Judy nacisnęła przycisk dzwonka i odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Dalej już sobie poradzę. Naprawdę.

Konstabl policji, numer służbowy P.C.387, był czarującym młodzieńcem w wieku dwudziestu kilku lat. Uśmiechnął się do niej szeroko i pokręcił głową.

- Mam rozkaz przekazać panią panu Dawsonowi osobiście.

Serce mu podskoczyło na widok uśmiechu, który rozpromienił jej twarz. Ale ten uśmiech nie był przeznaczony dla niego. Drzwi otworzyły się i w progu stanął Harry Dawson. Tym razem nie był w piżamie i szlafroku. Miał na sobie sportową marynarkę w kratę i beżowe spodnie.

- Cześć, Judy. Wchodź!

- Dzień dobry, sir. - odezwał się P.C.387 zwracając obojgu uwagę na fakt, że wciąż jeszcze czuwa.

Harry oderwał wzrok od Judy.

- Dzień dobry, Fuller. Możesz ją zostawić pod moją opieką. I bardzo ci dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Fuller i zwrócił się do Judy. - Zawsze do usług, proszę pani. Wystarczy poprosić inspektora, żeby do nas przedryndał. Możemy okazać się bardzo przydatni w godzinach szczytu.

Uśmiechnął się do Harry'ego i zbiegł po schodkach.

„Co za dziewczyna” myślał idąc do samochodu, „figura jak malowanie i najwspanialsza para nóg w Londynie. Tym z kryminalnego, to dobrze.”

Harry wprowadził Judy do salonu. Poranek był piękny i przez okna wlewał się do środka słoneczny blask. Judy udało się już zmyć ciemną farbę z włosów, które połyskiwały teraz w świetle dnia. Ramię już jej chyba nie dokuczalo, bo nie nosiła temblaka. Harry pomyślał, że wygląda po prostu wspaniale.

- Jadłaś śniadanie?

- Tak. Akurat kończyłam, kiedy podjechał kierowca.

- Zdziwiłaś się, kiedy do ciebie zatelefonowałem?

- Owszem.

Harry poprowadził ją do foteli przy kominku. Wcześniej usunął już bałagan po śniadaniu.

- Siadaj, Judy. Może kawy?

- Nie, dziękuję. Jeszcze nie teraz.

Judy usiadła z kocią gracją podwijając pod siebie nogi. Harry usiadł w drugim końcu kozetki.

- Judy, dziś rano miałem długą rozmowę z nadinspektorem Yardleyem. Chce, żebyś nam pomogła.

- Zrobię, co będę mogła. Już ci to powiedziałam.

- Tak, wiem. Ale chciałbym ci uświadomić, w co się angażujesz.

Judy zdierała celofan z nowej paczki Piccadilly z filtrem.

- Co mam robić?
- Po pierwsze chcemy, żebyś porozmawiała z Lindą Wade.
- Ale ja nie wiem, gdzie znaleźć Lindę. Nie widziałam jej od...
- Ustaliliśmy miejsce pobytu Lindy. Nasz nieociekony sierżant Quilter znalazł ją w St. Albans.
- W St. Albans? Co ona tam robi?
- Jest w prywatnej klinice Maylee Park specjalizującej się w chirurgii plastycznej. Prowadzi ją bardzo zdolny młody chirurg. Nazywa się Walter Douglas.
- Douglas? - Judy zmarszczyła czoło. - Gdzie ja już słyszałam to nazwisko?
- Kierownik biura mojego ojca ma na imię Douglas. Douglas Croft. Zwyczajny zbieg okoliczności. Jutro Linda ma się poddać operacji twarzy. Będzie polegała na pobraniu kawałka skóry z jakiejś części ciała i przeszczepieniu go.
- Judy uśmiechnęła się.
- Mam pomysł, skąd można by go pobrać Lindzie, ale założę się, że będzie wolała nie mieć tam blizny.
- Chcielibyśmy, żebyś zobaczyła się z nią jeszcze przed operacją - powiedział Harry.
- Judy zauważyła, że pomimo jej żartu pozostał poważny.
- Zgoda, ale jak znam Lindę, będzie zbyt przestraszona, żeby ze mną rozmawiać. Nie powie mi nic nowego. Za późno.
- Zdaję sobie z tego sprawę.
- To po co mnie do niej wysyłasz? Jaki masz w tym cel?
- Harry zaczekał, aż Judy wydobędzie z paczki pierwszego papierosa, weźmie go do ust i przypali.
- Chcemy tylko, żebyś przekazała pewną wiadomość. Zeznać oczekujemy od ciebie, nie od Lindy Wade.

- Niech mnie diabli, jeśli cię rozumiem, Judy! Nie wiem, w co ty się pakujesz!

- W nic się nie pakuję, Lindo. Proszę cię tylko, żebyś przekazała w moim imieniu pewną wiadomość.

- Jak mogę przekazać wiadomość komuś, kogo nawet nie znam.

- Och, na miłość boską - nie traktuj mnie jak dziecka! Znasz Tama Owena. Robiłaś z nim interesy. Rozmawiałaś z nim przez telefon. I to nie raz.

Lekarz dyżurny zrobił wszystko co trzeba. Ramiona Linda miała obandażowane, wsparte na miękkich poduszkach. Połowę jej twarzy zasłaniał opatrunek umocowany bandażami otaczającymi głowę. Widać było tylko oko we fioletowo-sinej obwódce. W koszyku stojącym w zasięgu jej ręki drzemał w najlepsze syjamski kot, Kitajec.

- Jak myślisz, Judy, dlaczego tu leżę? - spytała cicho Linda. - Dlaczego, według ciebie, muszę się poddać tej cholernej operacji? Tam Owen mi to zrobił, bo myślał, że...

- Lindo - przerwała jej z irytacją Judy. - Proszę cię tylko o przekazanie wiadomości. Gdybym знаła Owena, gdybym wiedziała, jak się z nim skontaktować, sama bym to zrobiła.

Linda poprawiła się ostrożnie na poduszkach krzywiąc się z bólu.

- Co to za wiadomość?

Judy usiadła na krawędzi łóżka.

- Powiedz mu, że cię odwiedziłam. Powiedz mu, że wróciłam do twojego mieszkania i że chcę z nim porozmawiać. Poproś go, żeby wpadł tam jutro rano.

Linda pokręciła głową.

- Nie przyjdzie. Wyśle Marty'ego Smitha, a wiesz, co ten mały sukinsyn...

- Nie może wysłać Marty'ego. Policja go zgarnęła. Siedzi w areszcie pod zarzutem morderstwa.

Uśmiech Lindy był z natury rzeczy jednostronny, gdyż połowę twarzy miała unieruchomioną. Ale oczy zabłyśły jej z zachwytu.

- Kiedy to się stało?

- Lindo, nie mam wiele czasu. Muszę zdążyć na lunch do miasta. Zrobisz to dla mnie czy nie?

- Przypuścimy, że zrobię - wycedziła powoli Linda. - Przypuścimy, że zatelefonuję do Tama Owena, a on mnie spyta, w jakiej sprawie chcesz się z nim widzieć. Co mu odpowiem?

- Powiedz mu, że chcę przejąć obowiązki Petera. To samo mieszkanie, te same warunki, ten sam układ.

- Czy to znaczy, że chcesz pracować dla Owena? - Linda powiedziała to tonem tak wzburzonym, że Kitajec obudził się i spojrzał na swą panią. - Chyba nie mówisz poważnie!

- Jak najpoważniej - zapewniła Judy. - Mam po dziurki w nosie tego wiecznego uganiania się po teatrach za angażami, Lindo. Orientuję się ile wyciągał z tego interesu Peter. Znam również jego metody pracy. Dlaczego nie miałabym zająć miejsca po nim i tak samo dobrze zarabiać?

- Ale przecież niedawno mówiłaś mi, że nic nie wiesz o Peterze? Twierdziłaś, że zajmuje się handlem nieruchomościami.

- Posłuchaj, Lindo. - Judy zerknęła na zegarek i wstała. - Muszę znać odpowiedź. Zadzwońisz w moim imieniu do Tama Owena? Nie masz nic do stracenia. Zobaczysz, że będzie ci bardzo wdzięczny.

- No dobrze - mruknęła po chwili wahania Linda.

- Zadzwonię do niego. Ale moim zdaniem popełniasz straszny błąd. Jeśli chcesz mojej rady...

Judy zmierzyła ją wzrokiem, jakiego Linda jeszcze u niej nie widziała.

- Nie chcę od ciebie żadnych rad, Lindo. Zrób, o co cię proszę.

- Zatelefonuję do niego dziś wieczorem. Ale on na to nie pójdzie. Nie zgodzi się na spotkanie z tobą.

- A ja myślę, że się zgodzi.

- Nie znasz Tama Owena.

- Nie, a on nie zna mnie. - Judy przycisnęła niedopałek papierosa do dna popielniczki i zaczęła go z pasją rozgniatać. Głos miała twardy. - Powiedz mu, że byłam przyjaciółką Arnolda Conwaya. Bardzo bliską przyjaciółką.

Wyprostowała się i spojrzała zaskoczonej Lindzie prosto w oczy.

- Przekaż mu, że lubiliśmy sobie często pogawędzić o tym i owym.

Judy nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna. Do De-foe Mansions przyszła o godzinę wcześniej. Harry nie odprowadził jej pod sam dom. Podejrzał, że budynek znajduje się pod obserwacją samego Tama Owena, albo kogoś z jego ludzi.

Widok ulicy za oknem, pełnej samochodów i zaafekowanych swoimi sprawami przechodniów nie wpływał na nią kojąco. Z sąsiednich mieszkań dochodziły pospolite odgłosy: szczekanie psa, płacz dziecka, metaliczny loskot kłapy zsypu na śmiecie.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Ilekroć wchodziła do przedpokoju przypominało jej się, co spotkało Lindę w małej sypialni i ogarniało ją przerażenie. Cóż takiego miał w sobie Harry Dawson, że zdołał przekonać ją do wzięcia udziału w czymś tak ryzykownym? Żalowała, że

nie ma go z nią teraz i że nie wie nawet, gdzie w tej chwili jest.

Tuż po dziesiątej trzydzieści zadzwonił telefon przyprowadzając ją o dreszcz panicznego lęku. Odebrała go, ale dzwoniąca osoba nie odezwałszy się słowem odłożyła słuchawkę.

Tam Owen? Sprawdza, czy jest?

Po raz dziesiąty podeszła do okna i nie odchyłając zasłony wyjrzała na ulicę. Po chodniku naprzeciwko spacerował starannie ostrzyżony mężczyzna w krótkim płaszczu przeciwdeszczowym. Nie spoglądał w stronę Defoe Mansions. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego podziwianiem witryn sklepowych. Gdyby nie poznała wcześniej Nata Fletchera, nawet do głowy by jej nie przyszło, że to oficer policji.

Harry'ego ani śladu.

Weszła do kuchni i zrobiła sobie filiżankę kawy. Palila jednego papierosa za drugim. W popielniczkach rozstawionych w całym mieszkaniu leżały zduszone niedopałki.

Podnosiła właśnie filiżankę do ust, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Odstawiając ją zauważyła, że zaczyna jej drżeć ręka. Na kuchennym zegarze była dopiero za dziesięć jedenasta.

Czyżby to już on? Czy Nat z Harrym wiedzą, że przyszedł o dziesięć minut wcześniej?

Zawahała się. Może najlepiej byłoby nie reagować na żadne dzwonki przed umówioną godziną. Dzwonek odezwał się ponownie.

Nie wytrzymała tej niepewności. Podeszła z bijącym sercem do drzwi, znieruchomiła na chwilę z dłonią na klamce, a potem otworzyła.

Mężczyzna stojący w progu był jej zupełnie obcy, ale w jego ugrzecznonym, naiwnym sposobie bycia było coś



ujmującego. Wyglądał na równie zaskoczonego, jak ona.

- Och! - wykrzyknął, ale zaraz przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania i uchylił ekstrawaganckiego, pilśniowego kapelusika. - Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Przepraszam, czy mogę zamienić słówko z panną Wade?

Judy przyglądała mu się ciekawie. Czy to możliwe, żeby ten człowiek... Nie, to pewnie jeden z tych „dystyngowanych znajomych” Lindy. Miała szczególne upodobanie do takich nieśmiałych panów w średnim wieku.

- Przykro mi, ale nie ma jej w tej chwili.

- Ojej! - Mężczyzna odwrócił się spuszczać oczy. - Jaka szkoda.

Chociaż nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności, wydawało się mało prawdopodobne, by o tak wczesnej godzinie przyszedł skorzystać z usług Lindy.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała życzliwie Judy. - Jestem przyjaciółką panny Wade.

- No więc... moje nazwisko, Heaton. Sidney Heaton. - Przedstawiając się mężczyzna spojrzał na nią porozumiewawczo. - Mam sklep z artykułami dla zwierząt domowych w St. John's Wood i Linda, to jest, panna Wade...

- Ach, tak, oczywiście. Linda mi o panu opowiadała. Proszę wejść, panie Heaton.

- Dziękuję.

Kontakt z innym człowiekiem, zwłaszcza tak bezradnym, jak Sidney Heaton, podnosił na duchu. Ponieważ jednak zbliżała się już jedenasta, Judy nie mogła dopuścić, aby rozsiadł się tu na dłużej. Zatrzymała się w przedpokoju zostawiając drzwi wejściowe lekko uchylone.

- Lindy nie ma - wyjaśniła. - Jest w szpitalu. Wątpię, czy wróci do domu przed końcem tygodnia.

- Och, nic nie wiedziałem. Myślałem... nie, to nie ważnego.

Stał niepewnie miętosząc w rękach kapelusik i rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę salonu, jakby miał nadzieję, że Linda mimo wszystko się pokaże.

- Na pewno w niczym nie mogę panu pomóc?

- Nie. Bardzo to uprzejme z pani strony, ale...

- Judy odniosła wrażenie, że rwane, nie kończone zdania, jakimi mówił gość, świadczą o głęboko zakorzenionym braku pewności siebie. - No... chodzi o to, że panna Wade mówiła mi, że... może kupi jeszcze jednego syjamskiego kota... Wie pani, ona już jednego ma.

- Tak, wiem. Kitajca.

Judy usłyszała ruszającą z parteru windę. Przez uchylone drzwi dostrzegła zapalającą się cyfrę „1”, co oznaczało, że kabina dotarła już do pierwszego piętra.

- No właśnie, Kitajca - ciągnął Heaton. - Słodkie stworzonko. Wczoraj klientka przysłała do mnie z takim samym. Wykapany Kitajec, absolutne чудо. Idealnie rasowy. Jestem pewien, że gdyby zaproponować jej odpowiednią cenę, sprzedałaby go.

- To niech pan zatelefonuje do Lindy. Tak czy inaczej, na pewno się ucieszy, że pan dzwoni. - Na wyświetlaczu zapłonęła cyfra „2” i już na nim pozostała. Pasażer windy wysiadł na drugim piętrze. - Leży w klinice Maylee Park w St. Albans.

- Może mi pani podać numer telefonu? - Heaton sięgnął do kieszeni po notes.

- Niestety nie - powiedziała Judy chcąc się go pozbyć.

- Ale powinien być w książce telefonicznej.

- Dziękuję pani. To bardzo dobra myśl. Tak zrobię.

- Heaton zawahał się nadal zerkając do salonu, ale w

końcu otworzył drzwi. - To naprawdę bardzo uprzejmie z pani strony. Do widzenia, panno... eee...

Judy uścisnęła mu rękę, ale ani myślała podawać swego imienia.

Udało jej się uśmiechnąć, po czym zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Za pięć jedenasta. Odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę salonu.

Nie zdążyła przekroczyć progu, kiedy ponownie zaterkotał dzwonek. Zatrzymała się jak wryta. Akurat tyle czasu trzeba było, by wejść cicho po schodach z drugiego piętra.

Dziwne, ale otworzenie drzwi ten drugi raz kosztowało ją o wiele więcej wysiłku. Kiedy to uczyniła, zawód był równie wielki.

- Bardzo przepraszam, że znowu panią niepokoję, ale... Powiedziała pani, że klinika nazywa się Merton?

Heaton trzymał w dłoni ołówek. Najwyraźniej postanowił zapisać sobie adres.

- Nie. Maylee. - Przeliterowała mu tę nazwę.

- Ach, rzeczywiście. - Heaton zachichotał przepaszająco. - Ależ ze mnie gapa! Skąd mi się wzięło to Merton.

Judy jeszcze raz powtórzyła adres, tak, jakby dyktowała go dziecku.

- Dziękuję. Chyba jestem dzisiaj trochę rozkojarzony.

Czyżby grał? Czyżby przeprowadzał rekonesans, zanim zdecyduje się wyłożyć karty na stół?

- Gdyby zechciał pan wejść, panie Heaton, to zapiszę go panu.

- Nie, wszystko w porządku - odparł Heaton po chwili. - Teraz już pamiętam.

Znowu uchylił kapelusza.

- Jeszcze raz pani dziękuję. Była pani bardzo uprzejma.

Nagły przeciąg wyrwał Judy klamkę z dłoni i zatrzasnął drzwi z hukiem.

Zaintrygowana weszła do salonu. Zauważyła natychmiast, że drzwi prowadzące do sąsiadującej z nim sypialni są na oścież otwarte. Kiedy wychodziła z pokoju, były zamknięte.

Raptem poczuła na plecach czyjś wzrok. Odwróciła się.

Na jednym ze stołków przed zdobionym barkiem koktajlowym siedział Nat Fletcher.

Widząc, że Judy się odprężyła, skinął jej uspokajająco głową.

- Jak tu wszedłeś? - spytała, zła, że tak ją nastraszył.
- Twoimi ulubionymi schodami przeciwpożarowymi.
- Wskazał ręką sypialnię. - Wyglądasz na przestraszoną.
- Bo jestem - przyznała Judy. - Cała się trzęsę ze strachu.

- Bez obawy. Uda się. Wszystko jest pod kontrolą.

Judy rozejrzała się za papierosem, którego paliła, kiedy Heaton zadzwonił do drzwi. Nie widząc go nigdzie, wyjęła następnego z szybko opróżniającej się paczki. Borykała się z zapalniczką. Nat patrzył jej na ręce. Gdy wciągała głęboko w płuca pierwszą porcję dymu, gdzieś w pobliżu zegar wybił godzinę.

- Ten mężczyzna, który przed chwilą dzwonił do drzwi przedstawił mi się jako Sidney Heaton - powiedziała. - Czy nie sądzisz, że...

- Spokojnie. - Nat postukał palcem w miniaturowy nadajnik radiowy w butonierce. - Mamy go na oku od momentu, kiedy się tu zbliżył.

Przerwał mu dojmujący dzwonek telefonu. Judy odwróciła się gwałtownie i spojrzała na aparat.

- Punktualny. - Nat zsunął się ze stołka. - I pamiętaj. Rozegraj to spokojnie.

Judy, nie odrywając oczu od telefonu, podeszła do niego bardzo wolno. Nat stał nieruchomo w miejscu, skąd mógł obserwować przedpokój i sypialnię.

Judy z wyraźnym wysiłkiem zebrała się na odwagę, odłożyła papierosa i podniosła słuchawkę.

- Halo... Tak, panie Owen. Judy Black przy aparacie... Dlaczego nie wejdzie pan na górę?

Nat pokiwał z uznaniem głową. Judy doskonale panowała nad swym głosem. Z chwilą rozpoczęcia akcji przestała się denerwować.

- Czemu miałabym zastawiać na pana pułapkę? Mnie interesują pieniądze. W zamian za dowód, ma się rozumieć. Dowód, który może pana kosztować wiele lat więzienia.

Słuchając swego rozmówcy, Judy znów poczuła na plecach przeciąg. Obejrzała się i zobaczyła Harry'ego wchodzącego na palcach przez drzwi od sypialni.

- Nie zapomniałam. Też znałam Arnolda Conwaya. Sądzę nawet, że o wiele lepiej, niż pan myśli. Tak czy inaczej, pamięta pan jak kazał mu pan porwać tego psa? No więc w obroży, którą nosił wtedy Zero, była ukryta pewna bardzo pana obciążająca informacja. To dlatego Arnold oddał Peterowi inną obrożę, którą on pokazał następnie pani Rogers. Ale przecież pan już to wszystko wie, prawda?

Rzuciła Harry'emu błagalne spojrzenie mówiące, że długo już tego nie wytrzyma. Harry podniósł prawą rękę z kciukiem złączonym z palcem wskazującym. Widziała już w jego wykonaniu ten gest. Oznaczał: „Świetnie ci idzie”.

- Wie pan o tym bardzo dobrze. Arnold Conway postanowił odsunąć panią Rogers i sam zajął się tym szantażem. Próbował naciągnąć pana na 50000 funtów.

Harry słyszał głos rozmówcy Judy trzeszczący w

słuchawce, nie mógł jednak rozróżnić słów. Podeszedł bliżej.

- Zgadza się - ciągnęła Judy twardym tonem, który tak dobrze jej wychodził. - Ale Arnold nie był taki głupi, jak pan sądził... Nie, widzi pan, on przewidywał, że może pan coś przedsięwziąć i żeby się zabezpieczyć dał mi na przechowanie to, co było w obroży.

Z napięciem słuchała odpowiedzi.

- Ile? - Roześmiała się oschle. - No dobrze, nie będę taka zachłanna, jak Arnold. Dajmy na to, 20 000 funtów w gotówce, zgoda? Tak, 20 000 funtów.

Przez chwilę panowała cisza, potem Harry usłyszał, że mężczyzna po drugiej stronie linii coś mówi. Judy zerknęła na niego przestraszona.

- Panie Owen, a skąd mogę wiedzieć, czy można panu zaufać?

Harry dał jej znak, żeby zakryła dłonią mikrofon słuchawki. Kiedy to uczyniła, szepnęła szybko:

- Powiedz mu, że za 1 000 funtów może otrzymać próbkę dowodu, a resztę po zapłaceniu całości.

Judy skinęła głową. Twarz jej pobladła.

- Nie, panie Owen, to zbyt ryzykowne. Dostarczę panu fragment tych informacji, a pan niech przygotowuje tysiąc funtów. Nazwijmy to testem obopólnej dobrej woli. O reszcie będziemy mogli porozmawiać, kiedy się spotkamy. Zgoda?

Słuchała z napięciem.

- Tak. Zrozumiałam. Cannon Street... Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i oparła się o stół. Dwaj mężczyźni dali jej chwilę czasu, żeby doszła do siebie.

- No i? - przerwał w końcu ciszę Nat.

- Mam pojechać metrem do Charing Cross. Musi podjąć pieniądze w banku, a to podobno gdzieś w tam tych okolicach.

- Co masz robić, kiedy tam dojedziesz?
- Mam stać przy wejściu od strony Embankment i czekać, aż ktoś do mnie podejdzie.

Było tuż po porannym szczycie i stacja metra przy St. John's Wood świeciła pustkami. Judy sama nie wiedziała, ile już razy kupowała bilet, ale dzisiaj była jakaś odrozwiała, monety wypadały jej z rąk, a potem chciała odejść od kasy nie wzięwszy reszty.

Znowu była zdana tylko na siebie, chociaż wiedziała, że w pobliżu kręcą się Nat, Harry i z pół tuzina tajniaków. Wolała się nie rozglądać. Harry ostrzegł ją, że przez całą drogę z Defoe Mansions do Charing Cross może być obserwowana. Musiała zachowywać się tak, jakby szła na spotkanie sama.

Pociągi jeździły teraz rzadziej. Ludzi na peronie było niewiele. Stali daleko od siebie i czekali cierpliwie na połączenie. Judy czuła się pokrzepiona towarzystwem tylu normalnych, przestrzegających prawa osób. Instykt samozachowawczy kazał jej stanąć tam, gdzie było najwięcej pasażerów.

Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w reklamę na przeciwległej ścianie tunelu. Przedstawiała dwie dziewczyny. Z napisów wynikało, że rozmawiają o wspólnych posadach, jakie sobie znalazły. Judy poczuła na plecach czyjś wzrok i nie mogąc oprzeć się pokusie, obejrzała się.

Stał tam młody mężczyzna studiujący jej figurę z wyrazem szczerego uznania na twarzy. Odwróciła szybko głowę starając się nie okazać zadowolenia, w jakie wprawiał ją zawsze podziw okazywany przez mężczyznę. Sądząc po uśmiechu, nie był to ani detektyw, ani któryś ze szpicli Owena. Wyglądał na człowieka, który przyszedłby jej z pomocą, gdyby się o to do niego zwróciła.

Z głębi czarnego tunelu dobiegł łoskot nadjeżdżającego pociągu. Pchana przezeń warstwa powietrza omiotła peron i Judy poniosła rękę, żeby odgarnąć pasemko włosów, zdmuchnięte na czoło. Z mroku wypadł wagon motorowy i pociąg zaczął zwalniać. Stojąc do niego twarzą rozejrzała się szybko po peronie, ale nie zauważyła ani Harry'ego, ani Nata.

Ludzie rozproszyli się błyskawicznie wzdłuż peronu i zbili w grupki dokładnie w miejscach, gdzie za chwilę rozsuna się drzwi wagonów.

Pociąg nie był nawet w połowie zapełniony, obeszło się więc bez walki na łokcie. Judy wsiadła do ostatniego wagonu i zajęła miejsce tuż przy drzwiach. Z ulgą dostrzegła Nata Fletchera wsiadającego innym wejściem do tego samego wagonu. Nie zwracając na nią najmniejszej uwagi rozpostarł od razu gazetę. Przesunawszy szybko wzrokiem po twarzach tuzina pozostałych pasażerów wagonu uspokoiła się zupełnie. Żadna z tych osób nie mogła być Tamem Owenem. Młody mężczyzna usiadł naprzeciwko, trochę dalej od drzwi, by podziwiać stamtąd nogi Judy.

Jak zwykle przed odjazdem rozległ się tupot spóźnialskich, którzy zerwali się do biegu, by jeszcze zdążyć. Do wagonu wszedł bez pośpiechu średniego wzrostu mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, ze zwiniętym parasolem przewieszonym przez ramię i w meloniku na głowie.

Przystanął przed Judy. Podniósłszy wzrok stwierdziła, że się do niej uśmiecha. Wskazał puste miejsce obok.

- Mogę, panno Black?

Skinęła głową i zacisnęła mocno usta. Nie wolno jej było teraz stracić głowy. Przechucie nie zawiodło jednak Harry'ego.

Mężczyzna usiadł. Drzwi stały jeszcze otworem i słychać było charakterystyczne pulsowanie sprężonego



powietrza. Motorniczy czekał na znak do odjazdu. Nie-samowite, jak cicho może być w pełnym ludzi pociągu stojącym na stacji. Żadnego gwaru rozmów, żadnych podnieconych okrzyków. Tylko to miarowe pulsowanie jakby jakiegoś monstrualnego zegara.

- Wydawało mi się, że miał pan czekać przed... - zaczęła cichym głosem Judy.

- Zmieniłem plany - odparł uprzejmie mężczyzna i poklepał swój neseser. - Wszystko w porządku. Mam pieniądze. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Wydaje mi się tylko, że nie będą mi potrzebne.

- O, a dlaczego nie, panie Owen?

- Rogers, jeśli łaska. Przy takich okazjach o wiele bardziej wolę używać swojego... eee... zawodowego nazwiska. Hubert Rogers.

Pulsowanie zmieniło się w syk zwiastujący rychły odjazd. Rogers przechylił głowę przysłuchując się mu.

- Dlaczego pieniądze nie będą panu potrzebne?

- Judy zdawała sobie sprawę, że głos jej drży. Usiłowała sobie wmówić, że nie ma się czego obawiać.

Hubert wciąż uśmiechał się do niej przyjaźnie.

- Bo moim zdaniem pani blefuje, panno Black. Dlatego.

Judy otworzyła usta, ale na widok zmiany, jaka zaszła w twarzy Huberta, głos uwiązał jej w krtani. A kiedy Hubert znowu się odezwał, okazało się, że głos również mu się zmienił.

- Myślisz, że nie bywałem w takich sytuacjach? - wycedził przez zęby. - Że to dla mnie pierwszozna?

- W jakich sytuacjach? - jego głos niemal ją zahipnotyzował. Nie potrafiła się nawet zdobyć na zerknięcie w stronę Nata.

- Pewna dziewczyna coś podsłuchuje, coś odkrywa. Coś o mnie. - mówił pośpiesznie Hubert z ustami tuż

przy jej uchu. - Czuje, że to coś ważnego. Daje jej to złudne poczucie władzy. Postanawia zaryzykować.

- Proszę odsunąć się od drzwi!

Hubert urwał słysząc znajomą śpiewną zapowiedź rozchodzącą się echem po stacji. Ostrzeżenie nie było potrzebne. Ci, którzy wsiedli do pociągu, siedzieli, a osoby, które wysiadły na St. John's Wood dawno już zniknęły na schodach. Judy zaryzykowała spojrzenie w stronę Nata Fletchera.

Wtem na jej przegubie zacisnęła się ręka. Hubert wstał ciągnąc ją za sobą. Podszedł szybko do zasuwających się drzwi i zablokował je nogą.

- Chodź, Judy - powiedział. - Wysiadamy.

Wypchnął ją przez drzwi i kiedy cofał stopę, by wyskoczyć za nią, pociąg ruszył tak gwałtownie, że koniec wagonu mijając Judy pędził już bardzo szybko. Mignął jej przez moment Nat Fletcher na próżno mocujący się z automatycznie zamykanymi drzwiami. Pociąg unosił go ku mrocznemu tunelowi.

- To jakiś znajomy, panno Black? - spytał ironicznie Hubert. - Ciekawe, ilu ich tam jeszcze było?

Poprawił chwyt wykręcając jej rękę do tyłu i wciskając ją między łopatki. Krzyknęła z bólu. Wybrał tę rękę, którą niedawno sobie zwichnęła. Poprowadził ją przez wydłużony peron do wyjścia. Pół pociągu zniknęło już w tunelu.

Harry stał na samym końcu tunelu, tam gdzie zatrzymywał się koniec ostatniego wagonu. Kiedy zobaczył, że Nat wsiada do tego samego wagonu, co Judy, powiedział coś do pracownika metra obsługującego drzwi i wszedł do małej kabiny sterowniczej na końcu pociągu.

Ale manewr Huberta jego też zaskoczył. Kiedy zamknęły się automatyczne drzwi, przyjął za pewnik, że Hubert został uwięziony w jednym wagonie z Natem.

Gdy pociąg ruszył i zaczął przyśpieszać, dostrzegł ku swemu przerażeniu dwoje ludzi stojących na peronie: dziewczynę i mężczyznę wykręcającego jej rękę. Przecisnął się obok kolejarza do na wpół otwartych drzwi kabiny sterowniczej.

- Stój, kolego! Chcesz się zabić?

Kiedy Harry wyskakiwał z pociągu, ten musiał już pędzić z szybkością dobrych trzydziestu mil na godzinę. Harry zdawał sobie sprawę, że nie ma szans, by utrzymać się na nogach. Dotykając ziemi wykonał natychmiast przewrót, co zamortyzowało wstrząs. Przeturlał się po peronie i wpadł na zamykającą go ścianę.

Był poobijany i rozdygotany, ale zachował przytomność. Hubert z dziewczyną gdzieś zniknęli.

Pozbierał się z posadzki i pognął peronem. W rachubę wchodziło tylko jedno wyjście, tylko do niego mogli zdążyć w tak krótkim czasie. Skręcił za róg. Schody na wprost były puste. Wbiegł na nie przeskakując po trzy stopnie na raz, skręcił za następny róg i zauważył ich u szczytu następnego skrzydła schodów.

Hubert usłyszał tupot za plecami i odwrócił się błyskawicznie. Ujrawszy Harry'ego wsunął rękę za pazuchę i wy dobył stamtąd rewolwer. Ale nie wymierzył w Harry'ego. Wcisnął lufę w klatkę piersiową Judy. Groźba wyrażana tym gestem była zupełnie jednoznaczna.

- Nie podchodź, Dawson. Zostań tam, gdzie jesteś. Jeszcze jeden stopień i już po niej.

Ruszył dalej pod górę nie spuszczać oczu z Harry'ego. Musiał przy tym mocniej wykręcić ramię Judy, bo jęknęła głośno, a twarz wykrzywił jej grymas bólu.

I właśnie ten drobny akt okrucieństwa przyczynił się do klęski Huberta. Ból wyzwolił w Judy desperację, a widok jej udręczonej twarzy popchnął Harry'ego do działania bez względu na ryzyko.

Kiedy na następnym zakręcie schodów Hubert obejrzał się, żeby sprawdzić, czy droga wolna, Judy wpakowała mu ostry obcas swego buta w podbicie stopy. Hubert poderwał rewolwer, by zdzielić ją lufą przez twarz.

Harry skorzystał z nadarzającej się okazji i rzucił się z całym impetem między Judy a Huberta. Ten puścił ramię Judy i obaj mężczyźni upadli na ziemię. Hubert jednak nadal trzymał rewolwer i przygniatał swym ciężarem Harry'ego, który przy upadku uderzył głową w stopień.

Usiłował skierować lufę na Harry'ego, kiedy nagle od tyłu zaatakowała go furia. Judy rzuciła się na rewolwer chwytając go oburącz i uniemożliwiając Hubertowi celowanie. Potem pochyliła szybko głowę i zatopiła zęby w grzbiecie dłoni ściskającej broń. Czowała, jak przegryzają ciało i zatrzymują się na kości.

Hubert zawył z bólu i rozprostował palce. Rewolwer upadł z klekotem na kamienne stopnie. Judy pochwyciła go i odskoczyła w tył celując w Huberta. Jeden rzut oka na wyraz jej twarzy przekonał go, że w tym momencie jest zdolna do wpakowania weń całego magazynka. Podniósł do ust krwawiącą dłoń i zaczął ssać ranę po ukąszeniu.

- Nie rób tego - jęknął. - Nie strzelaj.

Wiedział, co może teraz myśleć Judy. Nie chodziło tylko o ból, jaki jej zadał, ale też o oszpeccenie Lindy Wade, o zamordowanie Petera Newtona, Toma Dawsona i Arnolda Conwaya.

- Na miłość boską, Dawson - zwrócił się do wstającego z ziemi Harry'ego. - Odbierz jej ten rewolwer.

Harry podszedł do Judy.

- Daj mi to i nie bój się. Jeśli wstanie z klęczek, zastrzelę go.

Dwadzieścia minut później Judy z Harrym stali na chodniku przy zejściu do stacji St. John's Wood. Obserwowali w milczeniu, jak umundurowany konstabl wlecze pośpiesznie przez tłum gapiów skutego z nim kajdankami Huberta Rogersa i wpycha go na tylne siedzenie policyjnego radiowozu. Samochód ruszył i błyskające na jego dachu światło znikło wkrótce w gęstniejącym popołudniowym ruchu.

Trotuar był mokry po padającym niedawno deszczu, ale w tej chwili zza chmur wyzierało znów słońce. Wszystko połyskiwało i tchnęło świeżością.

Harry spojrział na Judy, która stała kryjąc kontuzjowane ramię pod płaszczem.

- Dziękuję ci, Judy. Bez twojej pomocy nigdy byśmy... - Urwał. Niełatwo było znaleźć odpowiednie słowa.

- Jakie masz teraz plany? - spytał po chwili.

- Napiłabym się mocnej kawy - odparła Judy. - Najlepiej z kropelką whisky.

- Niezły pomysł. Ale ja chciałem wiedzieć, co będziesz robiła po tej kawie?

Patrzyła niewidzącym wzrokiem na ulicę. Niesforne pasemko włosów znowu wymknęło się spod kontroli i kołysało nad czołem.

- Nie wiem. Zaproponowano mi pracę w Manchesterze, ale jeszcze się nie zdecydowałam. Może wyjadę na parę tygodni. Chyba zasłużyłam sobie na wakacje.

- Dobry pomysł. To może wybrałabyś się do „Klasztoru” w Steeple Aston? To bardzo spokojny, uroczy hotelik i, jak ci już mówiłem, kierownik i jego żona są moimi przyjaciółmi.

- Kto wie. Może tak zrobię. - Odwróciła się do niego, a na jej ustach zatańczył przewrotny uśmiezek.

- Steeple Aston. Dojeżdża się tam chyba pociągiem ze stacji Paddington?

- Nie - zaprzeczył Harry z udawaną powagą. - Na pewno nie z Paddington.

- To może z Euston?

- Też nie.

- Z King Cross?

Harry znowu pokręcił głową i oboje roześmieli się. Wziął ją zdecydowanie pod rękę, tę zdrową rękę, i pociągnął w kierunku odległego o sto jardów barku kawowego.

- Tam wcale nie jedzie się pociągiem. Chodźmy na kawę, to powiem ci, jak mam zamiar rozwiązać ten problem.